

De.I.1
TOM CCLIII

ROK 64

SERYA 9

ZESZYT 761

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

M A R Z E C.

1904.

TOM I. — ZESZYT 3.

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja: Krakowskie Przedmieście 5.

—
1904.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Stron.
1. HERBERT SPENCER I JEGO SYSTEMAT FILOZOFII SYNTETYCZNEJ, — przez prof. Henryka Struvego	413
2. A GDY W GŁĘB DUSZY WNIKNIEMY... Powieść współczesna (dalszy ciąg), — przez Gabriellę Zapolską	455
3. WŁADYSŁAW SYROKOMLA, — przez A. Drogoszewskiego	481
4. PRZEMYSŁ DOMOWY U WŁOŚCIAN, — przez Józefa Jeziorańskiego	504
5. LITERATURA NIEMIECKA W ROKU 1903-cim, — przez d-ra Józefa Flacha	522
6. SEN, — przez d-ra Karola Rozenfelda	551
7. POGADANKA O SZTUCE. Kilka słów o stosunku społeczeństwa do sztuki, — przez Stefana Popowskiego	580
8. PIŚMIENNICTWO:	
<i>Hins Paultzow</i> : Zur Polenfrage. Der Gebrauch der polnischen Sprache in politischen Versammlungen. Die polnischen Postadressen. Zwei Rechtsgutachten. Berlin, 1902, — przez A. R.	587
<i>Marya Konopnicka</i> : Drobiazgi z podróźnej teki. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., 1903, 12-o, str. 196, — przez Henryka Gallego	596
<i>Kazimierz Julian Jasiński</i> : Stara gwardya. Elegia rycerska. Warszawa, Gebethner i Wolf. Kraków, Gebethner i Sp., 1904, 8-o, str. 71, — przez Henryka Gallego	599
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
W sprawie krajowej wystawy powszechnej — Ogień i woda. Statystyka pożarów. — Odezwa p. Jana Popiela. — Książka estetyczna. — Nowy gmach hipoteczny. — Młodzież polska za granicą — Komentarz do sprawy hr. Dąbskiego	602
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	619



De. II. 1.

HERBERT SPENCER

i jego systemat filozofii syntetycznej.

1.

CHARAKTER FILOZOFII ANGIELSKIEJ.

Filozofia angielska od pierwszych początków swego rozwoju miała charakter przeważnie empiryczny, zgodnie z nastrojem umysłowym narodu. Potrzeby życia praktycznego, obserwacya danych szczegółowych warunków bytu, miały dla najwybitniejszych umysłów angielskich zawsze znaczenie daleko większe, niż dyalektyka racjonalna, lub ogólniki metafizyczne, które odpowiadały bardziej usposobieniu umysłowemu francuzów i niemców, począwszy od Kartezjusza i Leibniza. Świadczy o tem już w wieku XIII Rogier Bakon, pierwszy sumienny badacz przyrody, przeciwnik „subtelności scholastycznych“, wygłaszający wiekopomne żądanie: „Sine experientia nihil sufficienter sciri potest“. Świadczy o tem również w wieku XVII jego znakomity imiennik Franciszek Bakon Werulamski, twórca nowoczesnej metody indukcyjnej, dla którego wiedza miała znaczenie głównie, jako środek rozszerzający władzę człowieka nad przyrodą. Wszyscy inni pierwszorzędni filozofowie angielscy od owych czasów aż do naszych, jak: Hobbes, Locke, Hume, Dugald Stewart, Bentham, James i John Stuart Millowie, Aleks. Bain i inni, rozwijali swe poglądy w tym kierunku empirycznym i praktycznym, stosując zasadę badań szczegółowych i indukcyi do całego bogactwa najrozlicznějších objawów życia umysłowego.

Rzecz naturalna, że i Herbert Spencer, jako prawy syn swego narodu, rozwijał się sam a następnie i swoją filozofię, w tymże, przeważnie empirycznym i życiowym kierunku, kładąc główny nacisk w swych poglądach na gruntowny rozbiór faktycznych danych wiedzy ludzkiej. Z tem wszystkim jednak, ani jego poprzednicy, ani

on sam, nie mogli się rozprószyć myślowo w chaosie zjawisk szczegółowych, lecz musieli się wznieść do pewnych uogólnień, obejmujących zjawiska, a więc i posilkować się pewną dyalektyką racjonalną i dojść do pewnych pojęć metafizycznych. To konieczne dopełnienie empiryzmu czynnikami racjonalnymi, świata zjawiskowego pojęciami metafizycznymi co do jego istotnego, bytowego charakteru, uwydatnia się tedy i w filozofii angielskiej. Ale sposób połączenia tych dwóch składowych czynników wiedzy ludzkiej, przy przyznaniu pierwszeństwa zjawiskom szczegółowym; sposób owego dopełnienia empiryzmu przez racjonalizm i jego wyniki, jest różnym u różnych myślicieli angielskich i staje się przez to rysem, znamionującym ich indywidualny nastrój umysłowy przy wspólnym duchu narodowym, który w nich się przejawia.

Bliższe rozpatrzenie się w filozofii angielskiej, wykazuje wprawdzie, że wszyscy wymienieni jej przedstawiciele, pozostają o ile tylko mogą, w zakresie świata zjawiskowego i codziennych objawów życia; a najwyższe uogólnienia, niezbędne dla szerszego poglądu na świat, albo pozostawiają wsceptycznym zawieszeniu, albo też przekazują religii, wytwarzając przez to sprzeczny w sobie dualizm między wiarą i wiedzą. Pomimo to, niektórzy wśród tych myślicieli wznoszą się bardzo wysoko w swych uogólnieniach i pojęciach metafizycznych, i nie ograniczają się tylko, jak większość to czyni, uogólnieniami, obejmującymi co najwyżej zjawiska psychiczne i ustrój społeczny człowieka. Pierwsze miejsce zajmują w tym względzie Fr. Bakon i Hume, a do nich, jako wznoszący się najwyżej, jako wytwarzający wśród filozofów angielskich najszerszy i najpełniejszy pogląd na świat, przylączy się Herbert Spencer.

Bakon pierwszy objął całokształt wiedzy ludzkiej w programacie do swego niedokończonego dzieła: *Instauratio magna*. W dziele tem zamierzał dać nie tylko pogląd krytyczny na stan ówczesny wszystkich nauk, na cały nawet *globus intellectualis*, ale nadto poddać rozbiorowi metodę badań naukowych, i wreszcie wyłożyć samodzielnie zasadniczą treść każdej z nauk. Dla urzeczywistnienia tego ostatniego celu przedstawił encyklopedyczny zarys nauk szczegółowych, dzieląc je według trzech zdolności umysłu, przez niego przyjętych, na *historycę*, naturalną i społeczną, będącą objawem pamięci ludzkiej, na *poetykę*, zaliczoną przez niego także do nauk, jako wytwór *wyobraźni*, i wreszcie na *filozofię*, będącą wynikiem działalności *rozumu*. Przedmiotami zaś filozofii są według niego, *Bóg, przyroda i człowiek*.

Mamy tedy tutaj pełne objęcie wiedzy ludzkiej, całkowity pogląd na wszystko, co wpada w jej zakres. Ale odnośnie do Boga, już Bakon czyni zastrzeżenie, że filozofia doprowadzić może człowieka d^o

znania jedynie istnienia Boga; wszelkie zaś bliższe określenie jego istoty, oraz jego stosunku do człowieka, leży za obrębem badań rozumu ludzkiego, a więc filozofii, jako nauki, i należy w zupełności do religii, jest przedmiotem wiary, która też w tym względzie nie podlega żadnym ograniczeniom ze strony nauki.

Z tego stanowiska starał się Bakon uzasadnić ów dualizm między wiarą religijną i nauką, który aż dotąd charakteryzuje filozofię angielską. Według tego dualizmu, religia i nauka nie mają nic zgoła wspólnego. Zgoda między niemi osiągniętą być może, już według zdania Bakona, jedynie wtedy, gdy nauka nie będzie się zajmowała przedmiotami religii, bo to doprowadza zawsze do niewiary, oraz, gdy religia nie będzie się wtrącała w badania naukowe, gdyż to staje się przyczyną mrzonek i fałszów, sprzecznych z nauką. Wierzyć należy, że każda religia, ale i uznawać zarazem wyniki badań naukowych.

Jeżeli Bakon pierwszy w filozofii angielskiej doszedł do ogólnego objęcia przedmiotów wiedzy ludzkiej, odróżniając je od wiary religijnej, to Hume wzniósł się najwyżej w rozbiorze samej wiedzy, poznania ludzkiego, jako czynności podmiotowej umysłu, dążącej do przyswojenia sobie owych przedmiotów. Zbadanie źródeł pojęć ludzkich, oraz określenie wzajemnego do siebie stosunku podmiotowych i przedmiotowych czynników wiedzy—oto najogólniejsze zadania filozofii, które Hume wysunął na pierwszy plan i które następnie stały się punktem wyjścia dla krytycyzmu Kanta. W tym duchu Hume już poddaje rozbirowi takie powszechne pojęcia metafizyczne, jak przyczynowość i substancja. A chociaż jego psychologiczne wyjaśnienie tych pojęć i wogóle poznania ludzkiego, jako wyniku prostego nawyknięcia, nie jest zadawalajacem, to jednak sama dążność do wniknięcia w ostateczne podstawy filozofii, oraz rozbiór jej najwyższych ogólnień, wznosi Hume'a po nad większość pozostałych przedstawicieli filozofii angielskiej aż do Spencera, gdyż wszyscy oni nie przekraczali zazwyczaj dość szczupłego zakresu badań na polu bądź psychologii, bądź indukcyjnej metodologii, bądź wreszcie kwestyj społecznych. Oni to, wskutek jednostronnej specjalizacji tych badań, utorowali drogę owym nowszym, a wielce ciasnym poglądom na filozofię, według których, nie tylko przyrodoznawstwo, ale i psychologia, logika, etyka, socjologia, mają całkowicie leżeć za obrębem filozofii, pozbawionej wskutek tego wszelkiej samodzielnej treści poznawczej. Hume, przeciwnie, rozumiał, że wszystkie te nauki opierają się na pewnych ogólnych przed-założeniach poznawczych, których zbadanie stanowiąc przedmiot filozofii, nadaje wynikom owych nauk odrębny charakter, pomimo największej empirycznej specjalizacji. Przy wszelkiej tedy skłonności do empiryzmu, przy wszelkiem uznaniu

świata zjawiskowego za jedyny przedmiot wiedzy ludzkiej, Hume wyrobił sobie szerokie pojęcie o zadaniach poznawczych filozofii i przyczynił się wielce do bliższego wyjaśnienia tych zadań.

W kierunku z oznaczonym przez Bakona i Hume'a rozwinął i Spencer swoją filozofię. Ale przewyższył on tych swoich poprzedników pod niejednym względem, tak, że już dzisiaj uznanym zostaje coraz bardziej nie tylko za największego filozofa angielskiego naszych czasów, lecz zarazem za największego filozofa, jakiego dotąd w ogóle wydał naród angielski.

Z Bakonem jednoczy Spencera dążność do systematycznego objęcia całego obszaru przedmiotów wiedzy ludzkiej; z Hume'm łączy go usiłowanie sprowadzenia tej wiedzy do pewnych, najogólniejszych czynników, zdolnych wyjaśnić nieskończone bogactwo materiału empirycznego i szczegółowych zjawisk świata. Ale gdy pomysły Bakona co do rozwinięcia całokształtu wiedzy ludzkiej, pozostały fragmentem niedokończonym i ujawniały nadto wady wewnętrzne, wpływające nietylko ze stanu nauk w wieku XVII, lecz i z braku należytego zrozumienia rzetelnych wyników wiedzy nowoczesnej, to Spencer rozwinął swój systemat filozofii syntetycznej w całej pełni i objął w nim ostateczne wyniki badań specjalnych, zgodnie z istotnym stanem nauk w drugiej połowie XIX wieku. Jeżeli zaś Hume w swych poglądach na pierwsze zasady poznania, nie wyzwolił się z pod jednostronnego wpływu sceptycyzmu sensualistycznego, charakteryzującego drugą połowę wieku XVIII i wskutek tego nie dotarł do ogólniejszego na świat poglądu—to Spencer, pozostając wprawdzie również w ciasnych granicach empiryzmu, przeważnie umysłowego, wytworzył jednak jednolity pogląd na świat zjawiskowy, sprowadzając do pewnych, najogólniejszych czynników, mających objaśnić rozwój, zarówno świata jako całości, jak i wszystkich jego szczegółowych objawów. W ten sposób Herbert Spencer prześcignął daleko Bakona i Hume'a i stał się niewątpliwie najpełniejszym wyrazem filozofii angielskiej po chwilę obecną.

Filozofia Spencera zasługuje tedy na szczególną uwagę ze strony wszystkich, komu postęp filozofii leży na sercu. Podział pracy umysłowej, a zatem i pracy najwyższych zagadnień wiedzy ludzkiej, uwydatnia się w różnych filozofiach o charakterze narodowym, Francuzów, Niemców, Anglików, Polaków. Warto tedy zdać sobie sprawę krytyczną, z zaznaczonego, dziejowego rozwoju filozofii angielskiej, a mianowicie z jej ostatecznego i najwyższego wykwitu w systemacie filozofii syntetycznej Spencera.

II.

ŻYCIE I PRACE SPENCERA.

Nie tylko ogólny charakter filozofii Spencera, ale i całe życie jego, wraz z jego rozwojem umysłowym, jest na wskrós typowem angielskiem. Kiedy w Niemczech, a poczęści i we Francyi, filozofię uprawiali głównie urzędowi jej przedstawiciele na uniwersytetach, w Anglii, przeciwnie, najwydatniejsi filozofowie należeli do różnych zawodów praktycznych i stali się filozofami niezależnie od swych zawodów. Głośna zasada: docendo discimus, nauczając innych sami się uczymy, nie ma zastosowania do większości myślicieli angielskich, bo oni nie tą drogą dochodzili do wyrobienia swej filozofii, lecz przeważnie drogą praktyczną, życiową. Nie nauka książkowa, lecz zastanowienie się nad objawami życia, w rozlicznych jego formach, było zazwyczaj punktem wyjścia i głównym współczynnikiem ich pracy myślowej i doprowadzało ich do filozofii. Ani Bakon, ani Hobbes, Locke, Hume, Bentham, ani Millowie, nie byli profesorami filozofii, jak Wolff, Kant, Fichte, Schelling, Hegel, lecz czynni byli w różnych zawodach życia praktycznego i przy jego udziale wnosili się do ogólnego na świat poglądu.

Toż samo uwydatnia się w życiu i rozwoju umysłowym Spencera. Urodził się w dniu 27 kwietnia 1820 r. w Derby, jednym z większych miast rozległego płaskowzgorza środkowej Anglii. Ojciec jego był nauczycielem szkoły miejskiej, a ze swych religijnych przekonań należał do metodystów, owego odłamu kościoła anglikańskiego, który od czasów Wesley'a na wzór braci czeskich pielęgnuje serdeczną religijność oraz jaknajwiększą prostotę w obrządkach kościelnych.

Pierwsze wychowanie i nauki pobierał młody Herbert w mieście rodzinnem wśród warunków skromnych, pod bezpośredniem kierownictwem ojca, który był bardzo dobrym pedagogiem, uznającym za główny cel wychowania, nie z bogacenie umysłu młodzieży suchą wiedzą, lecz wyrobienie charakteru etycznego. Opowiadają, że Spencer był chłopcem wątłym, nie odznaczał się wyższymi zdolnościami; że był niechętnym do nauki, nerwowym i krnąbrnym.

Od trzynastego roku życia oddanym został do stryja, duchownego anglikańskiego, proboszcza wiejskiego w pobliżu miasta Bath. On uczył chłopca głównie języków starożytnych i chciał go swoim ko-

sztem wysłać na uniwersytet w Cambridge. Chłopiec jednak po trzechletniej nauce, nie przyjął tego dobrodziejstwa, jak się zdaje z braku zamiłowania do języków starożytnych. Najwięcej lubił matematykę. To też w 16 roku życia poświęcił się pracy w zawodzie technicznym. Już w rok później otrzymuje stanowisko przy jednej z londyńskich kolei żelaznych, początkowo jako pomocnik inżyniera, a następnie jako inżynier. Na tem stanowisku pozostaje przez dłuższy szereg lat.

Dopiero po dziesięcioletniej działalności praktycznej, podczas której jednak dużo pracował nad swem wyższem wykształceniem, odzywa się w nim zdolność pisarska i od r. 1848 do 1853 widzimy go na stanowisku współredaktora czasopisma *Economist*, w którym wygłaszał dość radykalne poglądy.

Od prac ekonomicznych przechodzi Spencer coraz bardziej na szersze pole badań socyologicznych, aż wreszcie przez pośrednictwo psychologii, wznosi się na wyżyny ogólnego filozoficznego poglądu na świat i wiedzę ludzką. Postęp ten zaznaczają naprzód liczne artykuły, jakie pisywał do *Westminster Review* i *Quarterly Review*, następnie opracowanie i dopełnienie artykułów z *Ekonomisty*, w osobnem dziele *Statyki socyalnej* (*Social Statics*, 1850); dalej pierwsze wydanie *Psychologii* (*Principles of Psychology*, 1855); wreszcie zbiór studyów naukowych, politycznych i spekulatywnych, opracowanych na tle artykułów, zamieszczonych poprzednio we wspomnianych czasopiśmie (*Essays Scientific, Political and speculative*, 1858 i nast., przekład polski p. t. *Szkice filozoficzne*, 1883). Tu, jako zawierające pierwsze zawiązki filozofii Spencera, zasługują na uwagę rozprawy: *The Development Hypothesis* (z r. 1852), *The Genesis of Science* (1854), *Progress, its Law and Cause* (1857) i inne.

W tym okresie czasu Spencer żył głównie z pióra, a że prowadził żywot skromny i rozważny, jak przystało na człowieka praktycznego i ekonomistę, więc dorobił się nawet pewnego zasobu materialnego. Wkrótce jednak, bo już w r. 1860, powziął myśl wydania wielkiego, dziesięciotomowego dzieła, p. t. *Systemat filozofii syntetycznej* (*System of Synthetic philosophy*), mającego na szerszą skalę obejmować całość jego poglądu na wiedzę ludzką i świat. Prospekt tego dzieła, ogłoszony w tym roku, zaznaczył jego główne części składowe, począwszy od rozbioru pierwszych zasad wiedzy ludzkiej, a przechodząc następnie, na podstawie biologii i psychologii, do badania różnorodnych form życia społecznego i do wykładu zasad etyki.

Zarówno opracowanie, jak i wydanie tego projektowanego dzieła, wymagało znacznego nakładu środków materialnych, których jednak Spencer nie posiadał w dostatecznej mierze. To też pierwszy

tom tego dzieła wyszedł dopiero w dwa lata po prospekcie, p. t. *First Principles* (*Pierwsze zasady*, przekład J. K. Potockiego, 1888); dwa dalsze tomy: *Zasady biologii* (*Principles of Biology*), wyszły dopiero od r. 1864 do 1867. Nowe zaś opracowanie *Psychologii*, wcielone do tego dzieła, jako tomy 4-y i 5-y, Spencer był w stanie ogłosić dopiero 1870—1872 roku.

Wyczerpawszy swe środki na to wydawnictwo, dla którego nie mógł znaleźć nakładcy, a które się nie opłacało, Spencer byłby zmuszony przerwać pracę nad tem dziełem i powrócić do zajęć dziennikarskich, gdyby nie znaczna pomoc pieniężna, którą trzykrotnie otrzymał od swych zwolenników w Ameryce, zawsze w czasie, gdy mu brak było własnych środków. O swych kłopotach wydawniczych mówi sam Spencer dość obszernie w książce *Various Fragments*, 1900, str. 18 i nast. Dowiadujemy się tu, że *Statyki socyalnej* sprzedał w ciągu lat 14 tylko 750 egz., *Psychologii*, 1-go wyd. po 12 latach tylko 650 egz. Ta sprzedaż naturalnie kosztów pokrywać nie mogła; przeciwnie, po 15 latach okazało się, że na swych wydawnictwach stracił przeszło 1200 funtów (około 12,000 rb.), a to go zbliżało do ruiny materyalnej, gdyż w tej sumie mieścił się też skromny kapitał, jaki po stryju odziedziczył. Z późniejszych rachunków okazuje się, że do r. 1877 wydał na swe książki 2968 funtów, z których wróciło się ze sprzedaży tylko 608 funtów.

Wspomniana pomoc z Ameryki zabezpieczyła jednak niespodzianie stronę materyalną wydawnictwa, a choć teraz często zdrowie, zawsze wątłe, niedopisywało filozofowi, to jednak i te przeszkody przezwyciężał z nadzwyczajną energią, stosując ściśle zasady higieniczne do swych zajęć i prac. W ten sposób doprowadził wreszcie do końca swe wielkie dzieło w r. 1896, ogłaszając trzy tomy *Zasad Socyologii* (*Principles of Socyology*, 1876—1896, przełożone po części przez J. K. Potockiego i J. Steckiego, 1891 i nast.), oraz dwa tomy *Zasad Etyki* (*Principles of Ethics*, 1892 i 1893), poprzedzone *Danemi Etyki* (*Data of Ethics*, 1879, przekład J. Karłowicza, 1884). Z wydaniem Socyologii ustalał się coraz bardziej rozgłos imienia Spencera, a dzieła jego znalazły też od tego czasu coraz liczniejszych czytelników.

Równolegle z opracowaniem i wydaniem swego *Systematu filozofii syntezycznej*, któremu poświęcił trzydzieści sześć lat swego żywota, Spencer ogłaszał i inne prace, jako zastosowanie, lub rozwinięcie głównych zasad swej filozofii. Tu należą głównie: *Education, intellectual, moral and physical*, 1861 (przekład H. Wernica), *Classification of the Sciences*, 1864 (rozprawa zamieszczona też w późniejszych wydaniach *Szkiców filozoficznych*), *Study of Socyology*, 1873 (przekład

H. Goldberga), *The Man versus the State*, 1884, *The factors of organic Evolution*, 1887, *The Inadequacy of Natural Selection*, 1893 i inne.

W ostatnich dwudziestu latach mnożyły się też nowe wydania głównych części *Systematu filozofii syntetycznej*, i tak: *Pierwszych zasad*, 6-e wyd., 1900, *Zasad Biologii*, 5-e dopelnione wyd., 1898, *Zasad Psychologii*, 3-e wyd., 1890, *Zasad socyologii*, 1-9 tomu 3-e wyd., 1885, 2-0 tomu 2-e wyd., 1885, *Dane Etyki*, 5-e wyd., 1888. Rzecz o wychowaniu wyszła w 6-m wyd. 1900 r. Pobieżne swe prace, rozrzucone po pismach, Spencer sam zebrał i wydał w książkach: *Various Fragments*, 1900, oraz *Facts and Commets*, 1902. Nadto istnieją liczne przekłady tych dzieł na języki: niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, duński, szwedzki, nowogrecki, rosyjski oraz polski.

Co do tych ostatnich przekładów, zaznaczonych powyżej, zauważyć winienem, że o nich nie znalazłem żadnej wzmianki w sprawozdaniach angielskich, tak licznych z powodu śmierci Spencera, choć o przekładach na wszystkie inne wspomniane wyżej języki, mówiono z pewnem zadowoleniem. To też zdziwiony byłem, gdy przy pogrzebie Spencera, przyjaciel jego, autor prac filozoficznych, p. Leonard Courtney, znający dobrze Warszawę i interesujący się naszym życiem umysłowem, zapytał mnie, czy też istnieją przekłady dzieł Spencera na język polski? Naturalnie, dałem mu w tym względzie odpowiednie wyjaśnienia. Ale ta niewiadomość i owo przemilczenie w pismach o przekładach polskich, dały mi wiele do myślenia, aż wreszcie dotarłem do przyczyny tego przykrego faktu. Jest nią niewątpliwie ta okoliczność, że w Bibliotece Muzeum Brytańskiego, nie ma ani jednego egzemplarza polskiego przekładu dzieł Spencera, że zatem w katalogach tej Biblioteki, pod nazwiskiem Spencera, nie ma śladu o istnieniu takich przekładów.

Kto wie, jakie doniosłe znaczenie ma ten olbrzymi księgozbiór dla pracy naukowej Anglików; kto choć raz widział te setki osób pracujących codziennie, wśród iście angielskiego komfortu, w Czytelni tej Biblioteki, ten zrozumie, że każdy autor artykułu o Spencerze, pragnący wiedzieć, co też obcy o nim sądzą, tutaj zasięga swych informacji. A że o przekładach polskich nie znajduje wzmianki, więc też dla niego wcale nie istnieją. Że ich niema, w tem znowu winić nie można Zarządu, bo przecież byłoby dziwnem żądanie, aby wydawano pieniądze na wszystkie istniejące przekłady angielskich autorów, skoro same ich dzieła oryginalne są tu przystępne dla każdego. To też przekłady na inne wymienione języki istnieją w Bibliotece i w katalogach jedynie dla tego, że wydawcy uznali za właściwe nadesłać przekłady dzieł Spencera, jako dowód wdzięczności, jeśli nie samemu autorowi, to przynajmniej owej Instytucji narodowej, która skupia

w sobie całe życie umysłowe Anglików. Godziłoby się, aby i u nas nie zapomniano o takich prostych wymaganiach międzynarodowej kurtuazji, choćby we własnym interesie. Czy i na to jesteśmy za ubodzy materyalnie, i za opieszali moralnie?

O charakterze osobistym i życiu domowym Spencera wiele można zaczerpnąć wiadomości, nawet anegdot, z pism czasowych, a jeszcze więcej od jego przyjaciół. Zresztą istnieją już obecnie dobre monografie z życiorysami filozofa, jak: *W. H. Hudson: An Introduction to the Philosophy of H. Spencer. With a biographical Sketch.* 1895. *H. Macpherson: Herbert Spencer, The Man and his Work.* 1900. Przekład pracy niemieckiej *O. Gauppa* o Spencerze, wydał „Przegląd Filozoficzny“.

Spencer prowadził żywot beżżenny. Przyczyną tego nie był jakiś szczególny wstręt do kobiet, lecz brak odpowiednich środków materyalnych w młodości, a później nawyknienie do życia klubowego i towarzystwa męskiego. Zresztą, przez dłuższy czas posiadał własne domostwo, gdy mu owdowiała matka gospodarstwem zarządzała. Stosunek syna do niej był bardzo serdeczny, tak, że dziś mówią, iż nie było kobiety, którą by bardziej kochał nad matkę. Brak życia rodzinnego zastępowało mu liczne grono przyjaciół, oraz klub uczonych, przy ulicy Pall Mall, noszący nazwę „*Athenaeum*“. Do tego klubu uczęszczał przez długie lata prawie codziennie, a nie byłby Anglikiem, gdyby nie lubił rozlicznych gier i sportów. Jak najchętniej grywał w bilard i tenisa, w szachy i wista. Nadto przy nadarzającej się sposobności wiosłował dobrze. Prócz tego zajmował się w domu i praktycznemi zajęciami w miarę potrzeby, np. introliigatorstwem. Już wyjście na świat „*Statyki socyalnej*“ zjednało mu takich przyjaciół jak Huxley, Lewes, Georg Eliot (Marya Evans), a później przyłączyli się do nich najznakomitsi przedstawiciele świata umysłowego Anglii, z epoki królowej Wiktoryi. Więc Darwin, który go nazywał „naszym wielkim filozofem“, dalej John Stuart Mill, choć o 14 lat od niego starszy; Tyndall; znakomity podróżnik i botanik, dyrektor ogrodu botanicznego w Kew, Hooker; pierwszorzędny chirurg, który w swoim czasie leczył Napoleona III, H. Thompson; R. Garnett, znany poeta i dyrektor Brytańskiego Muzeum; Fr. Galton, podróżnik, prezes Instytutu antropologicznego; H. C. Bastian, autor dzieła o Darwinizmie; M. Foster, członek parlamentu i wydawca pamiętników naukowych Huxley'a; John Morley, wydawca dzieł Emersona, autor monografii o Roussie, a głośny w chwili obecnej autor życia Gladstona, wreszcie wspomniany wyżej I. Courtney, autor biografii Milla i Etyki w duchu Kanta.

W częstem, niemal codziennem obcowaniu z tymi i z wieloma innymi znakomitymi uczonymi, wytwarzała się atmosfera umysłowa dla prac filozoficznych Spencera. Opowiadają, iż ten stosunkowo bardzo mało czasu poświęcał na czytanie prac obcych, a jednak podziwiać należy nader szeroki zakres jego wiedzy naukowej. Otóż, rozwiązania tej sprzeczności szukać należy w powyższych stosunkach osobistych filozofa. Czem dla innych są dzieła naukowe, tem dla niego było żywe słowo najznakomitszych przyrodników, antropologów i literatów swego czasu, oraz wiadomości od nich bezpośrednio czerpane. Może to źródło nie było tak ścisłem w szczegółach, jak samo badanie odnośnych dzieł, ale okazało się wystarczającym dla owych szerokich uogólnień, które charakteryzują filozofię Spencera. Zresztą, w niektórych pracach korzystał bezpośrednio z pomocy takich przyrodników, jak Huxley i Hooker, którzy przeglądali w rękopisach jego *Fierwsze zasady i Biologię*.

Jednym z najwybitniejszych rysów charakteru Spencera, jest zupełna, indywidualna niezależność, bezwzględna samodzielność własnego sądu. Wprawdzie wiele poglądów i idei, które napotykamy w jego filozofii, nie są jego własnością, lecz dostały mu się w spadku po poprzednikach; ale poglądy te, zaczerpuwszy sam bezpośrednio u źródła ich, przetrawił bez niczyjej pomocy w zupełności, tak, iż stały się jego duchową własnością: więc też je wygłaszał i bronił jako samodzielnego dorobku własnego ducha.

Ten samodzielny indywidualizm pozostawał w związku z samouctwem Spencera, które doprowadziło go do przekonania, że w gruncie rzeczy, wszystko, czem jest umysłowo i czem świat obdarza, samemu sobie niemal zawdzięcza. Był on pod tym względem jednym z pierwszorzędných przedstawicieli owych „self made men“, których nie brak rasie anglosaskiej. Mając to na uwadze, nie zdziwimy się, że nie chciał być niczem innym, czem był sam przez się, że zatem też nikomu innemu nic zawdzięczać nie chciał. Więc nie przyjmował żadnych tytułów honorowych, inb odznaczeń. Uniwersytety angielskie zaliczały go do grona swych doktorów honorowych, towarzystwa wybierały go na członka, królowa Wiktorya pragnęła go obdarzyć odznakami za zasługi naukowe, podobnież i cesarz niemiecki ofiarował mu order „Pour le mérite“. Lecz Spencer odpowiadał na wszystkie te honory stanowczą odmową, choć ją zawsze grzecznie i skromnie motywował. Krytyka urzędowych przedstawicieli, zarówno filozofii, jak i nauk specjalnych, zarzucała mu niejednokrotnie samouctwo, wykazywała mu pewne braki, bądź znajomości dziejów filozofii, bądź należytego uwzględnienia najnowszych wyników nauk specjalnych.

Ztąd nie chciał przyjmować żadnego zgoła urzędowego charakteru, aby wraz z przyjęciem uznania nie sankcyonować pośrednio zarzutów, pochodzących z tego samego źródła.

W przeciągu długich lat mieszkał Spencer na zachodzie Londynu przy Leinster square, z kądem miał blisko do ogrodów Kensingtonskich, oraz do największego parku londyńskiego, Hyde Park, a ztąd niedaleko do klubu. Korzystał też sownie z tego sąsiedztwa, odbywając długie spacery po tych olbrzymich parkach. Później przeniósł się na północ do St John's Wood; ale i tu miał w bliskości Regent Park, oraz wspaniałe ogród zoologiczny. Z powodu nadwątlonego wyczerpującą pracą zdrowia, zamieszkał na ostatnie lata życia na południu Anglii, w wielkim miejscu kąpielowem Brightonie. Tu też umarł w osmdziesiątym czwartym roku życia, d. 8 grudnia 1903 r.

Stosownie do przedśmiertnego życzenia filozofa, zwłoki jego przewieziono d. 14 grudnia t. r. do Londynu i tu spalono w krematorium Golden Green, poczem urnę z popiołami, bez wszelkiego ceremoniału kościelnego, lub oznak żałoby, wstawiono do grobu marmurowego na cmentarzu High Gate. Mowę pogrzebową nad zwłokami wygłosił, zgodnie z życzeniem zmarłego, wspomniany wyżej przyjaciel jego, Leonard Courtney, charakteryzując z całym przedmiotowym spokojem osobistość i filozofię Spencera. Jedyłą oznaką żywszego uznania przy pogrzebie, była ofiara 1,000 funtów (10000 rb.) ze strony młodego uczonego indyanina, S. Krishnawarmy, na utworzenie katedry przy uniwersytecie Oksfordzkim, w celu propagowania poglądów znakomitego filozofa. Testamentem zapisał Spencer swoją bibliotekę Brytańskiemu Muzeum, a dochody ze swych dzieł rozdzielił pomiędzy różne towarzystwa naukowe. Bliższych krewnych po sobie nie zostawił.

III.

PIERWSZE ZASADY FILOZOFII SPENCERA.

Zasadnicze podstawy swych poglądów filozoficznych wyłożył Spencer we wspomnianym 1-m tomie swego *Systematu filozofii syntetycznej* p. t. *Pierwsze zasady*. Książka ta obejmuje właściwie trzy składowe części, pełnego naukowego systematu filozofii, jako to: Wstęp do filozofii z encyklopedyą nauk filozoficznych, Logikę jako teorię poznania, wreszcie Metafizykę, jako naukę o byciu, rzeczywi-

stości w ogóle. Spencer z natury rzeczy nie mógł pominąć zagadnień, wpadających w zakres tych zasadniczych nauk filozofii (co do ich treści i zadań zob. mój *Wstęp krytyczny do filozofii*, wyd. 3-e, str. 61 i nast.). Musiał on wyrobić sobie pewne pojęcie o istocie filozofii i jej stosunku do innych nauk, musiał zdać sobie sprawę z zasad poznania ludzkiego, które od czasów Platona i Arystotelesa stanowi przedmiot badań naukowych, objętych nazwami początkowo dyalektyki, później logiki, a dziś zazwyczaj teorii lub krytyki poznania. Wreszcie musiał Spencer dojść do pewnych poglądów na to, co nazywał bytem, rzeczywistością przedmiotową, a więc do pewnych najwyższych pojęć metafizycznych, choć zakres tego rodzaju badań, zgodnie z wynikami swej teorii poznania, ograniczył do minimum. Na wszystkie tedy pytania, stanowiące treść tych trzech nauk zasadniczej filozofii, daje Spencer odpowiedzi z zajętego przez siebie stanowiska. Przyjrzyjmy się bliżej tym odpowiedziom oraz drodze, którą Spencer do nich dochodził.

Za punkt wyjścia swych badań nie bierze Spencer dziejów filozofii, ani określenia jej istoty i zadań, ani wreszcie krytycznego rozbioru samego poznania, lecz uznaje bezpośrednio, że istnieją dla świadomości ludzkiej, dwie różne zupełnie dziedziny życia umysłowego: dziedzina niepoznawalna i poznawalna. O tamtej wiemy tylko, że jest, ale nic więcej o niej dociec nie możemy; ta zaś przedstawia właściwy przedmiot naszych badań. Zgodnie z tym zasadniczym faktem, przyjętym bez poprzedniego rozbioru ani istoty, ani środków ludzkiego poznania, a więc empirycznie i dogmatycznie, Spencer rozdziela wspomnianą książkę na dwie główne części, z których pierwsza traktuje o niepoznawalnem (the Unknowable), a druga o warunkach i prawach poznawalnego.

Idea niepoznawalnego wyrobiła się u Spencera na podstawie sceptycyzmu Hume'a, krytycyzmu Kanta, oraz odmian, jakim te poglądy podlegały w angielskiej filozofii, w osobie szczególnie Hamiltona i Mansela. Hume był bezwzględny subjektywistą i sceptykiem. Więc wszelka przedmiotowość leżała dla niego zupełnie po za obrębem wiedzy. Nawet czy *istnieje*, nie możemy powiedzieć stanowczo, bo i to pojęcie istnienia czegośkolwiek, jest wytworem podmiotowym, bez istotnej, niezależnej od nas przedmiotowości. Kant poddawał ten dualizm poznawczy krytycznemu rozbirowi. Ale nie przewyciężył go, lecz sprowadził do dwóch przeciwnych form poznawczych, z których jedna ma charakter niejako przyrodzonej organizacyi umysłu, a priori, a druga zaznacza treść, zaczerpniętą ze świata zewnętrznego, a posteriori, lecz przerobioną według owych form apriorycznych. Ztąd do istoty zjawisk, po za nami istniejącej, czyli

rzeczy samej w sobie, według Kanta, poznać nigdy nie możemy. Rzecz sama w sobie dostępną jest dla nas tylko jako zjawisko, urobione według form naszego umysłu. Wszelkie poznanie ludzkie, choćby najbardziej przedmiotowe, dotyczy jedynie świata zjawiskowego i pozostawać winno w jego granicach.

Przekroczenie tych granic pociąga za sobą sprzeczności, antynomie, których rozum ludzki na tem polu usunąć nie jest w stanie. Tę ostatnią myśl W. Hamilton sformułował w ten sposób, że tylko treść względna dostępną jest dla poznania ludzkiego; wszystko zaś, co ma charakter bezwzględności, leży po za obrębem poznania i jest tylko pojęciem negacyjnem, zaznaczającym ograniczonosc naszej pojętności. H. L. Mansel podziela to zdanie, ale dodaje, że wszelka filozofia, pragnąca wniknąć w czynnik bezwzględny istnienia, zamiast go uznać wiarą, doprowadza do ateizmu, gdyż filozofia taka, stawia na najwyższy plan świadomość ludzką i po za nią wyjść nie może.

Niepoznawalne Spencera jest dalszem rozwinięciem powyższych poglądów. Jest ono w jego pojęciu czynnikiem bezwzględnym bytu, absolutem, pewną pierwotną potęgą (power), wszelkiego realnego bytu. Samo istnienie takiego absolutu nie podlega wątpliwości. Uznanie względności wszelkich zjawisk świata, doprowadza bezpośrednio do uznania czynnika bezwzględnego, gdyż w przeciwnym razie nie byłoby owej względności, i same zjawiska byłyby bezwzględne, czem jednak nie są. A więc wątpić nie można, że istnieje absolut. On również nie jest tylko pojęciem negacyjnem, jak twierdził Hamilton, lecz jest czynnikiem realnym, leżącym po za wszelką względnością. Ale ponieważ poznanie ludzkie, może mieć za podmiot jedynie treść względną, dającą podstawę do porównań i uogólnień, przeto ów realnie istniejący absolut jest w zupełności niepoznawalnym dla nas; o nim zgoła żadnego pojęcia wytworzyć sobie nie możemy.

To pojęcie niepoznawalnego daje Spencerowi pochop do rozbioru wzajemnego do siebie stosunku wiary i wi-dzy, religii i nauki. Według niego, nie ma pomiędzy temi objawami umysłowego życia człowieka, istotnej sprzeczności. Przeciwnie, one się wzajemnie dopełniają i dochodzą do wspólnego wyniku, jeżeli tylko uwzględnimy ich ogólny, zasadniczy charakter, a nie przemijające, zmienne ich objawy.

Istota religii polega na wierze w istnienie tajemniczego czynnika wszechbytu, na uznaniu misteryum. Szczegółowe religie usiłują wprawdzie wniknąć w to misteryum i dać człowiekowi przybliżone pojęcie o niem. Ale im wyższego stopnia rozwoju dosięga religia, przechodząc od fetyszyzmu i uosobień mitologicznych do pojęć ogólnych, tem szczerzej uznaje niepoznawalność ostatecznego czynnika bytu,

tem bardziej wyzwała się od wszelkiego pojęcia, niepojętego absolutu. Dochodzimy do jego uznania na podstawie nieokreślonej świadomości o ostatecznej istocie wszechrzeczy, której atoli bliżej sformułować nie jesteśmy w stanie. Okazuje się bowiem, że bliższe określenie absolutu, możliwe jest tylko w związku z danym światem zjawiskowym. W tym względzie istnieją trzy możliwe poglądy: albo sam świat uznaje się za absolut, co doprowadza do ateizmu; albo świat staje się bezpośrednim objawem absolutu, jak twierdzi panteizm; albo wreszcie świat jest utworem absolutu, jak uczy teizm. Wszystkie te poglądy nie dają się jednak bez wewnętrznej sprzeczności konsekwentnie przeprowadzić, więc pozostają niezrozumiałymi i wykazują wzajemnie swoje braki zasadnicze. A więc żaden nie może być przyjętym, a umysł ludzki ograniczyć się musi ostatecznie uznaniem, że misteryum absolutu i jego stosunku do świata jest nierozwiązalnym.

Otóż, do tego samego wyniku doprowadza, według Spencera, i nauka na każdym kroku. Wychodząc z danych świata zjawiskowego, w którym wszystko jest wzajemnie uwarunkowaniem, badanie naukowe dochodzi do pewnych, najogólniejszych pojęć zasadniczych, jak: przestrzeń, czas, ruch, siła, materya, dalej czucie, świadomość, jako jednia podmiotu i przedmiotu i t. p. Ostateczne zaś określenie istoty tych czynników, okazuje się niemożliwym ze stanowiska naukowego, bo wikała umysł ludzki w nierozwiązalne sprzeczności. Wszystkie te czynniki sprowadzają się do pojęcia bytu, istnienia. Ale czem ten byt, to istnienie jest samo w sobie, tego żadną miarą dociec nie możemy. Znamy jedynie zjawiska świata, widzimy ich zależność od pewnych czynników bezwzględnych bytu — ale zależności tej ani pojąć, ani zbadać nie jesteśmy zdolni. Wogóle wzajemny do siebie stosunek świata i pozaświatowego absolutu leży zupełnie po za obrębem naszej pojętności.

To też z tego stanowiska nauka nie sprzeciwia się religii, lecz ją stwierdza. Nauka nie rozstrzyga wprawdzie kwestyi, czy absolut jest osobą, Bogiem, ale też jej nie zaprzecza; przeciwnie, może uznać, że jest czemś wyższem nad osobowość, podobnie, jak nasza inteligencja i wola, przewyższają mechanizm martwej przyrody. Nauka pozostawia tedy pole otwarte dla wiary i religii, ale nie podejmuje się rozwiązania jej zagadnień.

Nie mamy w niniejszej pracy zamiaru, poddawać poglądów Spencera wszechstronnemu krytycznemu rozbirowi. Cel nasz jest przeważnie sprawozdawczy. Pomimo to, nie możemy się wstrzymać od kilku uwag krytycznych, dotyczących samego pojęcia niepoznawalnego w filozofii Spencera. Przedewszystkiem należy jednak zauwa-

żyć odnośnie do tego pojęcia to, co się tyczy Kantowskiego pojęcia niepoznawalnej rzeczy samej w sobie. mianowicie, że przyznanie istnienia absolutu już samo przez się jest pewnem poznaaniem jego. Widział to jasno Hume i dla tego, wraz z zaprzeczeniem poznawalności absolutu, dochodził do zupełnego sceptycyzmu. Przecież istnienia jakiejś rzeczy nie możemy przyznać bez odpowiednich do tego danych. Jeżeli zaś mamy pewne dane do uznania, wraz ze Spencerelem istnienia absolutu, to należy sobie koniecznie przedłożyć pytanie, czy te dane nie wystarczają zarazem do pewnego bliższego określenia jego zasadniczych własności? Realne istnienie nie jest abstrakcją, lecz ujawnia się zawsze w pewnych, konkretnych, szczegółowych objawach, a te przecież stanowią podstawę do bardziej szczegółowego określenia rzeczy, uznanej za istniejącą. W każdym razie, poruszone tu zagadnienie narzuca się bezpośrednio myśli i domaga się rozwiązania. Tymczasem, zagadnienie to wcale dla Spencera nie istnieje, co świadczy o zbyt dogmatycznym nastroju jego umysłu, pozostającym w ścisłym związku z jego empiryzmem.

Nadto widoczną jest rzeczą, że Spencer nie rozróżnia należyście *niepoznanego* od *niepoznawalnego*. To, co jeszcze nie jest poznanem, może być jednak poznawalnem, może z czasem, przy postępie wiedzy, stać się przedmiotem poznania. Właściwie, prosty fakt, że poznanie nasze jest ograniczonem, że wiele, bardzo wiele, pozostaje nam jeszcze do poznania, Spencer przyjmuje za podstawę do swego pojęcia niepoznawalnego. Brak w jego filozofii krytyki poznania, usprawiedliwiającej należyście jego pogląd na granice ludzkiej pojętności. Za mało w tym względzie skorzystał z Kanta, za mało dążył do uzasadnienia swej niechęci do głębszych badań nad ostatecznymi zasadami wiary ludzkiej i nad wyjaśnieniem naszych pojęć o tem, co należy nazwać realnem, bytującym, a więc naszych pojęć metafizycznych.

W zaznaczony powyżej sposób załatwił się tedy Spencer bez głębszych dociekań, z zasadniczymi zagadnieniami krytyki poznania. Druga część, znacznie obszerniejsza, jego dzieła o *Pierwszych zasadach*, przechodzi już na pole świata zjawiskowego, jako przedmiotu bezpośrednio dostępnego dla naszego poznania i dotyczy głównie zagadnień, wpadających w zakres *Wstępu do filozofii i metafizyki*.

Dwie są dziedziny życia umysłowego, mające, według Spencera, za przedmiot badanie i poznanie dostępnego dla nas świata zjawiskowego; dziedziami temi są *filozofia* i *nauki specjalne*. To też [należy zająć się przedewszystkiem określeniem ich zadań z ich wzajemnego do siebie stosunku.

Przy określeniu filozofii zasługuje na szczególną uwagę udział czynnika *syntezy* w sposobie myślenia i badaniach filozoficznych Spen-

cera. Swoją filozofię nazywa on, jak widzieliśmy, *syntetyczną*, więc można przewidzieć, że od bliższego pojęcia samej syntezy, zależy też cały jego systemat filozoficzny. Jaką syntezę ma tedy Spencer na oku?

Zgodnie ze swem stanowiskiem poznawczem, biorącym za podstawę swych badań dany empirycznie świat zjawiskowy, jasną jest rzeczą, że przedewszystkiem ma na oku syntezę filozoficzną szczegółowych badań zjawisk tego świata. A że badania te stanowią przedmiot nauk specjalnych, przeto synteza ostatecznych wyników tych nauk, stanowi główną treść filozofii Spencera. Z tem też zgadza się jego określenie filozofii w stosunku do nauk specjalnych, nazywanych przez niego często prościej nauką. „Poznanie niższego stopnia, mówi, jest poznaniam uogólnionem wcale; nauka jest poznaniam uogólnionem w szczególności, filozofia jest poznaniam zupełnie uogólnionem“. To, co nauki specjalne dobywają za pomocą uogólnień, dotyczących odnośnych przedmiotów ich badania, to filozofia powinna objąć syntetycznie i przez to dojść do „zupełnie zjednoczonej wiedzy (complete unified knowledge)“.

Takie określenie filozofii zbliża się pod niejednym względem do określenia Augusta Comte'a, który w filozofii pozytywnej nie widział właściwie nic innego, jeno encyklopedyczne streszczenie wyników nauk specjalnych. Z drugiej jednak strony miał Spencer zupełną słusność, gdy zaprotestował jak najusilniej przeciwko zaliczaniu go do szkoły pozytywistów w duchu Comte'a. Już pogląd Spencera na istotę i zadania filozofii, wyodrębnia go od pozytywistów, gdyż filozofia ma według niego swój własny, samodzielny przedmiot badania, i nie jest tylko streszczeniem wyników nauk specjalnych. Tym jej przedmiotem są właściwie owe najwyższe uogólnienia, wynoszące się po nad uogólnienia nauk specjalnych i doprowadzające wiedzę ludzką do syntetycznej jedni. Filozofia wprawdzie i według Spencera czerpie swój materiał z nauk specjalnych, ale najwyższe jej uogólnienia nie są bezpośrednio dane w naukach specjalnych, lecz są wynikiem odrębnych dociekań i okazują się nawet owocnemi, odwrotnie przy badaniach specjalnych, jako czynniki, wyjaśniające ich materiał szczegółowy. Synteza filozoficzna jest tedy dla Spencera, samodzielnym dorobkiem umysłu, dorobkiem, którego bynajmniej nie wyczerpuje proste zestawienie wyników nauk specjalnych, jak twierdzi pozytywizm.

Prócz tak pojętej syntezy, napotykamy w filozofii Spencera tu i owdzie poglądy, świadczące o tem, że odczuwał on potrzebę syntezy filozoficznej i pod innymi względami, mianowicie jako współczynnika metody badań filozoficznych. Tak np. wypowiada on nieraz wyraźnie myśl, że najrozliczniesze systemata i teorye filozofii, na pozór nawet

sprzeczne ze sobą, zawierają w sobie jeszcze czynniki prawdy, jako objawy pewnych potrzeb i dążności umysłu ludzkiego, zasługujących na uwzględnienie. Prawda najogólniejsza, najwyższa, powinna tedy objąć syntetycznie wszystkie takie poglądy, wyrównać ich sprzeczności i doprowadzić je do wspólnego mianownika. W tym duchu, odnośnie do określenia istoty i zadań filozofii, wyraźnie zaznacza, że pogląd Niemców na filozofię, zbyt rozległy, obejmujący ontologię, i pogląd Anglików, zbyt ciasny, sprowadzający całą filozofię właściwie tylko do filozofii przyrody, zawierają w sobie czynniki prawdy, które doprowadzają do pełniejszego, syntetycznego poglądu, zaznaczonego wyżej a wyrównywanego te jednostronności. Podobnie przy rozbiórce pojęć ducha i materji, Spencer w końcu swych *Pierwszych zasad*, wypowiada przekonanie, że przeciwstawność tych pojęć nie odpowiada istotnej prawdzie, która obejmuje ducha i materję, jako współczynniki jednego w sobie bytu, niepoznawalnego jednak, jak widzieliśmy, co do swej właściwej istoty.

Pomimo takiego, dość częstego spożytkowania czynnika syntezy, Spencer, nie zajmując się wogóle rozbiorem metody badań filozoficznych, nie zdawał sobie też sprawy z metodologicznego znaczenia syntezy, lecz posiłkował się nią tylko sporadycznie, przypadkowo, że tak powiem, bezwiednie. Tymczasem, kwestya metody badań filozoficznych, tak jest zasadniczo ważną, że bez jej należytego rozbioru, żaden systemat filozofii nie może być uznany za wszechstronnie rozwinięty i pełny. Rozbiór tego zadania, a w szczególności też syntezy, jako czynnika metodologicznego, z uwzględnieniem poglądów Spencera, podaję w swym *Wstępie do filozofii*, str. 560 i nast., więc też tutaj nad tym przedmiotem dłużej się nie zatrzymuję.

Od określenia filozofii, przechodzi Spencer do przedstawienia zasadniczych danych filozofii, jako podstaw jej dalszego rozwoju. Dane te wylicza dość dogmatycznie, przy pomocy wprawdzie filozoficznej refleksyi, ale bez bliższego ich uzasadnienia i rozbioru. Sprowadzają się one, według niego, przedewszystkiem do faktu, że posiadamy świadomość, rozróżniającą zjawiska ze stanowiska ich podobieństwa do siebie lub niepodobieństwa, czyli różnicy (likeness and unlikeness or difference). W świecie zjawiskowym mamy do czynienia jedynie z manifestacyami, podlegającemi temu rozróżnieniu. Zjawiska podobne do siebie jednoczymy, uogólniamy i przeciwstawiamy im niepodobne.

Najpierwotniejszym objawem takiego rozróżnienia, a następnie i uogólnienia, jest przeciwstawność wśród zjawisk naszego życia wewnętrznego, między stanami umysłu *wyrazistemi*, *żywemi* i stanami

slabemi, przytłumionemi (vivid and faint manifestations). Pierwsze są stanami pierwotnemi, oryginalnemi i przyjmują dla naszej świadomości charakter przedmiotów zewnętrznych, wogóle świata przedmiotowego. Drugie zaś wypływają z działania pamięci, wyobraźni, wogóle ideozacy i są tylko kopiami tamtych. One to stanowią naszą subiektywną jaźń, którą światu przedmiotowemu przeciwstawiamy. Cała dalsza wiedza ludzka, opiera się, według Spencera, na tem zasadniczem rozróżnieniu i przejawia się w całym rozwoju życia umysłowego.

Mimochodem zaznaczamy tu, że Spencer przejął powyższe rozróżnienie od swych poprzedników, począwszy od Locke'a i Hume'a i sam nie zadaje sobie wcale pytania, dla czego to na nasze pojęcie świata zewnętrznego, mają się składać wyłącznie wrażenia żywe, wyraziste, oryginalne, a na naszą subiektywną świadomość, jedynie wrażenia słabe, przytłumione, o charakterze kopij. Faktycznie przekonać się przecież można łatwo, że i do świata przedmiotowego odnoszą się często wrażenia słabe, wątle, lub też będące kopiami poprzednio doznanych. W skład zaś jaźni wchodzi nieraz wrażenia bardzo wyraziste, żywe, pierwotne, przyczyniające się do rozwoju osobistej świadomości. Czyż wogóle takie chwiejne, nieokreślone rozróżnienie wrażeń żywych i słabych, może dać ścisłą podstawę do wyjaśnienia różnicy między światem przedmiotowym i jaźnią? Czy tu nie odgrywa ważniejszej daleko roli różnica między *akcją* przedmiotową, biernie przejmowaną, a *reakcją*, świadczącą o samodzielnej, czynnej sile, przeciwstawiającej się działaniu zewnętrznemu i urabiającej wyniki tego działania na swój ład, podmiotowy, subiektywny? W każdym razie, kwestyi tak zasadniczej nie można pozostawić bez bliższego rozbioru, jak to Spencer czyni.

Na podstawie powyższych pierwotnych „danych“ filozofii, określa Spencer szereg dalszych pojęć zasadniczych, mających charakter metafizyczny, bo dotyczą bytu w ogóle, lecz przedstawianych jako wyniki prostej refleksyi nad empirycznie danymi faktami. Należą tu mianowicie pojęcia, naprzód *rzeczywistości*, a następnie *przestrzeni* i *czasu*, *materji* i *ruchu*, wreszcie *sily*. Pogląd na te pojęcia daje Spencerowi podstawę do całego dalszego rozwoju filozofii syntetycznej.

Rzeczywistością nazywa Spencer to, co przyjmuje charakter stałości w naszej świadomości. A że na taką stałość składają się najrozsliczniejsze, szczegółowe czynniki, zależne wzajemnie od siebie i znajdujące się do siebie w rozlicznych, choć stałych stosunkach, więc rzeczywistość przyjmuje dla nas z natury rzeczy rozliczne formy. Formy te przedstawiają się nam przedewszystkiem, bądź jako współistnienie zjawisk, bądź jako ich następstwo po sobie. Rozpatrując te

formy abstrakcyjnie, same w sobie, dochodzimy do pojęć *przestrzeni* i *czasu*. Jeżeli zaś zwracamy zarazem uwagę na konkretne zjawiska, wypełniające te formy, natenczas wytwarzają się w naszym umyśle pojęcia *materji* i *ruchu*. Każde konkretne zjawisko, zajmujące pewne miejsce w przestrzeni, oraz pewną chwilę w szeregu czasowym, ma za swój podkład materję i objawia się jako pewien ruch. Skoro jednak w dalszym pochodzie naszych dociekań zdajemy sobie sprawę z przyczyn zjawisk, okazuje się, że wszystkie powyższe pojęcia dają się sprowadzić do jednego wspólnego, jako ich głównego czynnika, a mianowicie do pojęcia *siły*. Przestrzeń i czas są właściwie tylko warunkami dla przejawu siły, a materja i ruch są jej bezpośrednimi manifestacyami, czyli objawami.

Cały świat zjawiskowy, jak w ogóle cała treść naszej zmysłowej wrażliwości, składa się, według Spencera, z samych tylko wrażeń siły, które ostatecznie wyłaniają się, jako względne skutki i objawy owej bezwzględnej przyczyny, objętej pojęciem niepoznawalnego absolutu. Wszelkie tedy dalsze badanie świata zjawiskowego, łączy się jak najściślej z pojęciem siły i z prawami, które się ujawniają w jej działaniu.

Do praw, wynikających z rozbioru objawów siły, należy przede wszystkim, jako najwyższe w tym zakresie, prawo zachowania czyli stałości (persistence) siły. Z niego wypływają wszystkie inne prawa, oraz wszelkie czynniki, zdolne doprowadzić do wyjaśnienia zjawisk świata. Wraz z prawem zachowania siły, ujawnia się bezpośrednio prawo stałości we wzajemnem uwarunkowaniu się i w stosunkach objawów siły, czyli w ogóle stała, niezmienna prawidłowość w przebiegu zjawisk świata.

Wszystkie jednak prawa, złączone z pojęciem siły, mają, według Spencera, charakter analityczny i same przez się nie doprowadzają do jednolitego, syntetycznego poglądu na świat i jego zjawiska. Do tego niezbędnem jest prawo, wykazujące związek pomiędzy zjawiskami, a szczególnie pomiędzy ich czynnikami składowemi, jakimi są materja i ruch. Oto te czynniki podlegają bezustannej zmianie, a owe prawo syntetyczne, powinno określić faktyczne podstawy tych zmian. Ujawniają się one w dwóch zasadniczych procesach świata zjawiskowego, nazwanych przez Spencera *rozwojem* (evolution) i *rozkładem* (dissolution). Każde zjawisko w czasowym swym poglądzie przebywa te dwa procesa, które określić można jako przejście, bądź ze stanu nieokreślonego i niewidzialnego rozłożenia w stan skoncentrowany, widzialny i coraz bardziej określony; bądź też odwrotnie z takiego stanu widzialnej i określonej koncentracji w stan niewidzialnego i nieokreślonego rozłożenia.

Przy dalszym rozbiorze tych procesów, Spencer określa rozwój jako *integracyą* materyi, t. j. jako przejście ze stanu jednorodności (homogeneous) w stan zjednoczonej różnorodności (heterogeneous). Przejście to pociąga za sobą zawsze odpowiednie rozszerzenie zakresu ruchu (dissipation), oraz dyfferencyacyą szczegółowych funkcji danej całości. Rozkład natomiast przedstawia mu się jako *disintegracyą*, czyli rozwiązanie łączności pierwiastków. Wynikiem rozwoju jest równowaga wchodzących w grę czynników. Ale ponieważ przy osiągnięciu równowagi siły, jestestwa rozwijające się podlegają neutralizacyi, przeto naturalnym skutkiem owego ostatniego momentu rozwoju, jest przemoc sił zewnętrznych, doprowadzająca do rozkładu, który trwa tak długo, póki nowe siły koncentracyjne nie wywołają nowego rozwoju. W ten sposób powstaje, podług Spencera, pewien rytm, zarówno w pochodzie szczegółowych zjawisk, jak w procesie wszechświatowym, daje nam możność bliższego wyjaśnienia faktycznych dziejów, tak świata w ogóle, jak i dziejów ziemi, życia organicznego, ludzkości, oraz jej wytworów społecznych.

To też tylko ze stanowiska tych procesów, rozwoju i rozkładu, można, według Spencera, objąć całość świata i dojść do syntetycznego poglądu na jego zjawiska. Dla tego też cały dalszy pochod swych poszukiwań filozoficznych, opiera Spencer na tych procesach i z ich punktu widzenia poddaje rozbiorowi szczegółowy materiał wiedzy empirycznej.

Powyższe określenia rozwoju i rozkładu urobiły się w umyśle Spencera tylko stopniowo. W *Statyce socyalnej* z r. 1850, jest on jeszcze zwolennikiem celowości w rozwoju, szczególnie stosunków społecznych. Za przykładem angielskiego moralisty XVIII wieku, W. Paley'a, dowodzi on tutaj, że Stwórca miał na celu szczęśliwość w rozwoju istot żywych. Ale już w pracy o *Hipotezach rozwoju* z r. 1852, występuje przeciwko teorii stworzenia świata i celów Stwórcy i przejmuje się ideą *rozwoju* wszechświata. Okazuje się tu, że odnośne teorye, szczególnie Lamarcka, nie były mu obce. Atoli w pracy tej nie określa jeszcze bliżej własnego poglądu na współczynniki rozwoju wszechświatowego. Dopiero w rozprawie o *Postępie i jego rozwoju* z r. 1857, powołuje się na pogląd znakomitego przyrodnika Baera, który przejście ze stanów jednorodności do różnorodności, uznawał za istotę rozwoju życia organicznego. Z tych danych dochodzi Spencer następnie do wyrobienia swego pojęcia integracyi i disintegracyi, jako głównych czynników rozwoju i rozkładu i wyjaśnia ten proces w związku z prawem zachowania siły. W ten sposób zasadniczy pogląd na ewolucyę był już zupełnie wyrobionym w umyśle Spencera, nim się w r. 1859 pojawiło znakomite dzieło Darwina.

o *Powstawaniu gatunków*. Z tem wszystkim i ono przyczyniło się niewątpliwie do uznania przez Spencera ewolucyi za zasadnicze prawo świata zjawiskowego. Na wszechstronnem zaś zastosowaniu i konsekwentnem przeprowadzeniu tego prawa ewolucyi, polega cała szczegółowa treść filozofii syntetycznej angielskiego myśliciela.

IV.

BIOLOGIA I PSYCHOLOGIA SPENCERA.

Zasadniczego prawa rozwoju i rozkładu, nie stosuje Spencer szczegółowo do przyrody nieorganicznej. Wprawdzie już w *Pierwszych zasadach* ilustruje swe ogólne wywody, często danemi zaczerpniętymi z zakresu kosmologii i geologii, podobnież w swych *Zasadach biologii*, uwzględnia dane z zakresu chemii i fizyki. Ale pomimo to, systematycznie rozwiniętego poglądu na proces świata nieorganicznego, a w szczególności na czynniki rozwoju i rozkładu, ujawniające się w tym procesie, nie napotykamy w dziełach Spencera. Cały jego systemat, po wyłożonej wyżej części ogólnej, obejmuje tylko szczegółowy wykład biologii i psychologii, oraz socjologii i etyki.

Co za przyczyna tego braku? Spencer sam przyznaje się do niego, mówiąc, że z logicznego toku rzeczy, należało po *Pierwszych zasadach*, zająć się zastosowaniem zasady ewolucyi do nieorganicznej przyrody, ale dodaje, że ten wielki dział opuścił po części dla tego, że programat jego systematu syntetycznej filozofii i tak jest zbyt rozległy, poczęści zaś dla tego, że wyjaśnienie przyrody organicznej, ma daleko bezpośredniejszą doniosłość.

Nie wydaje mi się, aby te przyczyny usprawiedliwiały należycie pominięcie nieorganicznej przyrody, tem bardziej, że Spencer według swych *Pierwszych zasad*, miał na celu wykazać, że najwyższe objawy świata są ewolucyjnym wytworem najpierwotniejszych jego pierwiastków, t. j. siły w formach materji i ruchu, czynnych według prawa zachowania siły; pragnął tedy zmechanizować, o ile można, prawo ewolucyi. Przecież prosto powiedział, że jak geologia jest tylko dalszym ciągiem i częścią astronomii, tak znowu biologia jest dalszym ciągiem i częścią geologii. Ale właśnie w celu konsekwentnego przeprowadzenia takiego poglądu, należało koniecznie zająć się rozbiorem pierwotnego czynnika wszechświatowego i z jego faktycznie danych

własności, przy pomocy owych zasad, wyjaśnić powstanie ustroju kosmicznego, jako podstawy wszelkich szczegółowych objawów życia. Łatwiej niewątpliwie stosować zasadę ewolucyi do gotowej już „materii organicznej“, aniżeli wykazać, jakimi drogami nieorganiczna materya się zorganizowała przy pomocy samych praw mechaniki; jakim sposobem stała się zawiązkiem życia, a z czasem nawet dopełniła prawo zachowania siły nowem prawem ideologicznem, przystosowania czynników wewnętrznych do warunków zewnętrznych i zachowania czynników najodpowiedniejszych (survival of the fittest).

To też chyba nie miniemy się z prawdą, gdy powiemy, iż główną przyczyną, że Spencer w badaniach swoich przeskoczył tę dziedzinę przyrody nieorganicznej, były trudności, jakie napotykał we wszechstronnem przeprowadzeniu swych pierwszych zasad właśnie na tem polu. Konieczność sprowadzenia nietylko wszelkich późniejszych objawów przyrody, ale nawet samych współczynników ewolucyi, do pewnych własności pierwotnej siły kosmicznej, byłaby go, prędzej czy później, zmusiła do dalszego rozbioru samej idei ewolucyi, może i do dopełnienia jej nowemi, bardziej racjonalnemi czynnikami.

Bo w samej rzeczy, czy mamy prawo powiedzieć na podstawie faktycznych danych, że ewolucya sama przez się jest czynnikiem twórczym wszechświata, zdolnym obdarzać pierwotną materję kosmiczną jakimiś nowemi własnościami, których początkowo wcale nie posiadała? Czyby to nie zbliżało się do dogmatu o tworzeniu czegoś z niczego? Okazuje się tedy, że proste empiryczne pojęcie procesu wszechświatowego, nie dopuszcza żadnych bezwzględnych nowości twórczych, lecz wszystko, a więc i samą ewolucję, zmuszone jest wyprowadzić z pierwotnych własności owego czynnika, który się w świecie rozwija, bez względu na to, jakim mianem ten czynnik oznaczmy, czy go nazwiemy materją pierwotną, czy ogólnikowo przyrodą, czy substancją, czy według panteizmu samym Bogiem, czy wreszcie według Spencera Niepoznawalnem. Oderwijmy się od tych i tym podobnych nazw, a trzymajmy się rzeczy, i to znówu nie *rzeczy samej w sobie*, niepoznawalnej w duchu, czy Kanta, czy Spencera, lecz rzeczy faktycznie danej, według zdania i tych myślicieli dla nas dostępnej, a więc pozostajmy zupełnie w zakresie świata zjawiskowego. Czyż właśnie w tym zakresie nie musimy wyznać, że ostateczne wyniki procesu wszechświatowego, nie mogą zawierać w sobie nic bezwzględnie nowego, spadającego, że tak powiem, z nieba, bez związku z poprzedniemi danemi warunkami rozwoju? Takie zaś *empiryczne* pojęcie ewolucyi, czyż nie doprowadza do przekonania, że widoczne i ujawnione własności naturalnych wytworów ewolucyi, nie są żadną

bezwzględna nowością, lecz istniały już pierwotnie, tylko w sposób utajony, w samym czynniku, podlegającym rozwojowi?

Jeżeli tedy w procesie ewolucyjnym przyrody, napotykamy życie i myśl, jako najwyrazistsze, faktycznie dane objawy tego procesu, to czyż pierwotny czynnik, będący podstawą całego rozwoju, może być pojmowany jako martwy i bezmyślny? Jakie motywa mogą skłonić badacza do wyłączenia tych zasadniczych własności życia i myśli z pierwotnego czynnika świata, skoro one właśnie stanowią najwspanialszy objaw rozwoju? Powołanie się w tym względzie na niepoznawalność pierwotnego czynnika świata, jest w gruncie rzeczy tylko wybiegiem, zastosowanym do czynnika życia i myśli, a usuwanym bez skrupułu, ale i bez należytej racji, gdy idzie o uznanie martwego i bezmyślnego czynnika świata, t. j. siły, określanej fizycznie w formach materji i ruchu.

Skoro naturaliści, a wraz z nimi i Spencer, przyjmują taki czynnik za punkt wyjścia do wyjaśnienia całego bogactwa objawów życia i myśli, to na jakiej zasadzie mogą się powołać na jego niepoznawalność wobec myślicieli, uznających życie i myśl za równie pierwotne własności owego rozwijającego się czynnika, t. j. za własności, które nie dają się wyprowadzić z martwej i bezmyślnej materji, przypuszczając nawet miliardy lat poprzednich rozwoju, t. j. najrozlicniejszych odmian metafizycznych.

Otóż, Spencer wolał pominąć całą dziedzinę świata nieorganicznego i wprost przystąpić do wykładu swego poglądu na „materję organiczną“, aby nie być zniewolonym do rozbioru istotnych własności pierwotnego czynnika ewolucji i wskutek tego zapewne odstąpić od jego pojęcia w duchu tradycji sensualistycznego naturalizmu. Widzieliśmy przecie powyżej, że sam Spencer posiada pewne syntetyczne pojęcie bytu, absolutu, obejmujące ducha i materję w swej jedni. Ale tego pojęcia nie uwzględniła należycie w rozwoju swych poglądów, lecz przy wyjaśnieniu zjawisk świata, pozostaje na stanowisku jednostronnego naturalizmu *).

Wykład *biologii*, albo raczej samych tylko *zasad* biologii, rozpoczyna Spencer rozbiorem materji organicznej, oraz działania sił na nią, jako też jej przeciwdziałania w stosunku do sił (akcja i reakcja).

*) Ponieważ nie mogę na tem miejscu rozwinąć wszechstronnie powyższych uwag, zmuszony jestem powołać się znowu, dla czytelników interesujących się tem zagadnieniem, na mój *Wstęp do filozofii*, gdzie w rozdziale o rozwoju filozofii (str. 661 i nast.), poddaję krytycznemu rozbiorowi pojęcie rozwoju wogóle u Hegla, Comte'a i Spencera.

Życie, ujawniające się w materji organicznej, Spencer przyjmuje tedy jako dany fakt i stara się tylko dojść do jego najogólniejszego określenia, jako podstawy do wyjaśnienia jego szczegółowych objawów. Najkrótsza, i zarazem najogólniejsza definicya życia, daje się, według niego, sprowadzić do zdania: życie, jest to ciągle przystosowanie się wewnętrznych stosunków do stosunków zewnętrznych (the continuous adjustment of internal relations to external relations). Przez wewnętrzne stosunki należy tu rozumieć pewne kombinacye zmian, dokonywających się w materji organicznej, bądź jednocześnie, bądź w następstwie czasowem; zewnętrzne zaś stosunki oznaczają współlistnienie, lub następstwo sił zewnętrznych, oddziaływających na materję organiczną. W świecie nieorganicznym niema tej przeciwstawności. Siły zewnętrzne wywołują tu bezpośrednio skutki, działając nawzajem na siebie, ale nie powodują reakcyi wtórnej, jak w organizmie, który, ulegając zmianom w jednym momencie, przygotowuje się do reakcyi na ponowne działanie sił zewnętrznych. Życie jest właśnie wynikiem wzajemnego na siebie oddziaływania i związku (correspondence) tych dwóch czynników, wewnętrznego i zewnętrznego, a w szczególności przygotowania się czynnika wewnętrznego do stosunków zewnętrznych.

Stosownie do stopnia wzajemnego scharakteryzowania zaznaczonych czynników, życie przyjmuje różne formy. Rozwój, ewolucya tych form życia, przedstawia szereg stopniowo coraz bardziej zharmonizowanego związku między czynnikiem wewnętrznym i zewnętrznym.

Od pierwszych zawiązków życia ujawnia się w każdej istocie żywej dążność do takiego, możliwie pełnego przystosowania wewnętrznych czynników swego bytu do danych warunków zewnętrznych. W miarę wszechstronniejszego urzeczywistnienia tego celu, a więc w miarę dokonywających się w tym kierunku zmian w funkcyach i ustroju, dana istota nabiera więcej sił żywotnych i przeciwstawia się tem skuteczniej siłom zewnętrznym, spożytkowując je coraz lepiej dla swego istnienia i rozwoju. Istoty, przystosowane należycie do zewnętrznych warunków, posiadają tedy większą żywotność i przekazują je swym potomkom, podczas gdy istoty nienależycie przystosowane, bądź giną bez potomstwa, bądź też wydają potomstwo coraz mniej zdolne do życia, więc skazane prędzej czy później na zagładę. A że nadto wraz z temi czynnikami przystosowania i dziedziczności, działa wciąż powszechnie prawo integracyi i disintegracyi, całkowania i różniczkowania zjawisk, więc ewolucya organiczna ujawnia się w ten sposób wydaniem coraz rozmaitszych, a zarazem coraz pełniejszych i doskonalszych objawów życia.

Na podstawie tych ogólnych pojęć o życiu organicznem i jego rozwoju, wyjaśnionych przy pomocy całego odnośnego materiału przyrodniczego, przechodzi Spencer następnie do szczegółowego rozbioru faktów ewolucyi pod względem morfologicznym i fizyologicznym i zamyka wreszcie biologią wykładem praw rozmnażania się organizmów (*Laws of multiplication*).

W morfologii usiłuje przedstawić teorię form organicznych, począwszy od pierwszych zawiązków życia, roślin i zwierząt, aż do form najbardziej skomplikowanych. Zasadniczą tendencją wszelkich w tym względzie wywodów, jest udowodnienie, że nieskończone odmiany, jakie wykazuje morfologia w ustroju życia organicznego, a mianowicie odmiany, jakim podlega jednostka morfologiczna, komórka, są bezpośrednim wynikiem działania owych najogólniejszych czynników prawa ewolucyi, o których była mowa powyżej.

Prawda, że sam celowy postęp wszystkich odmian ewolucyjnych, jako całość, nie zostaje przez Spencera należycie dotkniętym, a tem mniej wyjaśnionym, dla zaznaczonych już powodów. Pomimo to, nie ulega wątpliwości, że w licznych szczegółach, dotyczących wytworów morfologicznych życia organicznego, Spencer rzuca nowe światło, wskutek zastosowania do nich swego zasadniczego poglądu na współczynniki ewolucyi. I tu ujawnia się jedna z największych zasług tego myśliciela, polegająca na tem, że faktyczne dane nauk przyrodniczych, wyjaśnia z ogólnego filozoficznego punktu widzenia, przy pomocy ścisłego, choć może czasem zbyt ciasnego określenia zasadniczych czynników wszelkich szczegółowych zjawisk danego rodzaju.

Toż samo powiedzieć należy, o części fizyologicznej jego biologii. Tu uwagę swoją myśliciel ześrodkowuje na procesach, dokonywających się w samych ustrojach organicznych. Ale i tutaj idzie mu głównie o wykazanie, że procesa te podlegają najrozliczniejszym zmianom wskutek działania owych współczynników prawa ewolucyi. Diferencyacya, różniczkowanie funkcyj organicznych, a mianowicie fizyologicznych jednostek, daleko więcej skomplikowanych, niż morfologiczne, pociąga za sobą i odpowiednie zmiany w ustroju organizmu; wytwarza stopniowo nowe narządy, organa, które ze swej strony przy pomocy całkowania, stają się podstawą dla dalszego rozwoju rozlicznych czynności organizmu.

W ten sposób tłumaczy się, według Spencera, takie zasadnicze i coraz pełniejsze objawy życia organicznego, jak odżywianie, wzrost, ruch coraz swobodniejszy, wreszcie odrodzenie i wzmożenie jednostek organicznych, jako całości. Przystosowanie tych ogólnych zasad do szczegółowych wyników nowszych badań na polu fizyologii, stanowi

również pouczającą i doniosłą pod względem naukowym treść tego działu biologii. Zatrzymanie się atoli na tych szczegółach rozszerzyłoby zbyt rozmiary niniejszego sprawozdania i nadto wymagałoby wyjaśnień, wpadających już zupełnie w zakres fizjologii, jako nauki specjalnej, a różniących się od filozoficznego sformułowania jej zasad ogólnych. Więc przechodzimy do ostatniej części biologii, mającej za przedmiot prawo rozmnażania się organizmów.

Ewolucya indywidualna, t. j. proces indywidualizacyi, czyli wytwarzania się nowych jednostek, jest według Spencera, procesem integracyi, całkowania. Każda nowa jednostka organiczna, jest dedukcyą, wynikającą z czynników, przynależnych do jednej lub dwóch poprzednio istniejących jednostek. Jeżeli temu procesowi indywidualizacyi przeciwstawiamy warunki, wśród których on się dokonywa, t. j. warunki genetyczne, czyli płodności, natenczas okazuje się, że pomiędzy temi czynnikami istnieje konieczny antagonizm, t. j. im wyższy szczebel zajmuje jednostka, jako jednostka, pod względem biologicznym, tem mniejsza jest jej płodność i odwrotnie. Jest to znana nam już przeciwstawność integracyi i dyferencyacyi, jako czynników ewolucyi. Mniejsza płodność człowieka w porównaniu z większością zwierząt, zostaje w związku z wysokim rozwojem jego systematu nerwowego. Podobny antagonizm istnieje pomiędzy wzrostem organizmu i jego płciową lub bezpłciową płodnością.

Te, na pozór dość proste stosunki na polu rozmnażania się jednostek, komplikują się w wysokim stopniu u człowieka. To też wykazanie prawa ewolucyi zaludnienia ziemi jest zadaniem wielce trudnem. Pomimo to Spencer podejmuje się wyjaśnienia tego prawa choć w sposób przybliżony. Ludzie, stojący na niższej stopie rozwoju, mnożą się bardziej, niż kulturalni. Więc pierwotnie ludzkość rozmnażała się daleko prędzej, podobnież i każdy naród w stanie pierwotnym. Ale ten proces dyferencyacyi w rozmnażaniu, wywołuje w swych skutkach przeciwny proces indywidualnej integracyi. Im bowiem większe objawia się zaludnienie, przybliżające się do przeludnienia, tem warunki życia są trudniejsze, a trudność ta, wyrabia tem bardziej indywidualność, gdyż emulacya między jednostkami zmusza je do udoskonalenia tych funkcji i organów, które wynikają z przystosowania się do utrudnionych warunków bytu. Ten proces zaś pociąga za sobą znowu zmniejszenie płodności, więc wyrównywa poprzedni czynnik, a może się nawet stać groźnym dla bytu narodów, ras ludzkości. Ztąd wynika potrzeba odnalezienia środków, zdolnych harmonizować w sposób należyty wszystkie współczynniki rozwoju ludzkiego, zarówno indywidualnego, jak i rasowego. Ale takie oddziaływanie na przyszły rozwój człowieka,

przez celowe przygotowywanie jego potrzeb do zewnętrznych warunków bytu, wpada już w zakres zagadnień socyologicznych. Przejście zaś od biologii do socyologii, stanowi *psychologię*.

Psychologia jest u Spencera tylko dalszym ciągiem biologii, rozbioru objawów i ewolucyi życia wogóle. Jak nie można określić przejścia od nieorganicznej przyrody do organicznej, tak również niepodobna odnaleźć ścisłej granicy między objawami fizyologicznymi i psychicznymi. Pomimo to mówi Spencer jak najwyraźniej o „substancji ducha czyli umysłu“ (substance of mind) i uznaje jej *istnienie*, jako stałego, wewnętrznego czynnika, powodującego w swym stosunku do zewnętrznego otoczenia, wszelkie zmiany psychiczne. Ale sama ta substancja duchowa zuowu, nie jest poznawalna dla nas, podobnie, jak chemia nie doprowadza do poznania samej materji. W jednym i drugim wypadku ograniczyć się musimy badaniem odnośnych zjawisk i określeniem ich wzajemnego do siebie stosunku. I tutaj, jak w ogóle odnośnie do ostatecznej zasady wszechbytu, Spencer nie spostrzega, że uznanie *istnienia* takiej duchowej substancji, już jest pewnem jej poznaniem, gdyż to istnienie narzuca się nam, więc i jemu, jedynie na podstawie faktycznych danych, ujawniających jej zasadnicze własności. Atoli i tutaj wygodniej zasłonić się parawanem agnostycyzmu, niż poddać dalszemu rozbiorowi owe faktyczne dane, zmuszające do uznania istnienia osobnej substancji psychicznej i jej działania. Więc też o niej, prócz tej krótkiej wzmianki, nic więcej nie słyszymy.

Na polu psychologii, jako nauki empirycznej, mamy tylko do czynienia z *czuciami* (według terminologii Spencera: *feelings*) i ze stosunkami (relations) istniejącymi między niemi. Każde czucie stanowi psychiczną całość (unit), wchodzącą w skład życia psychicznego jednostki, a przy wyższym rozwoju w skład jej świadomości. Każda całośćka psychiczna ma charakter uderzenia nerwowego (nervous shock), wywołanego przez odpowiednie zmiany molekularne w systemacie nerwowym. Różnica pomiędzy czuciami jest wynikiem różnej integracji owych pierwotnych całości psychicznych. Czucia, wywołane wskutek zmian centralnych, Spencer nazywa *uzruszeniami* (emotions), wywołane zaś peryferycznie stają się *wrażeniami* (sensations). Nadto czucia przyjmują rozliczny charakter, w miarę tego, czy się kojarzą ze sobą w formie współistnienia, lub też następstwa czasowego. Kojarzenie to ujawnia się w zasadniczem prawie asocjacyi zjawisk psychicznych, które Spencer tak formuluje: „Każde czucie i każdy związek czuć w teraźniejszości kojarzy się z podobnem czuciem lub związkiem, doznany w przeszłości“. Prawo to, oraz czynniki prawa ewolucyi, stanowią ostateczne zasady, przy których

pomocy Spencer usiłuje wyjaśnić całe bogactwo życia psychicznego, poczynwszy od jego pierwotnych objawów, aż do najbardziej skomplikowanych w świadomości ludzkiej.

Wskutek uznania prawa kojarzenia za czynnik zasadniczy życia umysłowego, Spencer rozwija dalej psychologię asocjacji angielskich myślicieli, poczynwszy od Locke'a. Ale dopełniając działanie prawa asocjacji, czynnikami ewolucyi, a mianowicie celem przystosowaniem wewnętrznej treści umysłu, do danych warunków zewnętrznych, odejmuje on nauce swych poprzedników charakter mechanicznej bierności i zaznacza, obok kojarzenia idei, samoistną akcyę czynnika psychicznego, oraz jej bezpośredni udział w rozwoju objawów psychicznych. Jestto postęp bardzo doniosły, sprowadzający badanie psychologiczne i w Anglii na nowe tory, w przeciwstawności do skostniałej rutyny, w kierunku ciasnych objawów asocjacji, które nie są zdolne wyjaśnić wyższych dążności umysłu na polu estetycznym, poznawczem i moralnem.

Szczegółowy wykład zasad psychologii, Spencer dzieli na dwie główne części, które nazywa *psychologią przedmiotową* i *podmiotową*.

Pierwsza ma za zadanie wykazać związek ewolucyi życia organicznego i jego form z rozwojem psychicznym; druga natomiast poddaje szczegółowemu rozbirowi same zjawiska życia psychicznego, i w celu ich wyjaśnienia sprowadza je do odpowiednich zasad ogólnych.

Z określenia powyższych dwóch części psychologii wynika, że pierwsza bada objawy psychiczne tylko dodatkowo, do porównawczej anatomii i fizjologii życia organicznego. Każdy wyższy szczebel w rozwoju organizmów, ujawnia się stopniowo, wskutek działania praw ewolucyi, odpowiednio wyższemi objawami psychicznemi, tak pod względem różniczkowania, jak i całkowania owych składowych czynników. Więc, poczynwszy od prostych odruchów, widzimy, jak się wytwarzają instynkta, rozliczne wrażenia zmysłowe, aż wreszcie, wskutek komplikacji warunków zewnętrznych i odpowiedniego całkowania czynników wewnętrznych, powstają samoistne jednostki organiczne z odpowiednim organem centralnym, ześrodkowującym w sobie ich życie wewnętrzne, przy pomocy indywidualnej świadomości. Automatyzm pierwotnych objawów życia wewnętrznego ustępuje wtedy coraz bardziej celowej działalności rozumu i woli, przy których udziale człowiek korzysta z narządów, wstrzymujących bezpośredni przebieg procesów fizjologicznych, aby samodzielnie urzeczywistnić wymagania wyższych wytworów życia psychicznego. I tutaj napotykamy u Spencera cały szereg wielce zajmu-

jących faktycznych zestawień, wyjaśniających bliżej jego pogląd na paralelizm rozwoju organicznego z psychicznym.

Psychologia subiektywna stanowi właściwą, czystą psychologię w systemacie filozofii Spencera. Poddaje ona rozbiorowi świadomość, jako centralny objaw i ostateczny wytwór rozwoju psychicznego. Rozbiór ten ma na celu wykazanie, że całe życie umysłowe, szczególnie człowieka, z całą mnogością i różnorodnością owych objawów, jest procesem, ujawniającym różniczkowanie i całkowanie rozlicznych stanów świadomości.

Na powyższym tle zasadniczym, rozwija Spencer szczegółowo zaznaczone wyżej współczynniki ewolucyi psychicznej i dochodzi do wyników, określających jego ogólne poglądy na stosunek człowieka, jako podmiotu, do pozostałego świata, jako przedmiotu jego działalności umysłowej. Nie wdając się tu bliżej w ten szczegółowy wykład psychologii Spencera, zaznaczymy tylko, że owe ogólne wnioski z badań na tem polu, dotyczą głównie najwyższych zagadnień wiedzy ludzkiej i mają na celu zastąpić choć w części brak osobnej teoryi poznania, czyli logiki krytycznej w systemacie tego myśliciela. Prócz potrąconych już w tym kierunku poglądów, zawartych w *Pierwszych zasadach*, a tutaj powtórzonych, zasługuje na szczególną uwagę, pod względem swej doniosłości filozoficznej, to, co Spencer ze stanowiska psychologicznego mówi o apriorycznych, czyli przyrodzonych czynnikach poznania ludzkiego, oraz o najwyższem kryterium czyli sprawdzianie prawdy.

Wraz z Kantem przyznaje Spencer, że istnieją w umyśle naszym pewne czynniki pierwotne, które a priori stosujemy do wszelkich danych empirycznych, urabiając je według wymagań tych czynników. Są to owe wyobrażenia przestrzeni i czasu, oraz kategorie rozsądku i idee rozumu. Ale te czynniki aprioryczne są dla Spencera apriorycznymi jedynie u jednostek wyżej rozwiniętych pod względem umysłowym, jako wynik poprzedniej, długiej ewolucyi psychicznej, odziedziczonej po przodkach. Pierwotnie atoli i te czynniki wytwarzały się w umysłach drogą empiryczną, a mianowicie na podstawie wyszukiwania podobieństwa i różnic między zjawiskami. Tylko z czasem, nagromadzone powoli doświadczenia przyjmują formę stałą i przechodzą wraz z bardziej skomplikowanym mózgiem na późniejsze pokolenia. Pogląd ten jest pewnem syntetycznem wyrównaniem jednostronnych poglądów racjonalizmu i empiryzmu, wykazującym, że Spencer, pomimo tradycyi empirycznych, zmuszony był, na podstawie faktycznie danej w chwili obecnej organizacji umysłu, uznać doniosłość racjonalizmu, szczególnie w tej formie, jaką mu nadał krytycyzm Kanta. To też wyniki jego przyswaja sobie, choć z zaznaczo-

nem zastrzeżeniem, pozostającym w związku z jego teorią ewolucyi.

Tenże sam czynnik syntetyczny uwydatnia się w poglądzie Spencera na sprawdzian prawdy. Nie zadawała się on pod tym względem zasadą empiryzmu, że dane doświadczenia są jedyną podstawą poznania prawdy. Są one i według niego niezbędne, lecz nie wystarczają dla ostatecznego rozwiązania zagadnień wiedzy ludzkiej. Dopelnione one być winny racjonalnym rozbiorem owych danych doświadczenia, w celu wykazania, że sprzeczność z przedłożonym poglądem nie jest możliwa. Więc prawo tożsamości i sprzeczności, będące zasadą racjonalnej logiki, jest i dla Spencera ostatecznym sprawdzianem wszelkich poglądów, wyjaśniających materiał empiryczny naszej wiedzy. Tylko o tyle, o ile wykazać możemy, że inne wyjaśnienia przy obecnym stanie wiedzy nie są możliwe, mamy prawo powiedzieć, że nasze wyjaśnienie jest prawdą, naturalnie w granicach dostępnych wogóle dla umysłu ludzkiego.

V.

SOCYOLOGIA I ETYKA SPENCERA.

Socjologia ma, według Spencera, za przedmiot naukę o społeczeństwie i jego ewolucyi, a zatem jego wzrost, ustrój, funkcje i wytwory. Zasadniczą jej podstawę stanowi dany w psychologii rozbiór uczuć (sentiments), szczególnie sympaty, oraz uczuć egoistycznych, ego-altruistycznych i altruistycznych. Uczucia te w stopniowym swym rozwoju, wśród zmiennych warunków zewnętrznego bytu, wytworzą społeczeństwo z całym bogactwem najrozlicniejszych stosunków życiowych między ludźmi. Już wśród niższych form życia organicznego, napotykamy wprawdzie skupienia (aggregats), przypominające ustrój społeczny, jak u pszczół, os i mrówek, ale to nie są właściwe skupienia społeczne, bo nie są zjednoczeniem jednostek, podobnych do siebie pod względem swych zdolności, a przytem niezależnych, lecz zjednoczeniem potomków jednej matki. Związki prawdziwie społecznych formacji, występują dopiero u wyższych kręgowców, jak np. u wron, bobrów i t. p., lecz w całej pełni formacje te rozwijają się wśród ludzi. To też socjologia zajmuje się głównie społeczeństwem ludzkim.

Porównywając formacye społeczne z formacyami organicznemi, Spencer dochodzi do wniosku, że społeczeństwo jest także pewnego rodzaju organizmem; staje tedy po stronie tych socyologów, którzy, począwszy już od Platona, a w angielskiej filozofii od Hobbesa, rozpatrują społeczeństwo na podstawie analogii z organizmem i dowodzą, że jest ono żywym ustrojem, podlegającym w swym zakresie podobnym prawom bytu i rozwoju, jak ustrój organiczny. Ponieważ jednak istnieją pewne ważne różnice między temi formacyami, przeto Spencer uznaje społeczeństwo nie wprost za wytwór organiczny, lecz za formacyę *nad organiczną* (super-organic), która obejmuje wprawdzie czynniki nieorganiczne, lecz ujawnia zarazem nowe wyższe momenta ewolucyi, przekraczające bezpośredni zakres rozwoju zwykłych organizmów.

Wobec tak postawionego zagadnienia, bliższe określenie zarówno podobieństwa, jak i różnic społeczeństwa w porównaniu z organizmem, ma dla socyologii Spencera znaczenie zasadnicze. Podobieństwo ujawnia się według niego, głównie w czterech następujących momentach: 1) społeczeństwo rośnie, podobnie jak zwykły organizm; z małych pierwotnie zawiązków, rozwija się tu i tam wielka masa, często aż do 10,000 razy większa; 2) zawiązki pierwotnie nieforemne, bez struktury (structureless), dochodzą, dzięki zaznaczonym czynnikom ewolucyi, do wielkiej złożoności; 3) części składowe ustroju, pierwotnie biernie zależne od działających na nie sił, stają się wskutek rozwoju coraz samodzielniejszymi; wreszcie 4) społeczeństwo, jako całość, podobnie jak i gatunek w formacyach organicznych, jest niezależne od jednostki i przeżywa ją. Ale z tem podobieństwem łączą się i ważne różnice w nad-organicznych formacyach społecznych. Różnice te dają się sprowadzić do następujących głównych momentów: 1) społeczeństwo nie posiada zewnętrznej, widzialnej i dotykanej formy, jak zwykły organizm; 2) społeczeństwo nie tworzy jednej, wewnątrznie zespolonej masy, odpowiadającej ciału organicznemu; 3) składowe części społeczeństwa nie zajmują w niem stałego niezmiennego miejsca, jak części zwykłego organizmu, lecz mają swobodę ruchu i dochodzą do wielkiej samodzielności; wreszcie, różnica najważniejsza, 4) czucie zwykłego organizmu ześrodkowuje się w pewnych specjalnych organach, gdy tymczasem w społeczeństwie wszystkie części składowe obdarzone są czuciem.

Pomimo powyższych różnic, ewolucya społeczna, czyli nad-organiczna, jest jednak, według Spencera, dalszym ciągiem rozwoju zwykłego życia organicznego, a same te różnice przedstawiają się, jako naturalne wytwory powszechnego, coraz wyższego postępu rozwojowego, wskutek nieprzerwanego działania prawa ewolucyi i jego

współczynników. Ztąd to i formacje społeczne mogą być, według Spencera, należycie zrozumiane i wyjaśnione, jedynie z zajętego przez niego stanowiska ewolucyjnego. Socjologia ma właśnie za zadanie, wykazać szczegółowo powstawanie tych nad-organiczných formacji, jako wytworów dalszej ewolucji życia organicznego.

Wśród wszystkich części swego systematu filozofii syntetycznej, Spencer opracował socjologię najobszerniej, najbardziej wyczerpująco. Prócz wspomnianych już trzech tomów *Zasad socjologii*, oraz *Wstępu* do niej, wydał on wspólnie z Duncanem, Schepplingem i Collierem ośm części „Socjologii opisowej“ (Descriptive Sociology) i pozostawił po sobie w rękopisie dalsze części tego olbrzymiego zbioru materyałów i tablic, mających wykazać, na jak szerokich podstawach faktycznych oparł swoje teorie. Rzecz naturalna, że po zaznaczonych wyżej ogólnych zasadach socjologii Spencera, możemy tu tylko pobieżnie dotknąć ich szczegółowego rozwoju.

Najpierwotniejszą jednostkę społeczną, przedstawia, według Spencera, *rodzina*, jako wytwór łączności płciowej. Od niej zależy byt i rozwój gatunku, a uspołecznienie, mianowicie ludzi i powstawanie coraz pełniejszych i bogatszych form życia społecznego, znajduje się w bezpośrednim związku z rozwojem stosunków płciowych. Za najwyższy wytwór stopniowej ewolucji tych stosunków, uznaje Spencer monogamię oraz urządzenia i życie domowe, oparte na niej. Ona to rozwija głównie owe uczucia intelektualnej i moralnej sympatii, które są niezbędnym warunkiem wszelkiego postępu życia społecznego.

Rozliczne typy i ustroje nad-organicznej ewolucji, mogą być klasyfikowane z rozlicznych punktów widzenia. Najprzód ze stanowiska ich złożoności, mogą być proste, złożone, podwójnie, potrójnie złożone i t. d. Stopnie te zależą naturalnie zarazem od rozwoju funkcji społecznych danego ustroju; im szerzej i rozmaiciej różniczkują się te funkcje, ujawniające kooperację składowych czynników ustroju, tem on jest bardziej skomplikowanym i staje na wyższym szczeblu rozwoju. Wszystkie te stopnie występują na jaw, wskutek ewolucji, która z pierwotnej rodziny wytwarza w końcu szeroko i bogato uorganizowane państwo.

Z innego punktu widzenia przedstawiają się nam dwie przejściowe, lecz równie powszechne formy ustrojów społecznych, mianowicie przeważnie *wojenny* i przeważnie *przemysłowy* (predominantly militant or predominantly industrial). Pierwszy jest pierwotniejszym i przyczyniał się najbardziej do wewnętrznej konsolidacji ustrojów społecznych, do ich zjednoczenia, gdy wódcz gromady, broniącej się od

napadu nieprzyjaciół, lub podejmującej napad, staje się z natury rze-
czy głową ustroju społecznego i w czasie pokoju. Zasadniczym cha-
rakterem takich ustrojów jest możliwie większa centralizacya wszyst-
kich funkcyj społecznych oraz zależność, jeśli można, bezwzględna
wszystkich części składowych ustroju od jego głowy. Ta forma
zbliża się bardziej jeszcze do typu zwykłego organizmu, w którym
systemat nerwowy, reprezentuje również bezwzględną jednię wszyst-
kich funkcyj i części składowych danego ustroju. Nadto kierunek
działania i rozwoju takich ustrojów społecznych, jest przeważnie ze-
wnętrzny, ma na oku jego rozszerzenie, z zaniedbaniem potrzeb we-
wnętrznych społeczeństwa i jego członków.

Wskutek dalszej ewolucyi rozwija się atoli wśród odpowiednich
warunków zewnętrznych, działalność przemysłowa członków społec-
zeństwa, a z nią idzie w parze coraz większa ich samodzielność w sto-
sunku do czynników centralnych ustroju. Doprowadza to do nowego
typu, w którym strona wewnętrzna życia społecznego, zaczyna góro-
wać nad zewnętrzną, przy wszelkiem jednak przystosowaniu się do
przedmiotowo danych warunków bytu. Przemysł rozwija się należy-
cie tylko na podstawie dobrowolnej kooperacyi członków społecz-
stwa, tylko przy swobodzie indywidualnej działalności i niekrępo-
wanej wymianie wzajemnych usług między chlebodawcami i robotni-
kami, kupcem i kupującym, rzemieślnikiem i odbiorcą jego wytworów.
To też typ przemysłowy dąży przede wszystkim do rozwoju wewnę-
trznym stosunków, do decentralizacyi, w celu nadania jednostkom
możliwie wielkiej inicjatywy i samodzielności w życiu społecznym.

Jeżeli, jak się okazało, ustrój społeczny, jako wytwór ewolucyi
nadorganicznej, różni się od zwykłego organizmu tem, że nie ma je-
dnostkowego centralnego czucia, lecz czucie umiejscowia w samo-
istnych jednostkach, to z tego wynika, że w tym kierunku ujawnia
się prawdziwy postęp społeczny. W zwykłym organizmie części
istnieją dla całości, bo bez niej nie mają ani znaczenia, ani samoistne-
go bytu. Odwrotnie, w nadorganicznej formacyi społecznej, całość
istnieje dla swych części składowych, dla jednostek, gdyż one tylko
mają realne znaczenie i w nich tylko ześrodkowuje się życie społec-
czne. Typ przemysłowy ustroju społecznego zmierza do takiego wła-
śnie celu; a przeświadczenie o tem doprowadza Spencera na polu ży-
ciowych zagadnień socjologii do skrajnego *indywidualizmu*, oraz do
teoryi manchesterskiej *laissez-faire, laissez-aller*. Z tego wynika, że
państwo i jego rządy Spencer pragnie zredukować do minimum, a na-
tomiaś całe życie społeczne i jego rozwój, oprzeć na inicjatywie je-
dnostek i ich działalności. To też osobistość jednostkową, rozwiniętą

o ile można wewnątrznie, uznaje Spencer za najwyższy wytwór rozwoju socjalnego, a więc i w ogóle całej dotychczasowej ewolucyi.

Typ przemysłowy nie przedstawia, według Spencera, ostatecznego kresu nadorganicznej ewolucyi. Przemysł ma zawsze jeszcze charakter zewnętrzny, materialny, w porównaniu z potrzebami umysłowemi jednostki uspołecznionej. Jej życie wewnętrzne, duchowe, domaga się również wszechstronniejszego rozwoju i możliwie jednego uwzględnienia. Według przekonania Spencera, ewolucya socjalna w tym kierunku wytworzy w przyszłości nowy typ ustroju społecznego, w którym czynniki organizacyi militarnej, oraz wytwory swobodnej przemysłowości, nie będą miały na celu samego tylko materialnego dobrobytu jednostek, lecz wyższe czynności życia umysłowego na polu sztuki, nauki i umoralnienia. Ale jest to zadanie, może dość jeszcze dalekiej przyszłości, nad której ukształtowaniem filozof angielski, empiryk i realista, bliżej się nie zastanawia.

W powyższych ramach ewolucyi, poddaje Spencer szczegółowemu rozbirowi całe bogactwo wewnętrznej treści życia społecznego oraz zewnętrznych warunków jego rozwoju. Więc traktuje obszernie o stosunkach rodzinnych i domowych, o małżeństwie, o stanowisku i znaczeniu społecznem mężczyzn, kobiet i dzieci, dalej o ceremoniale towarzyskim, ujawniającym się w podarkach, wizytach, tytułach, w ubraniu, ozdobach i t. p., następnie mówi obszernie o instytucjach politycznych, o formach ustroju państwowego, o władzy prawodawczej, wykonawczej i sądowej, o reprezentacyi społecznej i t. d. wreszcie przechodzi do rozbioru instytucyj kościelnych, przyczem naturalnie rozwija swe poglądy na religię.

Początkiem religii jest, według Spencera, cześć dla przodków i umarłych. Z czasem stają się oni, w wyobraźni ludzi pierwotnych, bogami. Obawa zaś przed nimi wytwarza rozliczne ceremonie religijne. Wiarę w nieśmiertelność duszy sprowadza do widoku cieniów, echa w górach i tym podobnych objawów, wywołujących myśl o naszym podwójnem istnieniu. Stan kapłański łączył się pierwotnie ze stanem lekarskim i przybrał samodzielne znaczenie tylko wskutek różniczkowania czynności około dobra ciała i duszy ludzi. Rozwój pojęć religijnych przyczyniał się naturalnie także do wyodrębnienia kasty kapłańskiej i nadał jej w końcu znaczenie górujące w ustroju społecznym. Ztąd wynikła w nowszych czasach wielce doniosła kwestya o stosunku kościoła do państwa, którą Spencer szczegółowo rozpatruje. Dochodzi on do wniosku, że ostatecznie, wskutek rozwoju

typu przemysłowego, a z nim i indywidualności, kościół staje się tylko jednym wśród wielu innych objawów kooperacji społecznej, poddanym na równi z pozostałymi, tym samym prawom ogólnym.

Pomimo wszystkich tych, w gruncie rzeczy, dość antireligijnie brzmiących zdań, Spencer i na tem polu dochodzi do pewnego syntetycznego wyrównania swego naturalizmu z głębszem pojęciem religii. W duchu mianowicie zaznaczonego powyżej agnostycyzmu, przyznaje on, że objawy poczucia religijnego i jego rozwój, sprowadzić się dają ostatecznie do działania owej niepoznawalnej przyczyny wszechrzeczy, którą każda religia ma na oku. To też ewolucya poczucia religijnego wyzwała je wprawdzie coraz bardziej z form antropomorfizmu, ale nie osłabia bynajmniej jego wielkiej doniosłości w rozwoju społecznym.

Koroną całego systematu filozofii syntetycznej Spencera, albo raczej ostatniem słowem ewolucyjnego poglądu na świat, jest jego *etyka*. Łączy się ona bezpośrednio z jego zaznaczonym w tej chwili indywidualizmem społecznym. Jeżeli indywidualna osobistość jest ostateczną podstawą życia społecznego i najwyższym celem jego dalszego rozwoju, to należy koniecznie poddać szczegółowemu rozbirowi jej samodzielne działanie w stosunku do ustroju społecznego. I to właśnie stanowi treść etyki. Poglądy etyczne Spencera można sprowadzić do następujących głównych zdań.

Wszelkie postępowanie, nie tylko człowieka, ale i wyżej uorganizowanych zwierząt, polega na przystosowaniu działania do pewnego celu. Ewolucya postępowania ujawnia się coraz większem, a więc i skuteczniejszym, przystosowaniem działania do celu. Postępowanie nazywamy *dobrem* lub *złem*, stosownie do tego, czy jest dobrze lub źle przystosowane do odpowiednich celów. Dwa zaś są cele zasadnicze, które ma na oku postępowanie każdej jednostki: wzrost, przedłużenie i rozwój życia samego działającego przedmiotu, oraz życie gatunku, do którego należy. Ponieważ cele te wypływają z natury rzeczy, z danych czynników wewnętrznych i warunków zewnętrznych działania w ogóle, przeto postęp ewolucyjny na tem polu zmierza z konieczności do wyrównania tych dwóch celów, tak, aby każdy z nich mógł być osiągniętym bez szkody dla drugiego. Ztąd wynika, że jeżeli dobrem nazwiemy działanie przystosowane czy do samozachowania jednostki, czy do zachowania gatunku, to za *najlepsze* uznamy takie działanie, które zbliża się do urzeczywistnienia zarazem największej pełni życia (totality of life) jednostki działającej, oraz jej potomstwa i jej bliźnich. Owa pełnia zaś życia, o której tu się mówi, łączy się zawsze z pewnym nadmiarem (surplus) przyjemnych uczuć

nał nieprzyjemniemi, gdyż uczucia przyjemne, jak pokazuje psychologia, wzmacniają siły żywotne, nieprzyjemne zaś je osłabiają. Do tego tedy celu zmierza też ostatecznie wszelkie działanie jednostki, tak w jednym, jak w drugim kierunku.

W związku z powyższemi poglądami pozostaje kwestya o wzajemnym do siebie stosunku *egoizmu* i *altruizmu* na polu etyki. Spencer usiłuje usunąć antagonizm pomiędzy temi dwoma objawami działania ludzkiego przy pomocy ewolucyi. Przyznaje on wprawdzie, że w gruncie rzeczy, zarówno egoizm, jak altruizm, tkwią już w najprimitywniejszych formach życiowego rozwoju. Nadto podnosi niezbędnosc uczuć altruistycznych dla prawidłowego rozwoju społeczeństwa. Pomimo to, ostatecznie altruizm, nawet ofiara z własnego życia dla dobra innych, przyjmuje u niego w istocie charakter egoistyczny, gdyż ma być skutkiem zadowolenia, jakie sprawia taka ofiarnosc. Różnica między takim *altruistycznym egoizmem*, a egoizmem jednostronnym, polega według Spencera, jedynie na tem, że dzięki ewolucyi a w szczególności dzięki działaniu dziedzicznosci, uczucia altruistyczne w jednostce uspołecznionej stają się drugą naturą i działają z tą samą bezpośredniością, jak egoistyczne, wskutek czego czynniki egoistyczne działań altruistycznych nie dochodzą do jasnej świadomości osoby działającej. Nie trudno spostrzedz, że takie wyjaśnienie altruizmu jest dość wymuszonym i uznaniem być musi jedynie za koncesyę dla egoistycznych i utylitarnych teoryj naturalizmu, w których kierunku rozwija się cała etyka Spencera.

Nie mniej dopiosła kwestyę etyczną, ściśle związaną z owemi dwoma przeciwległemi celami działania ludzkiego, jest kwestya *poczucia moralnego*, jako czynnika wewnętrznego, przeciwstawiającego się faktycznie jednostronnemu rozwojowi indywidualnej samowoli i egoizmu. Teorya tak zwanego intuicyonalizmu, uznaje poczucie moralne za czynnik pierwotny, będący źródłem i duszą prawidłowego rozwoju etycznych dążeń człowieka, więc nie mogący być uznany dopiero za wytwór tego rozwoju. Tej teoryi przeciwstawia się popularny naturalizm i empiryzm, dowodzący, że poczucie moralne jest wynikiem zewnętrznych bodźców, działających na człowieka, i wpajających w niego stopniowo, dzięki znanym czynnikom ewolucyi, przeświadczenie o pewnych zadaniach i obowiązkach moralnych. Spencer rozwiązuje antagonizm między temi poglądami, z tego samego stanowiska, z którego rozpatrywał w psychologii czynniki aprioryczne i empiryczne poznania ludzkiego. Poczucie moralne, pierwotnie i według Spencera wywiązało się przy pomocy zewnętrznego doświadczenia, przyczem pożytek i dobro ogółu stanowią najglówniejszy

czynnik. Z czasem atoli doświadczenia poprzednich pokoleń w tym kierunku, wdrożone w szczegóły siłą zewnętrzných warunków, złączyły się z organizacją mózgu i wskutek tego mają u człowieka kulturalnego doniosłość intuicyjną.

W ten sposób, dzięki ewolucyi, miał powstać ów imperatyw kategoryczny Kanta, ów rozkaz poczucia moralnego, który bądź co bądź i według Spencera jest zasadniczą sprężyną wszelkich dążeń człowieka do sumiennego spełnienia swych obowiązków dla dobra powszechnego. Autorytet czyli sankcya tego rodzaju uczuć moralnych, oraz zaufanie do nich, polega, według Spencera, na tem, że i w terażniejszości okazuje się zazwyczaj faktycznie, że owe nabytki poprzednich pokoleń, wyrażające się w bezpośredniem poczuciu moralnem, są trafniejszymi kierownikami w kolizjach życiowych i pociągają za sobą większą korzyść, aniżeli uległość dla chwilowych popędów jednostki.

Z powyższego okazuje się, że i na polu etyki Spencer dopełnia empiryzm czynnikami racjonalnemi, choć stopniowo tylko rozwijającemi się. Ale owa pełnia życia, zarówno indywidualnego, jak społecznego, sprowadza się u niego również głównie do pojęcia *korzyści*, w duchu utylitaryzmu filozofii angielskiej. W imię jednak owych dopełnień, sam Spencer określa swój utylitaryzm, jako *racyonalny*, i tym dodatkowym czynnikiem przeciwstawia się jednostronnemu egoizmowi i indywidualnej samowoli, torując drogę etyce, odpowiadającej bardziej ideałom moralnym rodu ludzkiego. Dzięki tym racjonalnym czynnikom owej etyki, Spencer sam we wszystkich kwestiach życiowych, ekonomii, polityki i t. p. zajął stanowisko szlachetnego humanizmu, broniącego zawsze i wszędzie uciśnionych, upośledzonych od losu, wskutek anomalij w rozwoju społecznym. A chociaż krytyk znalazłby zapewne nie jedno do nadmienienia, zarówno przeciwko zasadom etyki Spencera, jak i przeciwko ich praktycznemu zastosowaniu, to jednak uznać musi wielki postęp, jakiego on i na tem polu dokonał, w porównaniu ze swymi poprzednikami, szczególnie w zakresie filozofii angielskiej.

VI.

SPENCER I FILOZOFIA PRZYSZŁOŚCI.

Powyższy przegląd filozofii Spencera, choć dość pobieżny w porównaniu z bogactwem szczegółowych danych, rozwiniętym w jego dziełach, uwytatnia jednak w ramach tej pracy, wedle możności, najważniejsze momenta jego poglądu na świat i życie. Wystarcza to w każdym razie do bliższego określenia jego stanowiska i znaczenia w dziejowym pochodzie filozofii, o ile pochod ten dokonywa się przed naszymi oczami.

Systemat Spencera, — jak to zaznaczono już na wstępie — jest niewątpliwie najpełniejszym wyrazem filozofii angielskiej, ostatecznym wykwittem empirycznych i życiowych dążeń tej filozofii. Wśród współczesnych nam myślicieli, co do pełni i szczegółowego urobienia poglądu na świat, można obok niego postawić jedynie, we Francji Fouillée'go, a w Niemczech Wundta. Myśmy dotąd nie wyszli w tym względzie po za zakres prac przygotowawczych, oraz ogólnych rzutów dla filozofii przyszłości. Wspomnieni zaś trzej pierwszorzędni myśliciele chwili obecnej, skupiają w sobie cały dobytek tegoczesnej wiedzy i korzystają z niego, aby się przybliżyć do rozwiązania najwyższych zagadnień filozofii. Ich porównawcza charakterystyka, choć w rysach najogólniejszych, przyczyni się najlepiej do ostatecznego określenia doniosłości Spencera dla postępu filozofii w przeszłości.

Pomiędzy wspomnianymi przedstawicielami trzech narodów, stojących na wyżynach kultury umysłowej, wiele jest rysów wspólnych, wpływających z ducha czasu i z kierunku badań wiedzy nowoczesnej. Pomimo przeważnie racjonalistycznego nastroju Fouillée'go, metafizycznych dążeń Wundta i empirycznych tradycyji Spencera, wspólnym rysem ich poglądów na świat, jest *realizm naturalistyczny*, uznający przyrodę za jedyną treść wszechbytu, dostępną dla myśli ludzkiej. Jest to zupełnie zrozumiały wynik olbrzymiego postępu przyrodoznawstwa nowszych czasów, postępu, który zaćmił zupełnie poprzedni rozwój idealistycznej filozofii, opartej na faktach życia

umysłowego, i sprowadził pojęcie realności do danych świata zmysłowego, więc do zewnętrznej przyrody. To też punktem wyjścia dla filozofii każdego z tych myślicieli jest przyroda fizyczna, pojmowana ogółem w duchu wyników nowoczesnego przyrodoznawstwa.

W ścisłym związku z tym kierunkiem myśli, pozostaje i szczegółowe pojęcie rozwoju, ewolucjonizmu, w poglądach na świat zarówno Fouillé'ego, jak Wundta i Spencera. Każdy z nich uznaje ewolucję, pojmowaną znowu przyrodniczo, za najważniejszy czynnik procesu wszechświatowego, a wspólnie z naturalistycznym pojęciem rozwoju, ujawnia się u każdego z nich tendencja wyjaśnienia wyższych, najpełniejszych wytworów rozwoju u czynników niższych, najprostszych, zbliżonych wedle możności do przyrodniczego pojęcia materii, siły, ruchu, energii. Z tego stanowiska powiedzieć można, że filozofia tych myślicieli sprowadza się właściwie tylko do jednego z dawnych działów filozofii, t. j. do *filozofii przyrody*. W samej rzeczy, pozostałe współczynniki ogólnego na świat poglądu, jak Bóg w stosunku do świata, lub duch ludzki w swym dziejowym rozwoju, z ideałami, estetycznym, poznawczym i moralnym (uczucie, myślenie i wola) rozpatrywane są przez tych myślicieli ze stanowiska przyrodniczego, jako momenta ewolucji fizycznej, więc jako części składowe poglądu filozoficznego na przyrodę, uznaną za jedynie realną treść istnienia.

Wspólnie atoli z tym naturalistycznym czynnikiem myśli współczesnej, ujawnia się zarówno u Spencera, jak u Fouillé'ego i Wundta nowy, niezmiernie doniosły czynnik, dopełniający, z większą lub mniejszą świadomością, jednostronne poglądy fizycznego realizmu i zaznaczający wyraźnie pewien zwrot ku idealizmowi. A chociaż czynnik ten nie nabiera jeszcze należytej samoistości, lecz znajduje się pod bezpośrednim uciskiem naturalistycznego realizmu i występuje na jaw tylko w jego formach i terminach, to jednak nadaje on filozofii każdego z tych myślicieli odcień idealistyczny. Dzięki temu czynnikowi, każdy ze wspomnianych myślicieli wyzwala się zupełnie z objęć materializmu, który poprzednio był panującym w świadomości powszechnej, jako uznany za jedynie możliwy pogląd na świat w duchu nowoczesnego przyrodoznawstwa. Okazało się, że realizm przyrodniczy nie sprzeciwia się bynajmniej zasadniczo idealizmowi, że otwiera szerokie pole dla syntetycznych poglądów idealnego realizmu.

Fouillée jednoczy ze swym naturalizmem racjonalizm Platona, jego zasady o ideałach. Idea staje się dla niego *siłą*, poruszającą świat,

będącą niejako duszą jego procesu rozwojowego (idée force). Dzięki jej działaniu, wśród czynników fizycznego determinizmu, wytwarza się swoboda, wolność, samoistość duchowa, łącząca w końcu nawet rozproszone twory świata astronomicznego, w jeden harmonijny ustrój społeczny. Wundt znowu dąży do syntetycznego zespolenia swych pojęć naturalistycznych z czynnikami idealistycznej metafizyki i uznaje ostatecznie przyrodę zmysłową, ulegającą prawom mechanicznym, tylko za powłokę zewnętrzną, poza którą ukrywa się życie duchowe. Co zaś do Spencera, to widzieliśmy, że przy całym swym empiryzmie przyrodniczym i jednostronnym fenomenalizmie, dochodzi on jednak do najwyższego pojęcia Absolutu, Istoty bytu, a chociaż ją nazywa Niepoznawalnem, to jednak przy jej pomocy sam odsłania szeroką perspektywę dla poglądów idealistycznych, nawet dla wiary religijnej.

Okazuje się tedy w sposób przekonywający, że w świadomości tych trzech pierwszorzędnych przedstawicieli myśli współczesnej, rozwinęło się silne przeświadczenie o potrzebie dopełnienia zmysłowego realizmu, opartego na pojęciu przyrody fizycznej, czynnikami, zaczerpniętymi z wewnętrznego życia ducha, a więc wznawiającemi dziejowy rozwój idealizmu. Objaw ten jest tem donioślejszym, że każdy z tych myślicieli urabiał swe poglądy na podstawie odrębnej tradycyi umysłowej, właściwej duchowi narodowemu, Francuzów, Niemców i Anglików. A pomimo, że każdy z nich wchłonął w siebie wyniki przyrodoznawstwa (Wundt jest przecie sam pierwszorzędny badaczem na tem polu), to jednak nie mogą się zadowolić temi wynikami, lecz, zagnieni głębszemi potrzebami ducha, przekraczają granice świata fizycznego i wnoszą tęskne spojrzenia ku światu wyższemu i jego treścią rozszerzają swój widnokrąg przyrodniczy. Jesteśmy tedy świadkami wielce doniosłego momentu w dziejach filozofii, momentu, wskazującego wyraźnie drogę jej dalszego postępu na przyszłość.

Prawdziwa filozofia syntetyczna, o której Spencer w głębiach swego ducha myślał, a którą urzeczywistnił jedynie w zakresie tradycyi empirycznego naturalizmu, musi mieć na oku wzajemne harmonijne zespolenie owych dwóch zasadniczych czynników, tak bytu wogóle, jak i bytu i życia ludzkiego, czynnika zewnętrznego, zmysłowego, doprowadzonego do pojęcia przyrody fizycznej, materji, i czynnika wewnętrznego, umysłowego, znajdującego swój wyraz w pojęciu ducha. Abstrakcyjne rozerwanie tych dwóch składowych czynników jednego w sobie wszechbytu, doprowadza do połowicznych poglądów, sprzecznych z faktycznie danymi objawami życia powszech-

nego. Idealistyczna filozofia, szczególnie Hegla, rozpatrująca wszechświat ze stanowiska rozwoju idei bezwzględnej, nadała abstrakcyjnemu pojęciu ducha, znaczenie górujące, choć obok niego nie mogła pominąć przedmiotowego czynnika przyrody zmysłowej; upadła jednak z chwilą, gdy ten czynnik wystąpił na pierwszy plan i gdy z jego punktu widzenia usiłowano zrozumieć świat i jego objawy. Zaznaczone zaś systemata filozoficzne: Fouillé'ego, Wundta i Spencera są najwyższym i zarazem ostatecznym wytworem przyrodniczego poglądu na świat. Okazuje się jednak, że głębsze rozwinięcie i tego poglądu, nawet dla myślicieli, przejętych na wskrós duchem przyrodnoznanstwa, jest niemożliwym bez uwzględnienia podmiotowej, idealnej strony bytu, działającej niemniej potężnie, jak przedmiotowa, w ustroju i rozwoju samej przyrody.

Sprowadzenie tych dwóch współczynników bytu do ogólnego mianownika, na podstawie krytycznego rozbioru pojęć ducha i materii oraz dziejowego rozwoju idealizmu i realizmu—oto zadanie przyszłości. Postęp filozofii możliwy jest jedynie w tym kierunku myśli. Wszystkie wydatniejsze objawy współczesnej filozofii łączą się bezpośrednio z tym kierunkiem i przyczyniają się do jego bliższego oświetlenia. Nowo-kantyzm i tak zwana filozofia naukowa, które obok zaznaczonych dążeń naturalistycznych, zajmują najbardziej umysły naszych czasów, mają znaczenie jedynie jako badania przygotowawcze do ścisłego określenia powyższego zasadniczego zagadnienia przyszłości. Poza pracą w tym kierunku, często nawet mimowolną, wszystkie, tak zwane „szkoły“ filozoficzne chwili obecnej, mają znaczenie drugorzędne i nie przyjmują czynnego udziału w istotnym postępie myśli filozoficznej. To też wkrótce w dziejach filozofii będą miały znaczenie tylko archiwalne.

Prawda, nie można zaprzeczyć, że naturalizm, nawet bardziej jednostronny, niż go Spencer rozwinął, znajduje dziś jeszcze dość wielu zwolenników. U nas szczególnie jest on zawsze jeszcze popularnym, pod wpływem samouctwa filozoficznego i powierzchownego dyletantyzmu. Ale dni jego są policzone wobec zwrotu ku idealizmowi, nie tylko takiego empiryka i realisty jak Spencer, i takich myślicieli jak Fouillé'e i Wundt, lecz i najznakomitszych przyrodników ostatniej doby. Skoro jednak, dzięki wielkim zdobyczom przyrodnoznanstwa, mowy być nie może o powrocie do bezwzględnego idealizmu Hegla—choć i takie usiłowania uwydatniają się w nowszych czasach, szczególnie w Ameryce—przeto szukanie drogi w kierunku idealizmu stanie się wnet koniecznością dziejową dla filozofii. Może

wtedy i dążności filozofii polskiej wywalczą sobie odpowiednie uznanie. W każdym razie powiedzieć należy, że głębsze studium filozofii syntetycznej Spencera, naprowadza na liczne, bardzo pouczające dane, potwierdzające na każdym kroku przekonanie o niezbędności dalszego rozwoju filozofii w zaznaczonym kierunku.

HENRYK STRUVE.

A gdy w głąb duszy wnikiemy...¹⁾

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

XXIII.

Dużo złota, boazerya, złote parawany, złoty stół, na którym złoci się ogromna, wyniosła lampa.

W złożonych żardinierkach szerokie liście palm i iunych roślin. Portyery ciężkie, aksamitne, zwisają ku ziemi, jakby przytłoczone własnem bogactwem i przepychem.

Na spotkanie Anki wychodzi sama rabinowa, niska, chuda, siwa kobieta, grzeczna i uprzejma.

— Czem mogę pani służyć?

Ance głęś więźnie w gardle.

Przyjechała tym fiakrem o błękitnej kokardzie, przyjechała, pełną litości, nad zebrzącemi oczami ojca. Ustąpiła, i sama weszła w koło już nie trosk drobnych codziennych, ale po prostu sprzeciwów temu, co ludzie, bardziej uduchowieni, mądrością życia zowią.

I teraz czuje się nagle nędzna i śmieszna wobec pytających, czarnych oczów rabinowych, oczów gazelli, którą uagle z pustynnych równin zbudzono i przed niemłą jej a nieznaną postacią Sfinksa zatrzymano na uwięzi.

— Kto pani? nie znam cię... czego przychodzisz mącić nam spokój? — zdawały się mówić te oczy semitki.

Spokój tu był rzeczywiście wielki.

Ciężki spokój ludzi, którzy uprawiają ezoteryzm, wyciskając z niego złocenie namiotu, rozpiętego w przedsionku kolumn świątyni.

W oddali słyhać było tylko senne gamy, stłumione fałdami portyer.

¹⁾ Patrz zeszyt wrześnieowy, str. 433; — październikowy, str. 16; — listopadowy, str. 240; — grudniowy str. 464 (1903); — styczniowy, str. 37; — lutowy, str. 226.

I jeszcze z doniczek palm, świeżo podlanych, ociekała woda, spadając ciężkimi kroplami na porozstawiane po ziemi talerze.

Anka czuje, iż odpowiedzieć musi.

— Jestem Zagrodzka...

— Nie przypominam sobie...

Rabinowa stoi ciągle, jakby wyczekiwała już odejścia Anki.

— Miałam przyjemność widzieć panią na bazarze biednych izraelskich dziewcząt — mówi Anka i sama się dziwi sobie, że ten głos jest taki wół senny i zupełnie odmienny od jej rzeczywistego głosu. To nie ona chyba, nie ona.

— A...

— Potem napisałam artykuł, wyręczyłam ojca.

Twarz rabinowej zmienia się nagle, jakby jakieś kolorowe światło oświeciło ją od wewnątrz sztucznym blaskiem ogromnej uprzejmości.

— Ach!.. tak.. tak.. bardzo pani byłam wdzięczna. Proszę, niech pani siada..

Anka zajmuje miejsce na aksamitnym, twardym fotelu, nieprzytulnym, niemiłym.

— Więc?..

Pytanie gazelli nie schodzi z ócz rabinowej. Ona wie, że Ankę musiał pod ten złocisty namiot, gdzie koczują na światowej przestrzeni dzieci Izraela, zagnać jakiś interes.

— Więc?..

Anka zbiera resztki rozpraszających się sił.

— Od ojca przychodzę..

Urywa, patrzy na ogromne róże, pokrywające dywan podłogi krwawymi plamami.

Czeka pomocy, czuje, że tonie w jakimś bagnie, na którym rozsiadły się rozdęte pychy i ambicją ropuchy.

Te ropuchy o rozlatarnionych sztucznie ślepiach, trzymają się na powierzchni znakomicie — ona tonie.

— Mój ojciec kandyduje...

— A...

Już nic więcej nie może Anka wymówić, nad te marne słowa.

I w tej chwili zdaje się jej, że skoro tu przyszła i skoro jej myśl ubiera się w dźwięki jej głosu, to i ona sama musi mieć w sobie coś z tego obłoczonego amalgamatu, na którym rodzą się i rozwijają pyszne, ambicją polityki nadziane, ropuchy.

I żbów zapanowuje milczenie, przerywane tylko sennym jękiem gam i spadaniem ciężkich kropel wody na fajansowe talerze, porozstawiane troskliwie na lśniącej posadzce.

— Z pod baldachimu dębów żółkujących wśród lasu... Szlakiem wrzosów różowych duch mój się wysuwa..

To myśli druga warstwa Anki, myśli pomimo wszystko i dąży, snuje się skrajami lasów, z których sypie się złoty liść dębów na różowy ogród wrzosów.

A po nad wrzosami drżą złotem i srebrem osiki.

Przezysty lazur nieba otulił las. Drogą mknie szary zajac, cień puszysty — przeleciał, nie dotykając piasku.

Rozstąpiły się wrzosy, pochłonęły cień, pokryły rdzawą różowoscią swych kwiatów ciche stworzonko, noszące, zda się, na sobie swą strwożoną duszę.

— Płynie w kryształ przestworza, bez przestrzeni czasu, drży, jak harfa eolska i w mgłę się rozsnuwa...

To spłynięcie się z przyrodą, ta chwilowa esencja prawdziwego uspokojenia, to zatracenie swej cząstkowości, stanowiącej tragedię naszego istnienia w ogromie bezmiernej Jedności.

To przychodzi na nią, opada ją, przepaja, pomimo otoczenia, pomimo poniżenia, z jakim tu weszła.

— Drży, jak harfa eolska...

Lecz rabinowa udaje teraz, że nie rozumie.

— Czem mogę pani służyć?

Nabrała pewnej ostrości tonu, wyprostowała się. Przypomina sobie, że raz, gdy jej mąż był silnie atakowany przez prasę z powodu jakichś nieprawidłowości w sprawach metrykalnych, udała się z prośbą o względność do Zagrodzkiego. Przyrzekł — nie dotrzymał. Dla czego ona teraz ma cokolwiek przyrzekać?

Pod złożonym namiotem kocującego Izraela, w ciepłej atmosferze palm, sączących wodę z wysokości żardinerek, przebiega żar nienawiści i tajonego żalu.

— Pani ojciec dziś kandyduje? — pyta wreszcie, wyczuwając w ciszy to żądanie Anki, rozpięte, jak mgła w przestrzeni.

— Tak, i polecił mi być u pani...

— Cóż ja mogę?

— Pani może wpłynąć na męża swego, aby ten znów użył swej przewagi nad kahałem... Nie wiem, ale tak ojciec mówił...

I słowa, i głos, wszystko staje się dla Anki coraz bardziej obce.

— Ja wątpię... ja nie wiem... — tłumaczy się rabinowa — mąż mój dał sobie słowo nie mieszać się do wyborów... zresztą...

Wstaje.

Tafta pod suknią szeleści dziwnie, posuwa się ten szelest po krwawych różach dywanu, ku ciężkim fałdom portyery.

— Izydor!.. proszę cię na chwilę.

Wyniosła postać, o czarnych oczach, zupełnie podobnych do oczów żony. Ręka biała, dziwnie delikatna, wyciąga się ku Ance.

— Panna Zagrodzka... wiem, słyszałem z mojej kancelaryi, gdzie pracowałem. Ale moja żona powiedziała prawdę. Usunąłem się od polityki. Nam, duchownym, nie mieszać się w to, co gubi Galicyę. Jesteśmy bezsilni, aby powstrzymać, więc choć milcząc protestujemy.

Lecz Anka czuje, że tu nie przeszedł ten duch mądrości i uspokojenia, który każe ludziom wejść na wyniosłość krużganku, i stamtąd patrzeć przez mgłę łez i przebaczenia na harce konwulsyjne dokoła kości, rzuconej między dziwne, rozżarte namiętnością i pychą, dusze ludzkie. Nie, ten duch uspokojenia nie wszedł pod namiot złości i nie wionął na palmy, skarłowaciałe w nieznajomości pustynnego piasku.

Tu wiało obojętnością musową, zdawkową, konwenansową chęcią wytlómaczenia się z niechęci niesienia pomocy tam, gdzie nie wskazywał interes i korzyść całej rasy.

— Ojciec jednak i cała redakcja twierdzą, że kilka słów ze strony pana...

Rabin rozkłada ręce.

— Dałem słowo.. sobie... żonie.

Lecz nagle odzywa się dość słodko głos rabinowej:

— No... Izydor... ten jeden raz...

— A potem sama mi wyrzucać będziesz. Zresztą, ja właściwie nie mam żadnego wpływu. Oni robią, co chcą.

Coraz goręcej w pokoju, dusza Anki omdlewa od tego zwleczenia ją z krużganku świątyni pomiędzy hordę gryzących się o szmat ociekłego ścierva — dusz.

— Może jednak... zechce pan zatelefonować...

Widzi przed sobą nagle z całą dziwną wyrazistością wybladłą twarz ojca, tam, na pręgierzu przed biurkiem, jego oczy dziwne, szklane, straszne.

I obok niego, jak cień, szary siewca, który idzie, idzie, rozsypuje swe życie bez celu na ugor, na którym nic zejść nie może, nie śmie.

— Ha... zatelefonować mogę... ale...

Rabin znika.

— On zatelefonuje... — uspokaja Ankę rabinowa.

Lecz ona już nawet tego nie słyszy.

Wie, że spełniła to, co przeciętny człowiek nazwałby wypełnieniem obowiązku dobrej, przywiązanej córki. Teraz odzyskuje wolność i może z niej skorzystać...

Wychodzi szybko z pod fałd ciężkich portyer i wydostaje się na ulicę.

W pył, w kurz, w stęchliznę nagromadzonych ciał, kamieni, przekonań, podłości i kłamstw.

Zostawia fiakra z błękitną kokardą, wdzięczącą się na zatłuszczonem odzieniu woźnicy i szybko biegnie ku strudze słońca, która przecina ulicę.

— Na chwilę w jasność, w światło!..

W fałdach swych szat, zda się, zabrała senny jęk gam i miarowy łoskot opadającej ze złożonych żardinerek wody.

Pot jej wystąpił na czoło, wlecze się koło swej duszy, którą pragnie napoić esencją światła i ciepła. Zimno jej, przeszła cięższą chwilę, niż nawet na pozór zdawać się mogło.

— To się nazywa... obowiązek myśli.

A jednak jest pewna rozkosz w przebyciu takich chwil, nawskróś bolesnych. Odczuwa się później silniej to, co przyjmowaliśmy, jako stan obojętny. Przez porównanie wyradza się ocenie szczęścia, które mamy w sobie...

Tak myśli Anka.

— Och!.. zobaczyć coś pięknego... odpocząć!..

Podnosi oczy.

Obok niej niewysoki murek, a z niego wyrasta krata.

Dalej, kościółek nie duży, blade-żółty, cofnięty w głąb, ze ścieżką fliz wyszlonych, prowadzących do nowych, jasnych drzwi, zamkniętych szczelnie o tej porze dnia.

Słowem, obraz banalny, zwykły, ciszy i odpoczynku, jakby świątecznego.

Lecz, na lewo trochę, na tle jasnej ściany kościółka, jakby czarowne zjawisko lekkie, niebylewale przejrzyste i słodkie.

To włoska akacja kwitnie liliowemi kiściami kwiatów, które rozwiewnie, jasno opadają wśród blado-zielonych, drobniejszych liści. I nie nie zdoła oddać wdzięku tego smukłego drzewka, nie nie zdoła odtworzyć czaru liliowej barwy, jakby pozbieranej z tonów włoskiego nieba o spokojnym nadmorskim zachodzie.

Jest to niewinny wdzięk rozigranych fałdów lekkich szat kobiecych i blask Adryatyku, gdy z szafiru przechodzi w błękit i kona w rubinie refleksów słonecznych.

Z tego bukietu akacyowych kwiatów płynie niezwykle, delikatne Piękno rzeczy przezczystych, dowodów, iż człowiek dziełami swojemi nęlny i smutny i drobny, zapracowany robak, wobec jednego liliowego kwiatka, podanego mu wśród deszczu zielonych, drżących listków.

Anka miłośnie obejmuje wzrokiem akację, pieści ją, tuli, chłonie duszą całą. Spożywa ją, jak chleb ze stołu magnata natury, i pije, jak zużony ptak kryniczne srebro strumienia.

I ogarnia ją wielka pocięcha.

Jest to przeświadczenie, iż w niej samej tkwi ta solidna, silna, niemal wrosnięta w nią istota jej szczęścia. Źródło, odradzające w niej szlachetną rozkosz łączenia się z najczystsza częścią duszy Wszechświata, bije w niej z mocą źródeł wieczystych, ukrytych wśród ciemni puszczy nieprzejranych. Gdy zamąci je jakiś niespodziewany powiew wichru, niosącego śmiertelne, zgniłe wonie z poza rozpadających się w bagno światów, to tylko zmacony jeden krąg, nie więcej.

Reszta, dalsze kręgi srebrne, czyste, przezrocze, pełne chłodu orzeźwiającego i nieśmiertelnej potęgi.

— Tak — myśli Anka — mogę znów wrócić do stojących wód, ziejących zatrutemi gazami rozszalałej pychy.

— Mam bowiem w sobie świeżość dni jasnych.

— Seledyn liści, fiolet kwiecia.

— I całe dobro i piękno ludzkiej duszy, skapanej w prądzie pierwotnego swego bytu.

— I spokój mój własny, równy i czysty, ponad którym wieją wichry, druzgocące niepokojem całe tłumy.

— A po nad moim spokojem szaleją, i nie dotykają go nawet krajem łopocących swych skrzydeł, z których ocieka błoto i czasem lży krwawe. .

— Duch mój bowiem zrodził się z wielkiej, bezkresnej rezygnacji, którą mają w sobie rozpostarte złotemi skrzydłami smutne zachodły słońce nad rzyskami równin.

— Tuli się w cień i czeka na Objawienie Prawdy wieczystej, nie słysząc, nie widząc odruchów konwulsyjnego miotania się istot, żyjących treścią pierwszej warstwy, w której tak łatwo legną się ro-puchy.

Więc wróćę do nich, do ludzi.

.

Wróciła do redakcyi, przebijając się z trudnością przez coraz większe gromady ludzi, otaczających dom redakcyjny.

W redakcyi jednak samej gorączka trochę osłabła. Znużeni, zmęczeni, tulili się redaktorowie i ich adherenci do biurerek, do sof, do krzesel. Anka przeszła mimo, szukając oczyma Narbutta. Nie było go.

Odczuła jakby zawód, jakby pustkę nagłą.

Gdy był przy niej, nie zwracała się ku niemu; gdy znikł, czuła pustkę.

Zagrodzki siedział ciągle na swoim krześle. Wziął tylko na kolana cylINDER i laskę, tak, jakby gotował się do wyjścia.

Ale wyjść nie miał zamiaru, ani siły. Drżał teraz cały, dwie czerwone plamy wystąpiły mu na policzki.

Gdy Anka weszła, spojrzał na nią szklanym wzrokiem.

I znów zdawał się ją nie poznawać.

— Byłam u rabina.

— A... po co? po co?

— Wszakże mnie tam sam posłałeś... chciałeś, aby wpłynął na kahał.

— Tak... tak...

Zdawało się, że ktoś pocisnął jakąś ukrytą sprężynę.

— I cóż? i cóż?..

— Telefonował.

— Słyszałaś, co telefonował?

— Nie.

— To źle, trzeba było kazać przy sobie telefonować... im nigdy wierzyć nie można.

W redakcyi, która zaczynała wpadać w martwość, zrobił się jakiś ruch.

— Zobacz... co tam... ja nie mogę.

Z trudnością chciał powstać. Czepiał się biurka, ręce mu drżały bezustannie.

Anka ku drzwiom podeszła.

Z wytorną grzecznością wprowadzał sekretarz jakiegoś pana, zaleknionego i trochę pokornego.

— Oto... ten pan ma j e d e n głos, chciałby go oddać!..

— Proszę... proszę... weź pan fiakra i zawieź pana wyborcę na ratusz.

— Służę panu dobrodziejowi.

Za chwilę mignęła pod oknami redakcji błękitna kokarda.

Dwukonne lando wiozło „jeden głos“ i lśniący cylinder pana sekretarza.

Widocznie już robiono ostatecznie wysiłki, a każdego wyborcę witano z honorem i niezwykłą uprzejmością.

Anka zamknęła drzwi i do ojca się zwróciła.

— Ojczel! — wyrzekła łagodnie — jesteś chory, widocznie nie jadłeś dziś nic jeszcze.

— Nie mogę... nie mogę...

— Napij się choć herbaty, zjedz cokolwiek... — prosi, przejęta troską poczciwą o to nędzne ciało, które pycha nerwowa tak gnębi.

Lecz on wstrząsa ciągle głową.

— Nie mogę... nie mogę...

Oczy szklane, straszne, śledzą z wysiłkiem wskazówki zegara.

— Niedługo... niedługo... — szeptem ledwie dosłyszalnym głosem.

Anka zarządza przyniesienie herbaty, sama nalewa, podaje cukier i z ciepłym wdziękiem skłania ojca do przełknięcia kilku kropel ciepłego napoju.

W redakcji już niema prawie nikogo.

Rozchodzą się wszyscy powoli, oczekując wieczoru.

I całe miasto zamiera stopniowo, kolejno, jakby wyczerpane, jakby starało się nabrać tchu do ostatejnej walki.

U żłobów pełnych, i mniej pełnych, istoty ludzkie ładują w swe ciała paliwo, potrzebne do podniesienia stopnia energii, którą wyładują na cel tak drobny i żaden, że stałby się śmieszny, gdyby w gruncie nie był tak tragiczny.

Powoli następuje martwota zupełna.

Telefon przestaje szarpać się i rzucać. W dalszych pokojach bosy chłopak leniwie zbiera w rozłożone na posadzce „Figaro“ śmiecie i okruszyny kanapek, korki i niedopałki cygar.

— Połóż się, ojczel — prosi Anka — odpocznij.

Lecz on nie chce zejść z zajętego stanowiska.

— Nie mogę!

Uparł się.

Siedzi ciągle z cylindrem i laską na kolanach, jakby się gotował do jakiegoś efektownego wyjścia na świat, przed którym ukrył się pod temi ścianami.

Anka wie, że teraz będzie spokój względny przez godzinę. I w oczach jej duszy staje znów druga postać, szamocąca się w tej chwili w szalonem cierpieniu wielkiego zbudzenia.

To Stalewski.

Pozostawiła go, śpiesząc do ojca, pozostawiła własnym siłom które są jeszcze bardzo biedne i bardzo słabe.

— Pójdę, może mu jestem potrzebna, może w tej chwili stoi znów na rozstaju i zwraca się ku dawnym ścieżkom.

Pójdę!

I przyznać się nie chce, nie śmie, że rwie ją w tamtą stronę coś niewytlómaczonego, coś bardzo artystycznego, i zarazem ogromna, serdeczna tęsknota.

— Pójdę!

Jak cień, szybko, lekko, jeszcze z wizją akacji liliowej w oczach, biegnie Anka w stronę willi Stalewskich.

XXIV.

Willa zdaje się tonąć w jakimś oparze złocistym, tok słońca pada na nią snopami promieni.

Anka otwiera bramkę i wsuwa się do ogródka.

— Gdzie pan? — pyta pochylonej nad grządkami narcyzów służącej.

Lecz z głębi altanki, oplecionej dzikiem winem, wydobywa się głos:

— Mąż mój maluje portret!

Nic więcej, tylko tych słów kilka.

Lecz jest w nich nadzwyczajna intonacja, rodzaj tryumfu, rozkaz — wszystko.

Anka chwileczkę czuje dziwne zmieszanie.

— Więc mimo wszystko, powrócił na dawną ścieżkę — myśli z bólem.

Lecz wzrok jej pada na wille, na drobne postacie dzieci, bawiące się w złotych plamach słonecznych, przeciekających przez gałęzie

drzewa, na ten cały ciężar, wlokący się u stóp tego człowieka, i ogarnia ją wielkie uczucie litości.

— Galernik! — myśli, kierując się z wolna ku domowi.

Wschodki, prowadzące do drzwi wejściowych, mają półkolisty zakręt. Ze stopni widać, co się dzieje wewnątrz pracowni.

Na fotelu siedzi dama, dekoltowana w czarnej, aksamitnej sukni, obrzucona klasycznym futrem z niebieskich lisów.

Uczesana, a raczej wyczesana sumiennie, wysoko, z włosami lśniącymi, w uszach ma duże butony brylantowe, starannie na tę uroczystość wyczyszczone irchą i szczoteczką. Siedzi, jakby z ręką opartą na fotelu. Na palcach lśni tęcza pierścionków. Palce krótkie i płaskie, są za krótkie na ich mnogość. U pasa zwisa wachlarz z piór strusich. Na ustach igra bezmyślny uśmiech. Całość ma coś z pawia, coś ze służącej, noszącej feretron na uroczystej procesyi.

Tło, z purpurowej starej makaty, bynajmniej nie harmonizuje z tą, przez fryzjera uczesaną, głową. Makata domaga się proflu błędnego, o delikatnych liniach, rzęsów długich, opuszczonych na oczy, jakby w niemem oczekiwaniu na objawienie wielkiej tajemnicy. I szyja długa, łabędzia, wygięta białą linią, winna się odciąć na tle purpury.

Przed nią, poza stalugą, Anka wyczuwa mękę Stalewskiego.

Jakby wywołany jej myślą, wychyla się z poza obrazu.

Jest bardzo blady i zmęczony. Postarzał się w tej pracy. Oczy podsiniałe, usta niemal zanikły, twarz wyciągnięta. Smutnym, zakłopotanym uśmiechem wita Ankę.

— Ja... zaraz... przestanę... — mówi, jakby usprawiedliwiając się.

Lecz ona, litości nad jego męką duchową pełna, przechyla się przez poręcz schodów.

— Przeciwnie... maluj pan dalej... proszę!..

Wpatruje się teraz w damę i myśli.

— Przecież z niej możnaby wydostać pierwiastek jej duszy. Tak, lecz czy ona chciałaby zobaczyć się taką, jaką jest w istocie. Odrzuci obraz, zniszczy go...

Cofa się Anka do przedsionka i powoli wchodzi do swego pokoju.

Natychmiast słyszy, iż Stalewski żegna się ze swym modelem. Dama pozostaje sama w pracowni, dla zmienienia toalety. W przedpokoju robi się ruch, pokojówka biegnie do pomocy, niańka z ogród-

ka każe podjeżdżać czekającemu zamkniętemu landu. Stalewska wychodzi z altany i kieruje się ku domowi.

Anka rzuca się na łóżko, kryje twarz w poduszki i chwilę leży tak bez ruchu, wyczerpana, chcąc nabrać siły do dalszej walki, do przejść, jakie ją czekają.

Otocza ją i dławi ta drobnostkowość życia. Nie jej własna, lecz tych, którzy stanęli przed nią z duszą swoją, a ona, naprowadzona na tą ścieżkę przez Narbutta, w duszę tę ich wniknęła.

Ojciec, Stalewski, Piotruśka i tyle, tyle innych. Cały korowód ludzi czynnych, zaplątanych w koła, roztoczone przez bieg istnienia. Nietylko oni, ale ich czyny, i to wszystko tłoczy się ku niej, czegoś żąda, domaga się, każe zająć się, zapomnieć o sobie...

A tu, na dnie jej własnej duszy, jakiś zamęt niezrozumiały, niejasny. Coś, jakby brak równości w tem zajęciu się głębią tych wszystkich dusz. Jedno zwłaszcza przeważa i zaczyna wyciągać ku niej rozmodlone ręce...

Przenika ją dreszcz.

Czuje, iż ktoś jest obok niej, iż ktoś patrzy na nią w tej chwili błagalnie i przez taflę łez.

Walczy ze sobą, aby nie podnieść głowy, nie spotkać tego wzroku.

A przecież oprzeć się nie jest w stanie.

Podniosła głowę.

Obok niej stoi Stalewski. Złożył ręce, jak do modlitwy, jakby ją chciał przebłagać za tamto odstępstwo. Ona bezwiednie ku niemu wyciąga serdeczne i dobre ręce.

— Za co? za co? — pyta.

— Zgrzeszyłem, wróciłem do dawnego. To już ostatnie... więcej nie będę...

Ona czuje wielką radość, niepomna już na ową przyczynę katorgi, w której się ten duch obraca.

— Tak... tak... — mówi radośnie.

On siada na niskiem krzeselku, prawie u jej stóp.

— Całe noce, całe dnie myślę nad słowami pani. Z chaosu wyłania mi się jasność coraz doskonalsza. Chwilami zdaje mi się, że rozumiem, że wiem, że już czuję. Ciężkie mam jeszcze skrzydła, ale one mi się rozwijają...

Błękitem ocz zmęczonych, biednych, wpatruje się w Ankę.

— I nie gardzić mną!.. nie gardzić!..

A potem dodaje:

— I nie opuszczać!..

To garnięcie się ku niej z taką wiarą przejmując ją serdecznym rozrzewnieniem.

— Nie! nie, nie opuszczę! — odpowiada, a głos jej ma nadzwyczajną miękość przeogromnej, kobiecej dobroci.

Jakiż on zmieniony, jaki wielki w tem upokorzeniu, z którym przychodzi ku niej tak szczerze i prosto.

Nie przeczuwała w nim nawet tej wielkości charakteru. Golgotą wszedł na szczyt, na który wzniesić się może dusza twórcza. Spejrział na siebie i na dzieło swoje. Ocenił je nie w chwili rozłamu, kryjąc w sobie to, co mu się brutalnie przed oczy rzuciło, lecz z tej godziny bólu wyszedł ogromnie jasny moralną siłą odczucia swej dotychczasowej nicości.

I do rąk jej się tuli teraz, bo jego dusza była w istocie rzeczy tkliwa i trwożna. Stąd to wzruszenie, jakie ich oboje przejęło, jakby jednym prądem. W tym pokoiku małym i biednym, ci dwoje przeżywali najwspanialszą, magnacką chwilę swego życia. Łączyli się w łagodnym wzruszeniu dusz, a myśli ich dążyły ku sobie najszlachetniejszymi liniami uczuć. Wierzenie głębokie i zaufanie, z którym on siedł ku niej, pragnąc idee, przepajające jego ducha, zamienić w czyn, nabrało światła, rozjaśniającego przestrzeń, w której z początku niepewnie i lękliwie obracać się zdawali. Teraz w tem świetle intencje zaczynały dążyć ku wyżynie czynów i czuć było w tem siłę wielką, nieprzepartą, która zdruzgoce raczej wszystko na drodze, a nie zatrzyma się w pochodzie ku prawdzie i słońcu.

— Mam myśl... — mówi Stalewski — mam myśl, zdaje się, dobrą... lecz lękam się...

— Czego?

— Wyśmieją, wydrwią. Powiedzą: Porwał się nie na swoje dzieło! naśladuje nas!.. Tego się lękam.

Wstał i szybko zaczął chodzić po pokoju.

— Naśladować ich nie potrzebuję! Mam to samo w duszy, co oni.. Tylko... tylko..

Urwał, załamał ręce, bruzda przecięła mu czoło.

— Powiedzą, zem... s t a r y !

Słowo to padło jak kamień, nagle z poza okna rzucony, i zatrzęsły się prawie od niego ściany willi.

— Za stary!..

Bolesny uśmiech skrzywił mu usta. Anka w krasie swej młodości, pełna wybuchów pierwocin artyzmu, odczuła z całą siłą i wrażliwością ten tragiczny krzyk, odsuwanego za nawias artysty.

— Za stary!..

— A przecież — podjął znowu Stalewski — nie jestem stary, bo to, co wyrzuciłem z mej twórczości, to były przecież... plewyl.. Ziarno pozostało nagromadzone i zdolne do wydania kwiatu. Ja czuję, ja wiem, że mógłbym z tego ziarna wybujać wspaniałością najwyższą...

Twarz mu pokrył rumieniec. Szkliwo oczów smutnych zmieniło się w rozjarzenie jakieś dziwne i tryskające siłą.

— Więcej mam właśnie od nich możności zrozumienia piękna, bo przez te dni kilka przeżyłem całe moje długie życie, a to liczy się za szkołę duszy, o jakiej oni, te dzieci, nie mają pojęcia. Smutek? Co oni wiedzą ze stanów duszy? Zgadują, zbierają z nas wspanialsze uczucia i nastroje, bo młodzież płacze, ale ich łzy nie sięgają dna, spływają jak rosa... Nasze łzy ciężą, spadają... my wiemy, co smutek, my wiemy, co ból, co rozpacz, co tęsknota. My wiemy, co są szlachetniejsze stany duszy, nie intuicyą, jak oni! nie z drugiej ręki, nie od nas i przez filtr naszych wrażeń, lecz przetrawione przez nas samych, nas starych, w bólu całego życia spławione i ochrzczone naszymi zawodami i męką!..

Stanął przed płótnami Anki i patrzył na nie przez chwilę.

— Nie mówię tego o tobie, Anko! — zaczął znowu — na taki, jak twój, duch, złożyła się nie wiwisekcyja twego życia, ale wieki całe, bo ty żyjesz w Objawieniu i, jak sama mówisz, na krużganku stanęłaś, skąd na szczyt niedaleko... ale ci inni, ci pyszni, ci młodzi, którzy nie żyją falą spokojną, ale burzliwemi płaszy roztańczonej żywiołowej potęgi! Wrażliwi są... stąd większa łatwość i podatność do odtwarzania tego, co pęd życia niesie...

— Wrażliwi są...

— Tak — myślała Anka — on ma słuszność. Ażeby zrozumieć nastrój jakiejś chwili, trzeba już tę chwilę przez seryę momentów podobnych przeżyć...

— Gdy nas ogarnia ból, wywołany przez jakieś cierpienie... — zaczyna znów Stalewski — czyż wtedy jedynie cierpimy tym jednym bolem? Nie, jakby na dany znak przez żalosne dzwony powstają w nas wszystkie przeżyte cierpienia. I przeżywamy je ponownie, ale z coraz większą siłą bólu... Tylko...

Anka siedzi zapatrzona, zasluchana.

— Mów! mów!

— Tylko im silniejszy ból, tem szlachetniejszą przybiera formę, czyni nas więcej zbliżonymi do czystości kryształu, przez który promienie wrażeń rozkładają się w tęczę. Czy nie tak, Anko?

Zamiast odpowiedzi, Anka spogląda na Stalewskiego radośnie. Teraz już ona, stojąc na straży świątyni, przeczuwa chwilę, w której

rozpadną się wrota i jasność ogarnie ich oboje, unosząc w świat prawdziwego Piękna. W oczach jej Stalewski czuje, rozumie tę słodką radość, która ją ogarnia.

— Czy sądziłaś, Anko — pyta jakimś cichym, stłumionym głosem — że we mnie nic już niema? nic?

— Nie — odpowiada Anka — tylko dusza pana była taką mgłą błyskotliwą pokryta, że sił nie miałam, aby przez te pstre łachmany wnikać w jej głąb.

— Skąd jednak teraz tę siłę wzięłaś?

Przez oczy Anki przesuwa się jakaś dziwna, mglista postać.

Coś ma z kształtów Narbutta, promienniejsza jest jednak i tak bardzo delikatna.

— Zaczerpnęłam ją nawzajem z innej, już zbudzonej i uświadomionej duszy.

— To Narbuttl — pada nagle z ust Stalewskiego, czyniąc na Ankę wstrząsające wrażenie.

Porywa się z miejsca.

— Skąd pan wiesz, że to on?

— Nie wiem... ale czuję, że on w tej chwili przemknął się pomiędzy nami.

I są tak oboje pewni, że nikt inny nie był tą formą delikatną i rozwiewną, która naciskiem swych myśli wywołała cały szereg dziejących się obecnie między nimi faktów, że Stalewski nie czeka potwierdzenia. Anka nie potwierdza. Narbutt jest pomiędzy nimi, żyje, rozprasza się mgłą swej niejawnej istoty w ich słowach, stanach ich duszy, i w tem, co dalej czynią.

— Tyś pierwszy mi rzucił słowo s t a r y — szepece Stalewski ku widmowej potędze — lecz tyś sam zjął tylko szablon pocisku, jakim bezlitośnie szarpiecie swe dłonie. Mów: za mało wrażliwy, mów: ślepy, głuchy, lecz nie mów nigdy: za stary! Bo wzamian odrzucić ci mogę: tyś... z a m ł o d y... więc także jeszcze ślepy i głuchy!..

Anka stoi strwożona.

Czuje, że jest teraz łącznikiem między nimi dwoma, ona, która nie należy do żadnego z tych żrących się wzajemnie światów, ona, która ma stworzony sama przez siebie świat z promiennych kół jej własnego ezoteryzmu i kultu Piękna. Lecz tych dwóch wzajemnie, zamiast tworzyć harmonię, ranią się i drą swą siłą na strzępy. W duszy Stalewskiego Anka dostrzega teraz na dnie całe łąny kwiatów świeżych, gotowych do rozwinięcia, tkanych klejnotami kielichów. Z miłością radosną zwraca się ku nim i ma tylko jedno pragnienie, aby te kwiaty zajaśniały jak najszybciej, rozsypując dokoła brylan-

towe blaski długo w przechowaniu więziennem stygnących klejnotów.

Lęka się teraz, czy brutalność Narbutta nie skazi delikatności tych kwiatów, które nagle z pod powierzchni bagnistej, na której rozsiadły się ropuchy świecącego samolubstwa, wydobywają się ku słońcu, ku zjawie życia.

I pragną być blaskiem w smudze świetlanej.

I pragną być jednym tonem w harmonii Piękna.

I pragną być wstęgą kolistą, opasującą cały łań cierpień szlachetnych.

I pragną być same takim cierpieniem, w którym dusza ludzka uczy się kochać, konać i przebaczać własnemu ciału, że się ku niej wzniesie nie jest w stanie.

Bo z ciała tego uniesie piękność linii, barwę i rozkosz omdleń i łez cichych.

Ciału pożyczysz swych skrzydeł i nauczysz je być pięknem w cichym spokoju sennego kwiatu.

.

Pomiędzy wizję groźną i bezlitośną Narbutta a Stalewskiego, weszła Anka ze słodyczą swoją.

— On błądzi — wyrzekła — on nie wie... przekonaj go pan, iż, chcąc dla dobra Piękna poświęcić ciebie, szedł błędną drogą, naucz go, że w tobie kwitną całe łań nieznanymi im kwiatów o tak potężnych blaskach i woni, że ich młode, nieukształtowane dusze, potęgi takiej mieć nie będą w stanie!..

Po twarzy Stalewskiego przebiegły płomienie.

— Chcę, pragnę... ale mnie zgniotą, nie dopuszczają!..

Anka czuje, iż Stalewski ma słuszość.

Barami przywarli do siebie z taką siłą, iż rozerwać ich łańcucha nic nie jest w stanie. Otoczyli ołtarz Piękna duchowego i bronią dostepu. Krzyczą wielkim głosem: my! my!..

Dokoła nich kilku im podobnych porusza miarowo kadzielnice, pełne upajającego dymu.

A oni wołają prawie epileptycznie: my! my!..

Tak!

O tem wie Anka.

Lecz wie także, iż przed nią rozstąpią się szeregi, bo ona tam ma swoje miejsce, którego, choć nie zajmuje, żyjąc swoim życiem, to

przecież ona jest „młoda“, i jako taka, już młodością swoją do nich należy.

— Chciałbym — mówi Stalewski, a ręce tylko kurczowo załamuje, jakby ogromną męką wewnętrzną zdjęty — chciałbym... jeżeli nie dla siebie, to dla innych... dla tych, którzy tak, jak ja, dostali policzek starości, a mają w piersiach skarby całe i lękają się... i nie śmia...

.

Skrzydłami rozpostarta u progów świątynnych, dusza jego samotna spowiada się Bogu. Stokroć razy mniej winna od wszystkich niewinnych. A jednak omdlewa z trwogi i czeka u progu...

To słyszy Anka, słyszy i widzi tę duszę rozskrzydloną całą w poświecie drgających, cudownych blasków, leżącą na stopniach świątyni.

A przed nią tłum zwarty woła w pysze.

W uniesieniu.

W bezwzględności.

W bezlitości.

W szale.

— Myl.. myl..

Przez umysł Anki przesuwają się dziwne myśli. Chwilę z nią walczy, ale chwilę tylko. Bo choć to projekt czynu, złożonego z kłamstwa, oszustwa i podstępów, lecz cel jest jasny i dobry, a ku celowi oczy Anki są zwrócone. I zarumieniona, szczęśliwa, zbliża się ku Stalewskiemu.

— Panie Janie .. — mówi szybko — posłuchaj mnie pan... namaluj twój obraz, to dzieło, które musisz stworzyć, ażebyś sam się przekonał, kim jesteś w istocie...

— Tak... tak... — mówi Stalewski — muszę! w ten sposób zerwę ten strupieszwały całun, który dźwigam na sobie! przekonam się... bo chwilami jeszcze omdlewał z trwogi... zdaje mi się, że nie mam sił...

Muszę! muszę!..

— Tak... i dla tego, aby znów jakaś brutalna dłoń nie rzuciła na ciebie szyderstwem i lekceważeniem, pan wystawisz swój obraz pod moim nazwiskiem...

— Pod twoim nazwiskiem, Anko?

— Tak, na krótki przeciąg czasu, na dzień, na dwa... Dokąd nie wzniesie się hymn uwielbienia: tylko młodość! młodość mogła wydać takie silne technienie!..

Twarz Stalewskiego rozjaśniła się przeogromną, szaloną radością.

— Tybyś chciała, Anko? ty się na to zgodzisz?..

— Tak... proszę! weź pan moje imię, czyż z niem, co zechcesz... proszę!..

Ręce ku niej wyciągnął.

— Jakaś ty dobra... jakaś ty dobra!

Cała twarz mu jaśniała i biła aż młodością. Oczy błyszczały przezroczeniem szafirów. Od srebrnych włosów biła jakby jasna otęcza. Był młody, silny, pełen wiary.

— Tak! tak... ukorzą się przed dziełem, porwą je w ramiona, noście będą, jak arkę, jak cenną amforę, pełną bajrzadszego wina... Poić się niem będą i wołać: to naszeli.. to wykwitło z naszych łąków, z czarnych pól, z naszych jaźni!.. A potem, potem...

— Potem — kończy Anka — przyjdzie chwila nieoczekiwana. moje imię opadnie w cień i ukazesz się pan takim, jak jesteś, jakim cię wydobylałam z pleśni mojem skromnem, ubogiem pragnieniem. Nastąpi krzyk zemsty za podejście, lecz dzieło pozostanie w swym tryumfie wielkie i nieobalone!

Ręce ich złączyły się.

Uczucie, rwące ku górze ich serca, ogarnęło ich olbrzymią mocą. Zdawało im się, że stopy ich nie dotykają ziemi. Tonęli wzajemnie w swych źrenicach. Nietylko wiara przepajała ich całych, ale Nadzieja lekko i subtelnie wionęła ku nim, jakby esencja ich myśli. Odcięli się niejako od zewnętrznego świata na chwil kilka w natężeniu najszlachetniejszych, cichych pragnień.

Melancholia życia była od nich daleko. Rozpłynęli się cali w radosnej stronie istnienia.

Mądrość życiowa ustąpiła miejsca płomiennemu porywowi wyobraźni.

Byli młodzi oboje i dusze ich nie znały różnicy przeżytych lat.

Jednak rozpostartymi skrzydłami zawisli w kryształowem przestworzu.

Po wschodkach dały się słyszeć ciche, jakby skradające się kroki i szelest sukni.

— Panno Anko!.. — zaskrzeczał głos Stalewskiej.

Drgnęli oboje.

Zbudzili się.

Jakieś uczucie niesmaku i szablonowej trwogi ogarnęło jego serce.

Anka wolno podeszła do drzwi.

Otworzyła je szeroko.

Stalewska mogła odrazu dostrzedz męża.

Zmrużyła oczy, przygryzła wargi.

— Pani tu jeszcze? — spytała.

— Tak.

— To dziwne. Sądziłam, że pani już w redakcyi, i przyszedłam prawie pewna, że panią nie zastanę.

Czuć było kłamstwo w jej syczącym głosie.

— Tembardziej... że pani powinna może być teraz przy ojcu...

Bawić się zaczęła brelokami, które dzwoniły, jakby błazeński hymn tryumfalny.

— Bo ojciec pani przy wyborach przepadł... — dokończyła naporoz obojętnie.

Anka porwała za kapelusz i pośpiesznie ubierać się zaczęła.

— Co pani chce... każdy z nas ma swoje chwile, w których go motłoch nazwie... pajacem!.. — zabrzmiało w ślad za nią, gdy zbiegała po wschodach.

XXV.

Szybko biegła Anka w stronę redakcyi.

Przeszła most, który zdawał się drzeć i pulsować jakimś dziwnem, wewnętrznem życiem. Nie zdawała sobie widocznie sprawy, zajęta rozmową ze Stalewskim, ile czasu minęło od chwili jej powrotu do domu. Słońce zapadło zupełnie, czarne chmury wisiały groźnie nad miastem i zdawały się obniżać z każdą chwilą. Coraz cięższą była ta sekundowa walka płuc ludzkich, a oddech i pot, osrebrzył Ance skronie.

Posępność ciężka, dławiąca, zalegała miasto. Mrówki ludzkie, zamknięte w cytadeli swych murów, dusiły się i szalały w rozprężeniu nerwów, na które były fale krwi. Gdzieniedzie już płonęły światła niepewne, i jakby zamiast blasku, mrok w siebie chłonały.

Anka starała się całą siłą nie poddawać wrażeniu tego zgnębienia, bo czuła, iż będzie musiała mieć tyle mocy, iż ta moc właśnie musi przejść niejako z jej duszy w duszę jej ojca, startego na proch swą polityczną porażką.

Co robił w tej chwili ten nieszczęśliwy starzec?

Co się z nim dziać musiało?

Już poza mostem Anka odrazu wtargnęła w to rozpasanie drobnych ludzkich tryumfów i porażek. To, co płynęło z góry, to przytłaczające i groźne, rozścielało się i rozwłóczyło po ziemi w duszach i sercach ludzkich. Nie było przebaczenia u tych, którzy brutalną nogą stanęli na gardle powalonych. Z pola bitwy, gdzie „bohaterowie” nadziewają na miecze, jak na rożny, po kilku swych braci—człowiek przenosi ten „rożen” mieczowy i zastosowuje do wszystkich swych czynów. Upajany od dziecka fałszywym winem tryumfów krwiożerczych, wyobraźnią brodzący po polach, zasłanych trupami, nie mogąc urządzić „bohaterskich jatek”, całą tę krwiożerczość wtlacza sobie w duszę.

I potem galopuje tryumfalnie, kierując rumaka swej brutalności tam, gdzie kryje się w cień zwyciężony moralnie jego współzawodnik. Kopytami zajeżdża prosto w twarz pobladałą, dzidą godzi w serce, które kurczy się bólem porażki. Na helmie wyobraźni powiewa pióropusz dumnego upojenia. Zwyciężyłem, więc dalej na cmentarz cudzych złudzeń!

Rozorać mogiły, rozerwać wieka trumien, oplwać tych, którzy, zdjęci nagłą nieśmiałością zwyciężonych, w cień ukryć się pragną. Nie dać im spokoju za to, że śmieli przez chwil parę wzniecać niepokój o udanie się zamysłów.

Vae victis!

Anka rozumie i wyczuwa duszę rzeczy martwych, rozumie, czemu drżał taką dziką radością most, jakby odbicie drżących nerwów, cisnących się „stronnictw”. To samo drżenie przejęło bruk, fale powietrza, płomienie gazu, płonącego na rynku.

W tłumach słychać tylko nazwisko „wybranego”, brodzi się po masie afiszów, plakatów pozdzieranych i porzucanych dokoła ratusza. Czepiają się sukni Anki ostrością zastygłego kleju, szeleszczą razem z tem tryumfalnem nazwiskiem, które rozdyma się, jak pęcherz, przez dzieci nadymany. Śmieszne, głupie, małomiasteczkowe drobiazgi zalewają powodzią całe miasto i zajmują pewną seryę chwil ludzkiego istnienia. Kiedyś odbijają się echem w jakichś czynach, które przejmą zdumieniem swej przedpotopowej martwoty, posuwający się szlakiem udoskonalenia wał ludzkiego ducha.

Bezmyślnie, prawie bezwłasnowolnie targa się w odruchach radosnych ludzka tłuszczka. Zbiorowe ciało, nazarte i cuchnące, często szpetne, rzadko piękne w swych liniach. Wylegli z domostw i dają folgę swej wesołości, rozciągając mięśnie twarzy, wydając okrzyki. Tu i owdzie przemykają się ludzie, którzy wyzwolili się z tych ścieżek, i patrzą poza głowy tłumu, troszczącego się o „świecznik”, złatany z połamanych kawałków szmelcu, wyciągniętych z ognia namię-

tności karlich i pyłem przysypanych. Do nich, do tych „wyzwolonych“ pragnęłaby się przyłączyć Anka, lecz musi brać niejako udział w tych ruchach większości, szalonej prawie od pijaństwa, rozpolitykowania się bez uzd i bez względów. To pijaństwo dozwolone, przepisane i usankcyonowane, wydawało się nawet niejednemu wypełnieniem moralnego obowiązku. Snując się w tłumie około ratusza, ciesząc się z bełkotania jednego i tego samego nazwiska człowieka, który wywiesił płachtę „programu“, większą i silniej zredagowaną, niż inni, taki niejeden rósł w dumę i pychę. Zdawało mu się, że zbawia kraj, że podnosi i dźwiga na swych ramionach ginące instytucye, i że to dla niego zaczynają płonąć w niektórych oknach te świece „sześć na funt“, oprawne w butelki i podzielone na połowę.

Grupy takich osobników zbierały się teraz, ujmowały pod ręce i zagłębiały w ulice, krzycząc i śpiewając. Dlaczego krzyczeli, dlaczego śpiewali, nie wiedzieli sami. Było im to obojętne. Chcieli tylko krzyczeć i podrzucać od czasu do czasu kapelusze. Wołali: „niech żyje!“, a potem: „hańba!“, tym samym tonem ludzi, nie bardzo przytomnych.

Opadające coraz niżej ciężkie, ołowiane chmury, gnioły ich mózgi i utrudniały oddech. Zdenerwowanie wzrastało. Każdy człowiek zdawał się wydzielać ze siebie snopy elektryczności. W oddali odzywał się głuchy huk grzmotu. Odpowiadały mu z ulic wrzaski, przeciągające wśród tłumu. Wreszcie mignęła pierwsza błyskawica i w niej zamigotał gwiazdą krzyż na katedralnym kościele. Tłumy powiały rękami ku niebu i zaczęły błąkać się wśród kamienie, objając się o słupy latarni, o mury domów.

Z głuchym łomotem zasuwaly się żelazne żaluzye sklepów. Kupcy z pośpiechem mrówek oddzielali swe ubogie mienie od zdenerwowania tłumu. Już kilkakrotnie rozległy się złowrogie szurnięcia parasolem, lub laską po drzwiach sklepowych, lub ścianie. Radość z odniesionego tryumfu mogła zakończyć się dźwiękiem bitych szyb i wyrrywanych z bruku kamieni.

Anka nie szła już teraz, lecz biegła w kierunku redakcyi.

Pusto było i głucho na ulicy i na placyku. Okna redakcyjne były zupełnie ciemne. Nie płonęło żadne światelko. Lecz Anka nie dała się uwieść tej uludzie.

Czuła, wiedziała, że w tej ciemni jest jej ojciec zwyciężony z duszą, potarganą na ostatnie strzępy.

Szybko otwarła drzwi od sieni i wtargnęła do środka. Gdy zamykała drzwi, posłyszała odgłos grzmotu. Wicher wyrwał jej z rąk drzwi. Zatrzasnęła je przemocą. Przebiegła puste pokoje. Środkowy,

oświetlony był latarnią uliczną. Drgnęła cała. Ukazała się jej głowa ojca, zwieszona ku ziemi. Tragiczna, blada, dogorywająca...

Straszna była w nieruchomości maski pośmiertnej, zastygłej i fatalnej.

Lecz szybko Anka opamiętała się.

To był transparent z portretem ojca, który przygotowano na wypadek tryumfu.

To on dogorywał, jakby przygwożdżony do katafalku redakcyjnego stołu, a dokoła niego walały się japońskie lampiony zdeptane i w pośpiechu na ziemię zrzucone.

Nikogo w redakcyi. Wszyscy wobec porażki umknęli, zamykając się w swoich norach.

Anka weszła cicho do pokoju, gdzie stało biurko jej ojca...

Pewna była, że go tam zastańie.

I był tam rzeczywiście.

.

Ukośne światło latarni rzuciło na niego promień żółtawy i jakby pyłem wypełniony.

Siedział nieruchomy przy biurku, ubrany w swe jasne, elegancie palto.

Trzymał na kolanach cylinder i laskę, na rękach miał rękawiczki.

Wyglądał, jakby za chwilę miał wstać i wyjść na ulicę.

Ciągle czekał tak na coś nieruchomy, zimny, dziwne zjawisko człowieka, który olbrzymim ciosem mienił dla siebie to, co ledwie muśnięciem skrzydeł mogło przesunąć się przez jego istnienie. Ze swą twarzą spokojną, z wachlarzem białej brody, miał pozór mędrca, który posiadał najwyższą Prawdę i zrozumiał, w czym leży treść życia.

Był on jednak jak świątynia zamknięta, cicha, o murach, wzniesionych z głazów, którym wody górskie piękny kształt nadały. Świątynia ta była zamknięta i na jej odrzwiach krwawiły się maki senne pieczęci.

Wewnątrz bowiem spełniono zbrodnię, zbezczeszczono stopnie ołtarza, na którym plonęła Doskonałość prymitywnej duszy czystej, pełnej majestatu. Dopuszczono wewnątrz całą hordę usankcyonowanych ludzkich błazeństw, które z łamańcami sztuk kłownowskich wdarły się do ołtarza. Biel duchową, dziwnie czystą i zdolną do

przetworzenia się w słoneczną zjawiskowość, nerwowe palce błazeństw porwały na strzępy i cała Dostojność, wyjątkowa nawet, przetworzyła się powoli w rozwichrzone cząstki, tańczące w takt łamańców błaznującej hordy.

Nagle potęga przeznaczenia, ta, która miesza się w sprawy wielkie i wzniosłe, wyгнаła całą kohortę z owej świątyni znieważonej.

I powstały milezące mury, wzniesione ze złomów, którym pęd strumieni wiekowych faktów nadał wspaniałe kształty, lecz na odrzwiach czerwieniały krwawą melancholią seune maki wielkich, niezłomnych pieczęci.

.

— Ojczel.. — wyszeptała Anka, dotykając lekko ramienia Zagrodzkiego.

Nie poruszył się nawet.

Ciągle na coś czekał.

— Ojczel.. może pójdziesz stąd! wróćmy do domu!

W tej chwili uczuła całą nędzę tych słów.

Do jakiego domu?

Czy do tego wazkiego numeru hotelowego, po którym chodził niedawno, rzucając się w nim, jak zwierzę w klatce zbyt ciasnej.

Ten przygodny szalas, zbudowany wypadkowo w morzu innych schronisk, nie był mu d o m e m, który mógłby uspokoić i utulić tragedję jego życia.

I on to uczuł, bo poruszył się niecierpliwie i cicho wybełkotał:

— Gdzie?.. gdzie?..

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

Ach! w noc tę parną, cichy rozłóg ich wsi i senny trawnik, na którym rozkłada się kwieciami białej, uroczej akacji.

I dom jasny, z którego okien wylewa się struga światła, przyćmionego lekką koronką czysto wypranych firanek.

I ławeczki na ganku, przytulne i ciche, na których ktoś zostawił gałązki rezedy i parę bratków, stulonych w pokornej, wieczornej modlitwie...

I cała ta cisza łąk, pól, cmentarzy, zarosłych puchem mleczów i lasów, pełnych paproci, kryjących w sobie ametysty dzwonków...

Tam był... dom.

Ich... dom.

Są naprzeciw siebie teraz, w tej miejskiej mordowni, pełni smutku, nie wiedząc, gdzie iść po spokój i wytchnienie.

Błyskawica przecięła pokój.

Anka w tej błyskawicy dostrzegła, że ojciec, mocą nałogu, utkwiał oczy w tarczę zegara, który, nienakrecony, iść przestał.

W ślad za błyskawicą, głuchy grzmot przeleciał, jakby nad dachami domów. Wicher zaszumił i giąć zaczął drzewka na skwerze. Rozjęczały się cichym poszeptem targanych mocą przeznaczeń istnień.

W takt ich skarg wionęły smugami światła latarni i dosięgły kątów zaciemnionych, redakcyjnych izb.

Groza przedburzy, groza, miastom właściwa, pełna nieuchwytnych drzeń cielsk domów i gmachów, ziejąca nagromadzonym żarem, pełzała i wspinała się ku czarnym kłębowi chmur, rozpętanych, rozwichrzonych nad drżącymi szczytami domostw i wież.

Wtem, od strony miasta, wtoczył się w ciasną uliczkę, prowadzącą na skwer, kłęb ludzkich ciał. I zdało się, że to jedna z chmur spadła na bruk i bieży po nim zdradnie i cicho. Ludzie szli prawie w milczeniu, a było ich tylu, że w mgnieniu oka zapelnili placyk i zaroiłi trawniki. Niektórzy biegli pędem, i ci, którzy przybywali, tłoczyli pierwsze rzędy niepohamowaną siłą.

Anka, która nagle spojrzała w okna, w świetle nowej błyskawicy dostrzegła ten milczący tłum, mnożący się z szybkością cudu.

W pierwszej chwili sądziła, że to hallucynacja. Lecz dostrzegł już ich Zagrodzki, i jak na sprężynie, zwrócił się twarzą ku oknu. Coś, jakby błysk radości przesunął się po jego twarzy. Nie wstał jednak, tylko zwrócił się prosto ku oknu, i na tłum, po którym wicher szalał, patrzył.

Trwoga straszna przejęła Ankę.

Chwyła ramię ojca:

— Ojczel! odsuń się od okna! chodź w głąb pokoju.

Lecz on, jakby w zachwycie, powtarzał cicho:

— Przyszli... protestują...

I czekał.

Nagle tłum zaszemrał, zakolysał się, jak drzewa, jak płomień, i z tego szmeru wytrysły straszne, przeciągłe gwizdy. Były to szarpnięcia duszy tak bezlitosne, iż zdawało się, iż ktoś kosą ścina cały legion modlących się dzieci. Gwizdy wywołały echa. I rozpęta-

ła się przeraźliwa orgia ludzkiej podłoty. Wycie wilków, szakali, hyen, dławionego zająca, świsty halnych wichrów, kotów rozszalałych, gwizdy i nawoływania zaskoczonych policyantów, śmiech demonów, łaskotanych pazurami wiedźm—wszystko to łączyło się w ryk, który okrążył plac i wpadł do wnętrza redakcyi, waląc prosto w trupio bladą twarz Zagrodzkiego:

— Hańba!...

— Pereatl!...

— Precz z nim!..

Lecz on nie rozumiał. Siedział jeszcze ciągle, patrzył, i tylko powieki mu szybko drgać poczęły, jakby te wszystkie wyjące głosy rozsiekły się różgami po jego źrenicach.

Anka rzuciła się ku niemu.

— Ojczel!.. usuń się!.. błagam...

Mignęła błyskawica, oświecając błękitnym, przejasnym blaskiem twarz Zagrodzkiego.

— Ol.. siedzi tam... jest..

— Huzia!

— Ksy! ksy!

— Hańba!..

I gwizd, i krzyk, i wycie straszne... a razem z tem ludzkim rozpętaaniem grzmot przeciągły, walący skałami w bezdenne przepaście wszechświata.

Anka bezsilnie czepiała się rąk ojca.

— Ojczel! ulituj się!.. cofnij się od okna!

I nagle kamień pada, jeden, niewielki kamień, i krzyk ochryplego głosu:

— Hamaj kiciul.,

Śmiech okropny, rozpasany, wstrząsający.

Kamień uderzył Zagrodzkiego w ramię.

Było to, jakby ocknienie.

Zagrodzki zrozumiał.

Powstał, wyprostował się, poruszył ustami, jakby chciał coś przemówić, lecz nowa błyskawica oświeciła go całego, a tuż pod oknem wyciągały się ręce rozswawolone, straszne, czarne jak gałęzie wierzb przekłętych, nagle w noc burzliwą wyrosłych.

Anka siłą wdarła się ku oknu i zatrzasnęła je podwójnie, a nadto spuściła roletę. W innych pokojach okna były zamknięte. Uczynwszy to, porwała ojca pod rękę i wyprowadziła z pokoju. Dał się

prowadzić, jak dziecko. Pod oknami rozwyła się tłuszcza, szalejąc z radości.

— Kocia muzyka... co?.. — wyszeptał Zagrodzki.

To słowo drobne i żadne wpadło w tę tragiczną chwilę, jako doskonała synteza uczuć tłumu, który miotał się poza oknami...

Anka podprowadziła ojca do szezlongu, który stał w kącie większego pokoju i ukryty był poza szafą, odwróconą frontem ku oknu. Wiedziała, że tam będzie bezpiecznie.

-- Połóż się, ojcze, odpocznij!

Drzał cały, jak w febrze. Upadł na szezlong i zatknął uszy rękami. Konwulsyjny ruch jego pleców wskazywał, że szarpały nim nerwowe łkania. Był tak nędzny i nieszczęśliwy w tej swojej niemocy, iż Ance, klęczącej przy nim, serce szarpało się na strzępy.

Tłuszcza wyla jeszcze, lecz sił już jej nie stało. Znudzili się widocznie i zapragnęli nowego zera. Sądzieli, że znajdą redakcję w komplecie i że „zabawa będzie szersza“. Tymczasem zamknięte okna, ciemność, ta jedna sylwetka bladego starca i potem mignięcie kobiety, zamykającej okna, to było niewiele dla zgłodniałej wrażeń tłuszczy. Przytem deszcz zaczął padać dużemi kroplami, a doleciały wieści, iż szybkimi krokami biegnie „policya“, więc tłum zaczynał rozpierzchać się, nagle ostudzony i niejako do przytomności doprowadzony.

.

W redakcyi klęczała wciąż Anka przy ojcu, wsłuchując się teraz w jego oddech, który huk grzmotów głużył co chwila.

Burza rozpętała się nad miastem i rozświetlała co chwila jego nocną nędzę i tłoczącą się w murach tragiczność codziennych zdarzeń.

Zagrodzki leżał teraz odwrócony na wznak, a u nóg jego walał się porzucony cylinder i wypuszczona z rąk laska. Głowa jego zsunęła się ku ziemi, pomimo, iż Anka usiłowała nadać mu inną pozycję. I w świetle błyskawic przybrał on ten sam wyraz, tę samą straszną, trupią maskę, jaką miał na porzuconym w drugim kącie sali transparenecji, tak, że Anka z drżeniem trwogi, graniczącą z szaleństwem, chwilami już ich obu rozróżnić nie mogła.

Obie te twarze były jednak blade, jednak nieruchome, pochylone ku ziemi, zwisające bezwładnie.

Błyskawice migotały po niebie błękitnymi blaski, jakby ktoś w noc zaduszną zapalał i gasił gromnice, a huk gromu nie wywoływał ani drgnienia w szeroko rozwartych, szklanych, dziwnych źreńnicach.

(D. c n.).

GABRYELA ZAPOLSKA.

Władysław Syrokomla.¹⁾

(1823—1862).

V.

LIRYCZNE I EPICZNE PIERWIASTKI W ORGANIZACYI POETYCKIEJ SYROKOMLI.

Dla czego liryka naszego poety — w pierwszym okresie przy- najmniej — nie stoi na tej samej wysokości, co epika? W jaki sposób radość i smutek kojarzyły się w żywej osobistości?

Zbierając tu i owdzie rozrzucone rysy, zawarte czy to we wspomnieniach współczesnych, czy w wyznaniach, złożonych mimowolnie przez poetę w utworach, możemy uczynić niejaki wniosek z charakteru poezyi o charakterze człowieka, i zdołamy powziąć, jak się zdaje, choć określone wyobrażenie o temperamencie poety. I znowu staje przed nami postać ojca Ludwika, postać Łagody z „Kęsu chleba“, której sobowtorem stawał się syn nietylko wtedy, gdy, onieśmielony, powtarzał wszystkie ruchy staruszka, jak to było przy pierwszym ukazaniu się w biurze nieświeskiem. Widzimy przed sobą człowieka „łagodnego“, choć żywszego może w ruchach, niż ojciec. Usposobienie to spokojne, do namiętych wybuchów nie zdolne, w odruchach natychmiastowych powściągliwe. Natura miękka, pożądająca atmosfery przyjaznej, pogodnie uśmiechniętych twarzy, życzliwych uśmiechów, uścisków serdecznych. Z nielicznych erotycznych poezyj odgadnąć łatwo, jak i w tym zakresie serce poety łaknęło dobrej, współczującej i oddanej duszy kobiecej. W atmosferze uczuć przyjaznych, ciepłemi wzruszanej powiewami, łagodnemi błyskami prześwietlanej, rozwijała się dusza poety, jak płatek kwietny na słońcu, i sama pro-

¹⁾ Patrz zeszyt lutowy, str. 252.

mieniować poczyniała ciepłem i wesołością, której zasoby były niemał niewyczerpane. Stąd tyle szczerym humorem okraszonych wierszy pochodziło. Natomiast każde szorstkie dotknięcie, każde obniżenie stopnia temperatury w otoczeniu, już wywierało przygniatający wpływ, na iście czułkową naturę poety. Stąd i w jego publicznej działalności łatwo było dotknąć go boleśnie, nie z powodu wygórowanej ambicji, lecz wskutek właśnie tych właściwości usposobienia, które staraliśmy się określić. Jeszcze nie sprawdzwszy na sobie, iż słowo musi mieć swą odwrotną a bolesną stronę, już przepowiada przyszłemu poecie:

Twoje czoło — w wieniec cierni ustroją,
I zelżą ciebie hańbą sromotną,
I w twoje piersi kamieniem grzmotną ¹⁾.

Zapewne, było w tem trochę zwykłej pozy romantycznej. „Jam tych przysmaków nie kosztował prawie“ — wyznaje w rok później Kraszewskiemu — „lecz z góry nie smakuję w tej cudnej potrawie“. „Dobrze ci tak, poeto!“ — mówi z goryczą:

Na co było, na co
Stroić lube twe dziecię, jak gminny pajaco?
Uczucie, to skarb serca, pielęgnuj go w ciszy...

Rada, niemożliwa do wykonania. Nie dlatego nawet, że nieprzearty pociąg do pióra przemożnie władał poetą, że „sam proces pisania“ uśmiechem rozjaśniał mu oczy, ale że była to natura, najzupełniej nie umiejąca sobie wystarczać. Widok ludzkich twarzy, dźwięk ludzkiego głosu, podział myśli i uczucia z bliźnimi — było to wszystko dla Syrokomli, najniezbędniejszą duchową potrzebą. „Gdy nie piszę, to w domu nie siedzę“ — wyznawał. Materiału na samotnika, obcującego z sobą i z myślą swoją, materiału na filozofa, zadumanego nad przeznaczeniem ludzkości, czy społeczeństwa, nad zagadką bytu, lub kolejami serc ludzkich — materiału na to wszystko nie było w nim ani krzty. Ta nieumiejętność oparcia się na sobie, ta potrzeba czerpania siły z sympatycznego zetknięcia się z duszą bliźniego, jak zobaczymy później, miała nawet zgubne dla poety skutki..

¹⁾ Wiersz pochodzi z r. 1847.

Szukać ludzi musiał. A szedł do nich nie z zimną wolą spostrzegacza, lecz z sercem czułym i dobrem. Miłość i życzliwość, które uczuwał względem braci, te uczucia, któremi żył, z których pieśni swoje wysnuł, nie były zresztą pozerającą istotą jego namiętnościami, nie stawały się nienasyconą ciekawością głębin duszy, w której poeta nie zechce pozostawić niezbadanym najtajniejszego zakątka. W naturze uzdolnienia tego i uczuciowości tej było oddziaływanie na rzeczy bliskie, widoczne, te, co to w „przezroczystej piersi“ grają jak na dłoni, i przejrzeć się dają odrazu. Stąd wynikały konsekwencje w dwu kierunkach. Usposobienie do żartu, zdolność upatrywania śmiesznej strony w ludziach, w stosunkach, najczęściej zatrzymywały się na powierzchownych przywarach tej, czy innej osoby. Niekiedy i zjawiska ogólniejszej natury, wywoływały uśmiech, gorzki zwykle, na usta naszego lirnika. Okoliczność podobną wskazuje, niedość wyraźny zresztą, wiersz: „Browary“, entuzjastyczny wielce, bo przecież „stąd się przemysł, oświata, wesołość rozbiega“. Zwłaszcza charakterystyczny jest upominek: „Niewinnej duszyczce“, pierwowzór późniejszego „nagrobka obywatelowi“. Ale na sarkazm z trudnością Syrokomla się zdobywał, żal przemagał w nim zawsze nienawiść do złego. Szyderstwo nie było bronią, dobraną do ręki rzewnego lirnika. Na lirze jego brzmieć raczej miała smętna nuta. Lecz znowu i w tym przeciwnym kierunku znać było, że dusza poety zamało przestaje sama z sobą, zamało sobie wystarcza, że jej wewnętrzne życie nie jest dość urozmaicone i bogate. Zbyt łatwo roztkliwia się nad sobą, a treść jej natchnień wypełnia dość nieokreślony żal za jakimś światem rajskiej pogody, w którymby można było serdecznie uścisnąć rękę bratu i siostrze. Dla usposobienia tego, pogodnego i rzewnego zarazem, nie znajdujacego wszelako w rzeczywistości zadośćuczynienia wymaganiom serca, dla wyobraźni tej, co nie wyrwała się śmiałym lotem w przyszłość, a nie miała dość mocy, by rozwijać z siebie wizye światów, do których wciąż tęskniła, dla tego usposobienia i dla wyobraźni tej jedna dziedzina była przyrodzoną ojczyzną, to idealizacja przeszłości (osobistej) we wspomnieniu. Istotnie, najczystsze klejnoty pieśni Syrokomli, to te właśnie, w których mgłą opalową mieni się w łzach skąpana, rzewnym uśmiechem prześwietlona, tęskna poezya wspomnień dziecięcych. Stąd wypłynęły całkowicie „Szkolne czasy“, a w znacznym stopniu i „Dębóróg“; tym samym tchem jest owiany „Ułaz“. Cała treść „Jana Cmentarnika“, to tęsknota do rodzinnej wioski, tęsknota, którą tak odczuć umiał poeta. W „Kęsie chleba“, kiedy jego kącik nadniemeński w mgłę się owinał, wówczas z piersi jego wymknęły się dźwięki, za serce chwytające:

W dni moje młode, w dni moje szczęśliwe,
I jam uprawiał nadniemeńską niwę...

*Tameczne łąki znam po aromacie,
Wodę tameczną po smaku odgadnę,
Inszego ptactwa śpiew mię nie omami,
Znam, jak skowronek, jak tam słowik śpiewa;
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
I wiatr tameczny rozpoznam płucami.*

Dziwna napozór sprzeczność zachodziła między sejmikowo-szlacheckiem usposobieniem Syrokomli, potrzebującego wokoło siebie, jak powietrza do oddechu, gwaru głosów ludzkich, a zimnem, sztywnem zachowaniem się jego, ilekroć znalazł się wśród liczniejszego grona ludzi, choćby zyczliwych, ale dalszych. Sprzeczność atoli tylko pozorna. Rozwiązanie jej spoczywa w kardynalnym pierwiastku natury poety, w potrzebie ciepła serdecznego, a więc atmosfery zupełnie poufałej. Z drugiej strony musimy tu powołać się na pewien rys charakteru, o którym jeszcze nie wspominaliśmy. Spowiadając się przed Marcinkowskim, wyznaje mu: „Przy charakterze powolnym, rozważnym, nieśmiałym, zachowałem jednak niepodległość umysłu“. I dalej: „o wszystkim dopóty nie mam żadnego zdania, dopóki nie wyrobię własnego... Oto klucz do kontrastów mojego charakteru, upartego i słabego zarazem“. Skorzystamy z tego klucza. Umysł Syrokomli był równie powolnym i nieśmiałym, jak charakter. Praca wewnętrzna odbywała się w nim, rozumie się, i dla tego mógł, jak to o nim mówiono, zaledwie przerzucać książkę, a mówić o niej, jakby po najuważniejszym przestudyowaniu. Przecież on, samouk, nie został pisarzem prowentowym, lub zadomowionym szlachetką z aspiracyami do uczoneści, lecz dostojnym obywatelem Rzeczypospolitej literackiej, ba, w pewnych chwilach sięgał nawet ręką po berło poety narodowego. Ale owa praca wewnętrzna była „rozważna“, pierwiastku błyskawiczności w niej nie było. To znamię dziedziczne. Wszak i ojciec jego, zapalony zwolennik dysput, zwykle je kończył propozycją: „wyzywam pana na piórko“. I ojciec, i syn, mieli pod tym względem usposobienie gabinetowe. Nic w nim nie było iskrzącego, wybuchowego. Szermierki językowej prowadzićby nie umiał, gdyż nie ogarniał natychmiast myślą arsenału środków przeciwnika, a i u sie-

bie odpowiedniej broni nie umiałby odszukać. „Ze mnie żaden dyalektyk“ — przyznawał się Kraszewskiemu. Nowe rzeczy, lub z nowej ukazujące się strony (a tak z nim, samotnikiem, często zdarzać się mogło), wprost przygnębiający wywierały wpływ, zwłaszcza, jeżeli należało reagować na nie natychmiast, bez zwłoki. Grał tu swoją rolę i ów charakter „nieśmiały“, mało stanowczy i rzutki, i wielkie zadowolenie, brak przyzwyczajenia do obcowania z ludźmi, coraz to innej miary umysłowej i towarzyskiej. I oto, gdy odwiedza go młódź uniwersytecka, zapewne ludzie bliźcy i serdeczni, jego przecież „boli głowa od krzyków postępowych“. Zapewne „krzyki“ owe odskakiwały od wyobrażeń, z którymi się spoufalil, bądź uznając je za swoje, bądź odrzucając; określonego natomiast stanowiska względem „krzyków“ zająć nie umiał. Potrzebował czasu, by poglądy jakies uporzędkować i ocenić, jedne odepchnąć, inne znowu połączyć z najwewnętrzniejszymi swemi przekonaniem i dążeniami. Podobnie w Wiedniu, kiedy wpadł pomiędzy „ortodoksalnych“ i „postępowych“, jakkolwiek doznał sympatycznego przyjęcia ¹⁾, uskarża się jednak gorzko na niesnaski i swary stronnice. „Dzięki mojej milczącej figurze, spokojnie wysłuchiwałem wszystkiego i jezuickim uśmiechem zdawałem się potakiwać... Mój Boże! czyż to nie wolno szukać prawdy... bez należenia do stronnictwa?.. Którą wybrać... kiedy obie ufnosci mojej nie posiadają?“. W owej milczącej figurze rozpoznamy z łatwością tę samą postać, której kilka miesięcy przedtem Kraszewski nie mógł u siebie, w Hubinie, rozruszać, tę samą, co w czasie podróży swych do Warszawy, lub w Poznańskie, usuwała się od owacyj w zacisze, a wielbicieli zrażała chłodem i przymusem... Któżby mógł rozpoznać w tej zimnej i sztywnej postaci człowieka o sercu złotem a miękkim, jak rzadko...: „nie chwałąc się mówię, iż nie słowy, ale czynem cieszę się i boleję radościami i klęskami ludzkości...“! Ktoby mógł odgadnąć, iż rzewna pieśń lirnika nie była sztuczną grą, lecz najistotniejszym wylewem duszy? Skądinąd jednak wiemy, jak dłoń poety skwapliwie wyciągała się do uścisku; wiemy, że cisza wiejska była jego losem, ale nie koniecznością jego natury, że „gdy nie pisał, w domu nie siedział“; wiemy, jak częstym był gościem u najbliższych swych sąsiadów w Zacierzewiu i Październicach, i jak często uboga chata rozbrzmiewała przyjacielskimi głosami. Gdy zaś nie było czem łaskawych na poetę przyjąć, szła na sprzedaż jaka ćwiartka zboża...

1) Było to w r. 1851, gdy już się ukazały „Przekłady“ i I-szy tom „Literatury“.

Lecz to było towarzystwo, w którym się mógł obracać zupełnie swobodnie, w którym nikt mu nie imponował niezwykłością poglądów, nikt nie nastawał na natychmiastowy „wybór“ tej, czy innej, ortodoksalnej, lub postępowej prawdy. A przy wrodzonej sobie życzliwości dla ludzi, w poczuciu swego braterstwa z bracią kapotową, — przypominamy tu, cośmy powiedzieli na wstępie o pochodzeniu Kondratowicza — nie tylko nie uchylał się od niej, owszem, całym sercem ją witał u progu swego domu. Opowiadają, że właśnie braciom kapotowym zawdzięcza poeta ocalenie swego „Dęboroga“. Gdy w jakimś zniechęceniu rzucił rękopis do kominka, jeden z obecnych, Symonowicz, wydobył go szybko z ognia, a reszta gości zniewoliła autora, by utwór swój zachował. Takich oto ludzi znał, takich kochał, wśród nich chętnie wyobraźnią swą przebywał, ich zwyczaje i obyczaje z miłością odtwarzał, ich niezłomne myśli i uczucia, przesady i uprzedzenia, w dzieła swe wcielał. Wyższy nad nich umysłem, a sercem blizki, umie spojrzeć na ich skromne życie z dwójakiego stanowiska. Uśmiecha się odrobinę pobłaźliwie i od niechcienia, a mimo to przez uśmiech nieraz prześwieca łza.

I oto dla czego, zdaniem naszym, w utworach tego kroju, co gawędy, szczęśliwie się kojarzyły dwa zasadnicze pierwiastki organizacji duchowej Syrokomli. Wyobraźnia obracała się swobodnie w kole przedmiotów, z którymi była spoufalcona, a kierunek twórczości znajdował, jakby moralną sankcję w etnograficzno-romantycznych dążnościach ówczesnej literatury.

Stosunek poety do ludu właściwego, siermiężnego, nie jest już tak duchowo blizki, jak względem braci w kapocie, pokrewny jednak bądź co bądź. I w jednym, i w drugim wypadku wchodziły w grę, oprócz wymienionych już czynników, silnie rozwinięte w Syrokomli poczucie sprawiedliwości i miłości względem upośledzonych, lub krzywdzonych. Co tu było własnością samego poety, o ile był zależnym od pewnych prądów umysłowych ówczesnej atmosfery duchowej?

VI.

STANOWISKO SYROKOMLI WOBEC WSPÓŁCZESNYCH
MU KIERUNKÓW UMYSŁOWYCH. — LUD W POEZYZI
KONDRATOWICZA.

Przypominamy sobie, jak Syrokomla gorzko się uskarża na to, iż musi wybierać między prawdą jednego a drugiego stronnictwa. Jakież to prawdy? „Jedni z krzyżem w ręku do piekła odsyłają wszelki racjonalizm, wszelkie szperanie wiedzy nazywają głośno i uroczyście czynami szatańskiej pychy; drudzy z wyrazami postępu i braterstwa na ustach, plwają na wiarę, na tradycję ojców, na wszystko drogie i święte... ich miłość ludzkości z pogardą traktuje, i przeszłość, i narodowość. Ci wołają pobożnie: kościół, powaga, tradycja, pokora! Owi: Ewangelia! braterstwo! rozum! duch wieku! Chrystus na wszystkich ustach, ale Chrystusowej miłości ku ludziom, jak mi Bóg miły, nie postrzegłem“. W krytyce tego stanu rzeczy, Syrokomla, zgodnie ze swem usposobieniem, łaknącem arka-dyjskiej atmosfery, natychmiast przechodzi na pole osobistych stosunków. Ludzie ci nie mają w sercu miłości Chrystusowej, gdyż „wzajemnie się obmawiają i czernią“. „Ch r y s t u s na wszystkich ustach...“. Chwila, kiedy te słowa się pisały ¹⁾, była epoką dyktatury „Tygodnika Petersburskiego“ i Henryka Rzewuskiego z jednej strony, z drugiej — zaciętej opozycji młodych postępowców, którzy za organ swój obrali *G w i a z d ę* kijowską. W imię religii „Tygodnik“ potępiał samą zasadę postępu i dążeń do ulepszeń w stosunkach społecznych, a ortodoksalność swą posuwał do tego stopnia, iż, zdaniem jego, „pierwszy warunek lekarza n i e t y l e nauki anatomiczne, patologiczne, kliniczne, ile pobożność“. Gwiazdziści natomiast, biorąc w obronę potępioną ideę, jako zasadę nadewszystko chrześcijańską, zarzucali drwiąco Rzewuskiemu, iż zapewne bardzo kocha włóścian, swych poddanych, gdyż nigdy o nich nie wspomina, wiadomo zaś, że, „co się kocha szczerze, o tem najmniej się mówi... Dla kochanka przedmiot jego miłości, jest rzeczą świętą, nietykalną“. Lecz o rzeczach, które nie są świętością, o rzeczach sobie obojętnych i obcych,

1) Styczeń, 1851 r.

człowiek rad rozprawiać, jak hr. Rzewuski o dziełach filozofów niemieckich! Pomijając osobiste wycieczki, widzimy, jak u postępowców ówczesnych zagadnienia metafizyczne kojarzyły się ze sprawami społecznymi, najspecially z myślą o położeniu włościan „Ci, co mówią wam, że chrystyanizm umarł — kłamią! i ci, co mówią, że chrystyanizm żyje — kłamią także! Chrystus usypia dotąd w duchu naszym, ale rychło snąć się obudzi“ — pisał Albert Gryf (Antoni Marcinkowski), główny „Gwiazdy“ filar. Obudzi się Chrystus w nas, kiedy zasady nauki jego wejdą w krew i życie społeczeństwa, kiedy w stosunkach współżycia gromadzkiego ujawnią się nakazy sprawiedliwości i miłości. Były to takie same myśli, w duchu Hegla poczęte (o ideach, urzeczywistniających w pochodzie dziejowym ludzkości), a do wierzeń chrześcijańskich przystosowane, jak gdzieindziej poglądy, w systemacie Cieszkowskiego złożone, lub przeobrażające się w „Psalmy“ Krasieńskiego, w doktryny Towiańczyków. „Duch ludzki powoli, stopniowo, w miarę kształcenia się swego, rozważa, przyjmuje i wciela w siebie każdy rys chrystyanizmu, a z tego względu historia cywilizacji właściwie znać się może historią wcielenia idei chrystyanizmu w istotność ludzką“¹⁾. „Cała treść dziejów już była w nauce Chrystusa... Życie to, jak organiczna siła, rozwija się z własnych principów... Takim jest chrystyanizm, pojęty jako idea żywotna, treściwa, wieczna, jako życie ludzkie, dążące do osiągnięcia wyższych celów, jako postęp do moralności chrześcijańskiej...“²⁾. Jak widzimy, słusznie utrzymywał Syrokomla, iż „Chrystus był na ustach wszystkich, i tych, co zalecali pobożność, jako wyższy kurs medycyny, i na ustach tych, co marzyli o postępie, o udoskonaleniu stosunków społecznych i tych, co chcieli wiary żywej, nie martwej, nie usprawiedliwiającej ciemne strony życia. Zapewne, ciekawą byłoby rzeczą spojrzeć, jak się to w owe czasy schodziło z tych filozoficznych szczytów, jak w najbliższem otoczeniu Syrokomli w Wilnie, czy gdzieindziej górne idee przystosowywały się do realnych zagadnień chwili bieżącej. Wyraziściejby się nam przedstawiły wówczas odruchy Syrokomli („zimno i nielitościwie profanują to, co jak eucharystya w *sanctum sanctorum* duszy z cześcią pielęgnować się powinno“), odruchy, wywołane prawdopodobnie nietylko tą okolicznością, iż „wzajemnie się obmawiają, czernią“. Musimy wszelako zadowolić się urywkowymi wiadomościami. Nie było mowy o tem, iżby Syrokomla mógł

1) „Gwiazda“, r. 1848, str. 193.

2) *Ibid.*, str. 195.

przyłgnąć do reakcyjnej bigoteryi „Tygodnika“. Nie zgadzało-
by się to z usposobieniem poety, od wszelkich zaciekań się dalekim.
Z rozrzewnieniem wspomina księży Dominikanów, iż pod ich opieką
„...człowiek na wszystko poglądał z pobożną, i wiedział na pamięć,
gdzie prawda i wiara... i pewny swej prawdy, nie troszczył
się wiele, w sobotę jadł z postem, a święcił niedzielę“. Ten post w sobotę, ale zarazem i „święcenie niedzieli“, pobożność
i wiara, nie krępująca swobody, nie ciężąca nad ruchami — były nie-
jako kardynalną zasadą i późniejszej religijności Kondratowicza.
Zwracano niejednokrotnie uwagę na brak mistycyzmu w utworach
poety, na okoliczność, iż on wyłącznie z estetycznej strony traktuje
obrazy uroczystych chwil kościelnych. Był to także jeden z pier-
wiastków ukochania wszystkiego, co swojskością tętnęło. W wyo-
brażeniu jego miłość dla wiary ojców nie miała stawać się kajdanami
dla ducha. „Z krzyżem w rękę, woła oburzony, do piekieł odsyłają
wszelki racjonalizm, wszelkie szperania wiedzy nazywają głośno
i uroczyście czynami szatańskiej pychy“. A potrącając o „nowinki“
w XVI wieku i o „piorun kłątwy“ na ustach dostojników kościel-
nych, woła: „nad kłątwą jest Pan Bóg, co patrzy zdaleka“:

O prymasie Dzierzgowskim patrz na twą oweczarnię,
Patrzaj na tych żniwiarzy, kosarzy, oraczy,
I z gnieźnieńskiej stolicy pobłogosław raczej,
Niech miecz kłątew pasterskich jeszcze w pochwie drzemie,
Gdy Pan Bóg swojej kłątwy nie spuścił na ziemię.

Ale skądinąd pojęcie chrześcijaństwa, jako idei rozwijającej się,
ureczywistniającej się dopiero w czasie, nie zamkniętej w skończony
system prawd nieruchomych, i pojęcie to zawierało w sobie pewne
rysy, niezupełnie przystające do wyobrażeń, które zrosły się z umy-
słem i sercem Syrokomli. „Naprzeciw temu pojęciu (chrześcijaństwa
dynamicznego) występuje pojęcie chrystyanizmu, jako nauki określo-
nej, spełniającej się niejako na zewnątrz życia ludzkości“ — pisała
„Gwiazda“. Dla Syrokomli właśnie religia była „nauką określoną“.
Idee czynnego chrześcijaństwa prowadziły nieraz do rozróżnień mię-
dzy wiarą a „hierarchią“. Nie wdawał się w to nasz poeta, strzegł się
— wobec siebie i swych słuchaczy — nawet pozorów nieprawomyśl-
ności. Kreśląc z widoczną sympatyą artystyczną postać Orzecho-
wskiego, wkłada mu w usta te słowa:

Bóg rzucił w piersi moje gorejącą głownię,
Gdy czytam, to namiętnie, modłę się—gwałtownie...

Zastrzega się jednak, by za napaści Orzechowskiego na Kościół,
pobożny czytelnik,

Nie rzucał kamieniami na głowę poety,
Co przytacza wyrazy, lecz ich sam nie chwali.
Nie mierzmy nowych czasów wedle starej skali...

.

Warto zaznaczyć, iż wskutek nalegań swych wileńskich przyjaciół, autor zaniechał śliskiego pod względem prawomyślności tematu, i w ten sposób „Kanonik przemyski“ pozostał fragmentem; a nie mamy powodu żałować, iż tak się stało.

Wróćmy atoli do rzeczy. Otóż w poglądach lewicy ówczesnej zbyt może jaskrawo uwydatniła się niechęć względem różnych „przydatków“ i „nierozumu barbarzyńskich czasów“, iżby to nie miało stać się dla poety niepokojącym pierwiastkiem: Później wprowadzie Kondratowicz uskarżać się będzie na stan „wyrozumowanej niewiary“. Czy jednak mówiąc to, miał na myśli właśnie wyobrażenia swoje religijne? To pytanie wcale nierozstrzygnięte. Bądź co bądź, dla umysłu tak usposobionego, co i kłatw słyszeć nie chciał, i nie mógł znieść spokojnie, że „plwają na wiarę, na tradycję ojców“, dla umysłu takiego każde odchylenie się na prawo, czy na lewo, każde zachwianie równowagi, ustalonej przez wiarę pogodną i prostą, było już udrczeniem i wywoływało odruch namiętny:

Lecz nie wiesz, mały, rój mędrców liczny
Poważnie burzy, w co wierzyć trzeba,
I pragnie z gruzów starego nieba
Zmurować wszechświat filozoficzny.

Jak dostrzegliśmy już, w religijno-metafizycznych sporach ówczesnych stronnictw, tkwił dość wyraźny podkład społeczny. Poza hierarchią kościelną, o którą niby wyłącznie chodziło, dla oka wal-

czących widne było ustosunkowanie pewnych żywiołów i sił życia gromadzkiego. I w tym względzie stanowisko poety było środkowe, jakkolwiek widocznie przechylał się ku lewej stronie. „Ciebie pokochałem w r. 1846 za twój pobieżny artykuł w „Roczniku Literackim“, a potem, za szlachetne, energiczne i pełne taktu wystąpienie w „Gwieździe“ — pisał Marciukowskiemu. Nie mógł on żadną miarą uwierzyć w przyrodzone przewodnictwo uprzywilejowanych rodów, on, który się czuł synem jednej ze spodnich warstw narodu, co w nim właśnie jakby doszła do samopoczucia i do samowiedzy, do uznania samoistności swej. I nie mógł uwierzyć w podstawową harmonię stosunków ludzkich, on, który wszystkich ludzi chciał widzieć braćmi, a najwyższe świadectwo braterstwa tego widział w ofercie, na Kalwaryi spełnionej:

Szedłeś nawiedzić Twoją czeladkę,
Ziemią dziewicę wzięłeś za matkę,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że Bóg ukochał nędzarzów ziemi.

.
.

Leczyłeś chorych w solimskim mieście,
Wskrzesałeś syna smutnej niewieście,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że Bóg ukochał nędzarzów ziemi.
Lecz hardzi mędrcy w swej synagodze
Twojej nauki zlekli się srodze
I zawrzeszczeli: Zgrozał ohyda!
Sieje zgorszenie ów syn Dawida.
*On chce porównać gmin i bogaczy,
Porównać mędrców i lud prostaczy.
Biada nam możliwym! 1)*

Nie mniej silne są odpowiednie ustępy w „Dęborogu“, w których znowu prześwieca ta myśl, iż jeśli człowiek „spojon żywo z niebem i ziemią w jedno ogniwo“, to właśnie dla tego, iżby tu, na ziemi, człowiek dla człowieka był bratem. Ks. defnitor tłumaczy, jak to:

1) „Do Boga“, w r. 1848.

Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
 By nas uzacnił, podniósł ku sobie,
 A u nas szlachcie — jasne wielmoże,
 Rad, że mu herby dała ojczyzna...
 Bóg został człkiem, a on nie może,
 Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;
 Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
 Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
 Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
 Za jeden puchar starego wina
 Głodna i chłodna chłopska rodzina
 Na rokby miała chleba i soli,
 Za jedno słówko, w najmniejszej rzeczy
 Pany się waśnią, idą na noże;
 Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,
 Bo nie dla niego honor człowieczy!

Taki był u c z u c i o w y stosunek Syrokomli do pewnych objawów życia współczesnego. Jakie stąd wyciągał konsekwencye i jak daleko one sięgały? Jak się w jego rozumieniu układał całokształt wysiłków świadomych, skierowanych do usunięcia tego, co odczuwał, jako krzywdę? Możemy uważać za pewne, że samotnicza myśl poety nie wiele znalazła punktów wytycznych, którychby stale trzymać się mogła. Pierwotnie wpada on na dość niewinne rojenia o arkadyjskim stanie, w którymby wszelkie przeciwieństwa towarzyskie usunąć się dały. Gdyby był mocarzem, wydawałby siedem razy na tydzień „tańczącą herbatę dla całej ludzkości“.

Patrzę, jak siedzą przy mej herbacie
 I pan, i rolnik za panie bracie.
 Patrzę, jak bratnim zwarci przymierzem,
 Chiński mandaryn z Żydem kuśnierzem.

Przemienił tony smyczek artysty
 I zagrzmiał mazur

Patrzajcie, jaka para dobrana!
 Młoda żuwiarka i syn sultana...

Raźny parobczak odrzuca szyję,
I obok księżnej holubca bije...

.

Pisało się to w r. 1846. I wszystko dobrze, i wszyscy są na swoich miejscach, tylko gdy przyjdzie wieczór, płasają w parze „młoda żniwiarka i syn sultana“. A w kilka lat potem, już w Wilnie, parafrazując wciąż jeszcze mitycznego Bakę, głósi:

Choćby Zoil wlaź na wieżę,
Ducha wieku nie on strzeże:
Nie krytyka
Świat pomyka,
Lecz wielkiego dłoń Sternika

.

A majtków tłuszcza
W żadnej godzinie,
Nie wie, gdzie plynie.
Człek, Zoilu, Boże chłopię,
Jutra pługiem nie wykopie:
Świata budowy
Nie z naszej głowy

.

My w dziele Bożem
Mało pomożem...

Nie mówmy o świata budowie. Przed Syrokomłą, jak przed każdym umysłem w tej dobie, stawało realne zagadnienie: sprawa włościańska. Rozstrzygał ją po swojemu: uczuciem. Ks. definitor nakaże synowi Dęboroga pracować pospołu z czeladzią, by się przekonał w ten sposób, że „równi sobie wszyscy ludzie, czy kto ma herb, czy niema — braciaśmy poprostu“.

A szlachcic, co ma *dzierżać lud Boży pod władzą,*
Gdy sam pozna w rolnictwie i róże, i osty,
Nie będzie się tak lekko porywał do chłosty;
A gdy razem z czeladzią swą sochę zaprzęże,
Równiejsze będą skiby...

Ze słów takich wnosićby należało, że stosunki wzajemne złożyłyby się nie najgorzej, gdyby pan pamiętał, iż ma pod władzą swą ludzi, nie bydłeta, gdyby lekko do chłosty się nie porywał, i gdyby miał pieczę o potrzebach materyalnych i duchowych czeladzi swojej. Podobnie w „Lalce“ dziewczynka obiecuje sobie:

Już ja kiedy wyrosnę i mieć będę zboże,
Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
Nigdy się spać nie położę.

Spotykamy też znany już nam argument: „w obrazku Pan Jezus się dowie, co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie“. Podobnie w epilogu „Dęboryga“ autor z goryczą dodaje, że oto od czasu opowiedzianych przez Jana Dęboryga zdarzeń, już się wszystko na Litwie zmieniło:

Szlachta na całej Litwie jest bracią swej włości,
Ochrania ją od głodu, od zimna srogości.

Wśród nauk ks. definitora jest jeszcze jedna, której pominąć niepodobna:

. . . na zgubę rolnictwa — szlachta od waszeci
Kładzie pieczęć niewoli na czoła swych kmięci,
. póty u nas będzie nędza i golizna,
Póki bliźni bliźniego za brata nie przyzna.

Jestto widocznie oddźwięk tych mniemań, iż wolność chłopów jest nie tylko wymaganiem sprawiedliwości i wyrazem konieczności dziejowej, lecz i warunkiem ekonomicznego postępu. Urywek powyższy był w druku opuszczony, może z uwagi na to, że zbyt jaskrawe zdania w sprawie włościańskiej nie nadawały się podówczas do ujawnienia publicznego.

Teoretycznie tedy przekonania poety w omawianym przedmiocie nie ustaliły się jeszcze we wcześniejszym okresie twórczości. I o wiele później, pisząc „Wiejskich polityków“ (w r. 1858), po „wy-

studjowaniu“, jak się wyraził w liście do Chęcińskiego, będących na dobie zagadnień, przestrzega przed zbyt pochopnym rozcinaniem wężła. W perspektywie widział zawsze swobodę ludu, ale przygotować ją trzeba było stopniowo. Widocznie uległ poeta oddziaływaniom swego otoczenia. W ostatniej jednak chwili uczucie przeważało, i wtedy z piersi swej wyrzucił te ogniste, nigdy nie zapomniane słowa, które jak policzek cisnął „ojcom“ swego kraju:

O, wstyd mi Wilna, nie chcę być Litwinem!
I hańba mojej herbowej pieczęci!

Bo uczucie u Syrokomli było najwyższym trybunałem. Przecięcie wężła gordyjskiego w kierunku zupełnego usamowolnienia włościan dogadzało wszystkim najwewnętrzniejszym potrzebom jego serca, a że potrzeby te nie były jeno frazesem, dowodzi fantastyczny, ze względu na zupełny brak gotówki, zamiar nabycia zaścianka Pawłokowszczyzny (bez poddanych). Miał z włóki gruntu uczynić fermę angielską. Uśmiechamy się na to, właśnie też poeta miał po temu kwalifikacye! Ale jednym z argumentów jego było: „gospodarzyłbym bez ucisku ludu Bożego“. Słowa te pochodzą z r. 1850, kiedy się może wykończył „Dęboróg“. Tak poezya i życie dla Syrokomli były jednością. Rozstrzygając wszelako uczuciem w demokratycznym duchu ważne zagadnienia bytu towarzyskiego, w myśli swojej nie wytworzył jednak idealnego układu pożądaných a głęboko sięgających przeobrażeń społecznych; wobec systematów skończonych, które się naraz przed nim ukazywały, zatrzymywał się często w niepewności. Wówczas to zapytywał: „Co jest białe? co czarno? co prosto? co krzywo?“.

Gdy ludzkość bolejąca zgodzić się nie może,
Co jest fałsz? a co prawda? co szpetne, co piękne?
Człek załamuje rece: o Boże mój, Boże!
Co mi trzeba podeptać, a przed czem uklęknę?
Bogdaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna...

Od jakich to „krzyków postępowych“ bolała go głowa? Mogły to być najśmielsze rojenia o całkowitej przebudowie tych gmachów, w których ludzkość zamieszkała, bo nie zapominajmy, że nie nazbyt oddaliliśmy się od przełomowego 1848 roku. Albo zwróćmy uwagę

na bliższe zjawiska. W r. 1846 ukazał się „Jordan“ Antoniego Sowy i głośnem odbił się echem w kole odpowiednio usposobionych głów. Punkt wyjścia Sowy był ten sam, co wielu innych umysłów tej doby. Przyszła epoka miała być wcieleniem dążności chrześcijańskiej w społeczne kształty. Oryginalność jednak poglądów Żeligowskiego polegała na szczególnem nagięciu romantycznej idealizacji ludu do zasad demokratycznych. Według Chmielowskiego, był to pierwotny zarys chłopomanii:

Kto myśl ludu wypiastruje,
Pośród domu, sioła, miasta.
Na wzór króla-chłopa Piasta,
Kto się duchem z ludem stopi,
Przejrzy dziejów w nim koleje,
Po królewsku kto się zehłopi,
I po chłopsku skrólewszczeje;
Zedrze z życia kir grobowy
I rozpocznie żywot nowy,
Życie swoje walką zrobi,
Swoich, bratnich ułomności,
Ten się tylko usposobi
Do kościoła wejść przyszłości.

Syrokomla znajdował się w osobistych stosunkach z autorem „Jordanu“. A gdy ten rozpoczął swą wędrówkę na północ, zatroscopył się nasz poeta o drukowanie ustępów z poematu Sowy: „On, ona, oni“, jakkolwiek tendencya utworu, przeciw instytucji bezżeństwa duchownych skierowana, nie mogła mu być sympatyczną. „Jordan“ poznał Syrokomla niewątpliwie natychmiast po ukazaniu się tego poematu, a wiersz: „O sercu, skąd biją arterye żywota“ (t. j. o gorzelnjach) był zapewne oddźwiękiem wyrzutu, uczynionego przez Żeligowskiego szlachcie, że lud rozpaja: „Bogom ambrozyę gotują w browarach, a smołę dyabłom pędzą z swego lasu“¹⁾). Jest rzeczą wielce prawdopodobną, że to właśnie „Jordan“ stał się dla Kondratowicza środkiem kryształających się z rozczynu, własnych poety przekonań i sympatyj. Tylko znowuż idea odrodzenia całości drogą roz-

¹⁾ Data „Jordanu“ — rok 1846, jest również datą wiersza Syrokomli.

woju pierwiastków, drzemiących w duchu ludu („kto myśl ludu wypiastruje... kto się duchem z ludem stopi...“), nie weszła nigdy w przekonanie Syrokomli; była dlań i zbyt nieokreśloną, i zbyt skrajną. On te rzeczy brał po prostu. Jego Korsak zrzuca z siebie skórę szlachecką, a pracą i sercem dorabia się tego, iż chłop za syna go swego uznaje — ale to była pokuta za podeptanie nakazów sprawiedliwości, to było stwierdzenie naczelnej zasady — braterstwo ludzi. O jakimś historyozoficznym symbolu niema mowy. Nie w innej też myśli każe ksiądz defnitor synowi urodzonego Dęboroga zabawić się sierpem i kosą, lub „w zakrystyi wyręczać kulawego dziada“. Od zasady braterstwa i wspólnej pracy, od uszanowania godności człowieka w bliżnim, jest pewna odległość do wymaganego przez Jordana „królewskiego“ chłopienia się i wznoszenia w ten sposób Kościoła przyszłości. Wiarą poety było — jeżeli można mówić wogóle o jakimś wyrozumowanym systemacie — wiarą jego było raczej podniesienie ludu przez oświatę i wolność na wyższy stopień uspołecznienia.

Oceniając stanowisko poety względem prądu postępowego, uznać musimy, że w dążeniach swych demokratycznych osamótnionym nie był. Przebiegające atmosferę ówczesną powiewy, docierały do samotni jego, pozostawiając ślady na wrażliwym sercu poety, i nadając pewien kierunek jego myślom. Wpływy owe nie były systematyczne i krzyżowały się z oddziaływaniami, które od najwcześniejszych chwil świadomego życia układały się w system niespójnych wyobrażeń, upodobań, nałogów pojęciowych i uczuciowych. To też żadna teoria nie zyskała w Syrokomli szermierza tej, lub owej bezwzględnej prawdy, lecz raczej służyła za podniecie, wyzwalającą drzemiące w jego duszy odruchy na niedolę i krzywdę ludzką, a jak to staraliśmy się uprawdopodobnić, już pierwsze dziecinne wrażenia zarodków tych nietylko nie tłumiły, owszem, utworzyły żywiące i wzmacniające je podłoże. I to właśnie samoistne poczucie sprawiedliwości, ta samoistna miłość dla ludzi, znalazły swój wyraz w poezyi Syrokomli; one właśnie łagodnym opromieniały światłem i powszednie sceny z życia ciężby szaraczkowej i siermiężnej, i wyjątkowe jakie zdarzenia, lub wzruszenia duszy. Widok krzywdy wywołał natychmiastowy namiętny wybuch, lecz ten niebawem roztapiał się w żalu. Zasadniczym motywem jest nietyle społeczna niesprawiedliwość, ile to iście chrześcijańskie upominanie się o podeptaną godność ludzką czy w chłopie, czy w zagonowcu: było to raczej odwoływanie się do prywatnych niejako uczuć tych, co mogli „dzierżyć lud boży pod władzą“, a obowiązanych do wyrozumiałości i opieki, niżeli uobywatelnienie w poezyi pewnej siły społecznej:

Ja kochanek spokoju, trwożę się i bledną,
 Kiedy burza zawyje, kiedy grzmot zatrząska,
 Rozedrą się w źrenicach moje oczy biedne,
 Gdy w chmurze błyskawiczna zamży się przepaska!
 Mnież się modlić o grzmoty?

Tak skarżył się skowronek 1 kwietnia 1854 r. w Załuczu. Prawda, iż zakończył rezygnacją:

O, jeżeli wam zimę zakończyć sądzono,
 Pośpieszcie czarne chmury i ogniste burze!

„Słów jego świętych“ — wracamy znów do księdza definitora — nie zaćmi

Zadna nienawiść lub dzikość sroga;
 W oczach — *do braci prośba za braćmi*,
 Albo za ludźmi prośba do Boga.
 Ani przeklina, ani się dąsa,
 Lecz z płaczem przeszłość stawi przed oczy.

A ze zwykłym sobie optymizmem, poeta dodaje:

Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
 Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.

Nadmieniliśmy już, że ze względu na stosunek swój do „braci w kapocie“, poezya Syrokomli jest niby samowiedzą owej warstwy, jest głośnem upomnieniem się zagonowca o swe prawa jednostki ludzkiej. Lecz gdy mamy na uwadze lud siemiężny — powtórzymy to raz jeszcze — poezya Syrokomli nie jest uobywatelnieniem pewnej siły społecznej, ujawnieniem się jej dążeń, potrzeb, wymagań. To po prostu wstawiennictwo za maluczkimi do możnych. Stąd pewien patryarchalny koloryt tej poezyi. Każdem niemal dziełem chciałby poeta przekonać słuchaczy, że chłop zdolny jest do ludzkich uczuć, że tak samo, jak szlachcic, kocha, nienawidzi, tęskni, doznaje radości

lub bólu, a nadewszystko, iż zdolny jest do uczuć nieosobistych, a wdzięcznością płaci za dobroć, za uznanie w nim człowieka. Chodyka całe życie pokutuje za chwilę wściekłości i uniesienia. Nie jest zbójem. Ułas poświęca się w obcej sobie sprawie. Wiejska gromada składa pieniądze, by ocalić majątek od licytacji i zachować sobie nadal swego pana („Politycy wiejscy“). Janko Cmentarnik trzydzieści lat pielęgnuje swego pana-przyjaciela, a w rodzinnej wiosce tylko z rówieśnikami na mogiłach rozmawia, bo któż inny jego tęsknotę zrozumie? Kto żyć może myślą w tej krainie, którą pan jego i dowódca przed nim otworzył, i w której wspólnie przez długie lata przebywali?

Czy roztapiając się wraz z Jankiem Cmentarnikiem w tęsknocie, lub śledząc koleje Ułasa, miał poeta wyraźny zamiar nauczania swych słuchaczy? Chyba, że nie. Wyobraźnia jego tylko znajdowała dla siebie, jakby zadośćuczynienie, obracając się w kole podobnych przedmiotów, serce zaś w sposób zupełnie naturalny widziało w człowieku człowieka.

Widziałem prace ludu, pasterskie i rolne,
 Dzieliłem jego trudy i prace mozolne,
 Zabiegłem w jego serce *przeznac duch człowieczy...*

mówi o sobie pod maską autora „Flisa“ („Zgon Acerna“). Żywe, od wszelkich teorii niezależne, wszechobecne uczucie braterstwa, jest najistotniejszą, zasadniczą treścią natchnień Syrokomli, jest ich wiecznie bijącym, ożywczym źródłem. I to było indywidualną, we własnym duchu wypracowaną zdobyczą i własnością poety, i jest wyznowym punktem, do którego wzniosła się jego poezja. To wreszcie określa stanowisko historyczne pieśni Kondratowicza w rozwoju poezji polskiej i w dziejach umysłowości społeczeństwa naszego.

Przedmiotowo znajomość życia duchowego gromady wioskowej, nie stała na równi z sympatjami, któremi pieśń poety oddychała. Można to uznać bez ogródki, że Syrokomla bliższy był duchowo zagonowcowi, niż chłopu. Z tamtym umie pogwarzyć jego językiem, umie odczuć butne poczucie niezależności („Trędzłowe“), umie nawet podzielić z nim jego przesady, jego wstręt do wszelkich „niemieckich“ wymysłów i obawę zdrady względem ziemi karmicielki (Gawędy o „Garści pszennej“, o „Zabłockim i mydle“). Życie chłopskie jest natomiast u niego zawsze zabarwione pewną fałszywą, sentymentalną idealizacją. Sposób myślenia i czucia, tryb wyrażania się

razi dzisiejsze ucho swą sztucznością, nieświadomem może usiłowa-
niem upiększenia, złagodzenia szorstkich, a niesympatycznych zwy-
kle form dlatego, że nie potrafimy myślą i uczuciem przenieść się na sta-
nowisko, odmienne naszemu. Dość wspomnieć tu „Wielki Czwartek“
(z r. 1856), w którym występują nie rzeczywiści wieśniacy i nie real-
ni nawet ludzie, lecz jakieś mary bezcielesne, w romantyczno-sielan-
kowym obracające się świecie i romantyczno-sielankowym ulegające
prawom. Młody grajek, zastawszy swą dziewczynę w wesołym gro-
nie, zauważył, iż mu wiary nie dochowała, więc ucieka gdzieś za la-
sy i bory, i tam w szaleństwie życia dokonywa. Lekkomyslna dziewczy-
na tak się spowiada ze swych grzechów przed drugim zabójcą Szy-
mona, przed tym, który zrozpaczonemu kieliszek podsunął:

Młody parobczak, syn strzelca z pod gaju,
Chłopiec wesoły, piśmienny, bogaty,
Często a gęsto miewał we zwyczaj
Do mego dziadka zachodzić do chaty.

*O niczem mówić nie lubił poważnie,
Ale z nim śmiać się tak było wesoło...*

Dość usłyszeć tę skargę wiejskiej dziewczyny: „o niczem mówić
nie lubił poważnie“, by już z nieufnością wysłuchiwać dalszych jej
zwierzeń. Syrokomla nie kochał Szymona takim, jakim był, lecz ja-
kim go sobie wymarzył, do sztucznej podnosząc go wysokości. Zna-
mienny jest pod tym względem wcześniejszy wiersz: „Pogrzeb rol-
nika“¹⁾.

Jak szczerze jest zdumiony i zmartwiony poeta, że w uczuciach
cisnącej się za trumną gromady, zbyt mało jest bezinteresownej ża-
łości:

A jednak ja przechodzień, co patrzę zdaleka,
Czuję, jak się krew moja pod sercem zapieka,
Jak mię pot zimny opływa:
To nie po tobie płaczą — o! im tylko szkoda,
Że zakrzepla na zawsze twoja ręka młoda
Do sianokosu i żniwa.

¹⁾ Z roku 1851.

Jakże inaczej wyglądać będzie pogrzeb u Konopnickiej („W dolinie Skawy“)! Jak odmiennie przedstawia się ten sam temat u jednego ze współczesnych poetów:

Była ona młodziuteńka, Była ona śliczniuteńka
I rzuciła nas,
Była ona robotnica, Była ona pomocnica,
Odeszła nie w czas.

*

*

*

Była ona czyste złoto, Pomagała nam z ochotą,
Teraz oto idą zniwa, Wstańże matko nieszczęśliwa,
Wydobądź twój sierp,
Stare kości chyl, nieboże, Młoda córka nie pomoże,
Bóg tak chciał: więc cierp.

**

*

*

W naszym sadzie był kwiatek,
A nie rozkwitł — oj!
Zazdrościła każda z matek
Krażył chłopców rój —
A my płótno przędli, tkali, Na wyprawę gotowali
I czekali, aż do chaty, Jasny miesiąc przyjdzie w swaty
Jasny miesiąc sam . . . 1)

Sztuczny koloryt obrazów wiejskich Syrokomli, był zauważony i przez współczesnych. Karcono go ostro za „fałszowanie barwy“, w tej rzekomo myśli uskuteczniiane, że „grzechu siedlisko jest li tylko w żywocie innych stanów“ 2). Podkreślano skwapliwie uwagi w rodzaju marzeń chłopskich

O lepszym świecie, gdzie kmiotkowie sami,
Gdzie ani *dworu*, ni gospody niema.

1) W. Raczyński.

2) Siemieński: „Kilka rysów...“.

Jego „do braci prośbę za braćmi“ wytykano, jako „pochlebianie“ ludowi, jako „stwarzanie“ demokratycznej literatury, „aby nią smagać klasy historyczne“, pomawiano poetę o dyletantyzm, o obserwowanie świata wioskowego z okien pańskiego dworu. To tylko uszło jakoś uwagi, iż poeta, jakkolwiek osobiście stykał się z owym światem, i właśnie na gruncie, na którym sprzeczność interesów mogła prowadzić łatwo do nieporozumień, umiał jednak zachować swój sielankowy sposób patrzenia, i marzeniem jego na zawsze zostać miało:

Niechby serdeczna ciżba wieśniacza
Była mi rada, gdy ją odwiedzę...

I uszło też uwagi to jasnowiedzenie serca, że

Trzeba zasłużyć, nim ufność się zyska,
Współzucie bywa współzucia zapłatą...

Więc

. chłopska gromada
Sercem ze szlachtą dzieli się nierada,
Wie, żeśmy o nich nie wiele ciekawi.

Z sympatii dla chłopskiej gromady, wskutek ulegania ogólnemu prądowi romantycznemu, z upodobania wreszcie do wszystkiego, co swojskie, pochodzi jeszcze jeden pierwiastek w twórczości Syrokomli — pieśń ludowa (litewska i białoruska). Wpływ motywów ludowych nie sięga zresztą głębiej, ogranicza się do parafrazy kilkunastu piosenek, parafrazy niekiedy bardzo bliskiej, jak to wykazał p. Zdziarski w badaniach o „Pierwiastku ludowym“. Dla przykładu wspomnimy o najbardziej może znanym „Kruku“. Nie zawsze oko poety rozróżnić umiało, co jest bezpośrednim wylewem duszy chłopskiej, a co tylko przystosowaniem się do gustu pańskiego:

Bór nasz wysoki nad wszystkie bory,
Dwór nasz bogaty nad wszystkie dwory
Na naszym panu strój złotolity,
Na pani perły i aksamity...

1) Pieśń żniwiarska.

Znamienną to jest rzeczą, że gdy lirnik nasz nastrajał swą lirę na nutę piosnki, zasłyszanej z ust ciżby wiejskiej, i wtedy mu świeci „w oczach do braci prośba za braćmi“. W imionniku St. Moniuszki zapisuje w d. 18 grudnia 1849 r. te słowa:

Cześć tobie, pieśniarzu! harmonie śpiewacze
 Rozniosą braterstwo — jak cudem.
O, kto raz przy piosnce ludowej zapłaczę,
Przestanie się pastwić nad ludem!
 Litwini ulegną pieśniowej potędze,
 Zbliżą się z rodziną szczerotą,
I Litwin we złocie, i Litwin w siermiędze,
W braterskich uściskach się splecą!

Błogosławieni, którzy wierzą!

A. DROGOSZEWSKI.

PRZEMYSŁ DOMOWY U WŁOŚCIAN.

W 1900-ym roku redakcyja ludowej „Gazety świątecznej“ urządziła pomiędzy czytelnikami swymi wywiad, dotyczący wyżywienia włościan, aby się przekonać, w jakim stopniu jest ono wystarczającym. Z pośród zagród włościańskich wtedy zbadanych, zwróciła na siebie jego uwagę osada we wsi Parzno, gminy Kluki, powiatu Piotrkowskiego, składająca się z 13-tu morgów gruntu ornego i 3-ch morgów łąki, z prawem pasania bydła i zbierania opału na 1,800 morgach dworskich gruntów i lasów. Utrzymuje się na niej rodzina, złożona z 9½ osób (licząc dziecko za ½ osoby). Dorośli chodzą na robotę do dworu, i tłuką szaber na szosie. Całe bez wyjątku mleko od pięciu krów dojnych w tej osadzie, przerabia się na masło, które sprzedaje się do miasta. Niezmiernie niskie normy dziennego pożywienia mieszkańca tej osady są następujące:

zboża w ziarnie	gramów	91
kartofli	„	1,965
grochu	„	4
mleka (samej maślanki)		85

Pożywienie to, po rozłożeniu na części składowe, wykazuje:

białka 50, tłuszczu 6, węglowodanów 472 gramów, gdy tymczasem do tego, aby pożywienie było dostatecznym potrzeba:

białka 100, tłuszczu 50, węglowodanów 400 gramów. Okazuje się zatem, że ludzie ci żyją głównie, jeżeli nie wyłącznie, kartoflami.

Włościan takich jest w kraju mnóstwo, niezawodnie większość. Brak najpotrzebniejszych części w ich pożywieniu szkodliwie wpływa na budowę ich i siły, wskutek czego procent niezdolnych do woj-ska jest w Królestwie Polskiem niezwykle wielki. Będąc przez li-che pożywienie zwątleni, podejmują się oni bardzo niechętnie robót

akordowych, w których korzyść osiąga się jedynie dzięki natężeniu w robocie. W ogólności w polu pracują oni nietęgo, gdy tymczasem ciż sami ludzie, w Ameryce Północnej, przy dobrem pożywieniu, uważani są za najlepszych robotników.

Tenże sam wywiad wykazał u jednego z włościan wsi Żarnowica, gminy Bogusławice, tegoż samego powiatu Piotrkowskiego, przy 10-ciu członkach rodziny, 20 morgach gruntu ornego i 3-ch morgach łąki, bez służebności, przewyborne pożywienie, składające się:

Z białka 159, tłuszczu 54, węglowodanów 845 gramów, przy jedynem zajęciu rolnictwem. Nawet przy mniejszej przestrzeni gruntu, osada we wsi Lesiniec, gminy Grabica, również powiatu Piotrkowskiego, mająca 15 morgów gruntu bez łąki, lecz z jedną morgą lasu, otrzymaną w zamian za służebność, posiadająca 2 krowy, dostarcza rodzinie włościańskiej, złożonej z 9-iu osób, pożywienie zupełnie wystarczające, a mianowicie: białka 128, tłuszczu 47, węglowodanów 752 gramów, na co wychodzi dziennie 441 gram. ziarna, 13 grochu, 57 mięsa, 847 mleka i kartofli 1915 gramów. Lecz właściciel tej osady, oprócz gospodarstwa rolnego, zajmuje się jeszcze stolarstwem i mularstwem. Zestawienie trzech tych gospodarstw, przytoczonych w pracy Konrada Prószyńskiego: „Jak się żywimy“ (Warszawa, 1901 roku) bardzo jest nauczającym. Wnioski, nieściągające się wprost do przemysłu domowego, zamieszczamy w odsyłaczu.¹⁾

Co się zaś tyczy przedmiotu, jakim się tu zajmujemy, zwrócić musimy uwagę na to, że właściciel osady w Lesieńcu, zarabia oprócz gospodarstwa jeszcze stolarstwem i mularstwem, gdy tymczasem klucki włościanin siedzi przez zimę z całą rodziną z założonemi rę-

¹⁾ Obie osady których mieszkańcy żywią się dostatnio: Żarnowicka i Lesiniecka wolne są od szachownicy i niekorzystają ze służebności, gdy tymczasem wieś Parzno ma grunt bardzo porozrzucany, z gospodarstwem zaś swoim przystosowuje się do użytkowania ze służebności, skutkiem czego w lecie krowy pozostawiają nawóz na cudzem pastwisku, w zimie zaś dla wyprodukowania nawozu nie mają wystarczającej paszy. W rozpatrywanej przez nas kluckiej osadzie na pożywienie włościanina idzie z nabiału tylko maślanka, dlatego, że od 5-ciu krów otrzymuje się w lecie najwyżej 5, w zimie 2½ litry mleka na dobę, i tę jeszcze niestęchanie skąpą ilość, włościanin musi dla chleba powszedniego sprzedawać przerobioną na masło do miasta. Całe urządzenie tej osady nie może iść w porównanie z osadą Lesiniecką, mającą grunta zwarte i nieposiadającą służebności, która chociaż łąk niema wcale, jednakże otrzymuje od swoich 2-ch krów po 10 litrów mleka dziennie.

kami. Takich włościan, pozbawionych przedsiębiorczości, znajduje się w kraju bardzo wielu. Z ułożonego przez zarządzającego Izłą Skarbową kielecką p. Szpilewa, bardzo zajmującego zestawienia statystycznego, dotyczącego warunków ekonomicznych włościan gmin: Zajączków, pow. Kieleckiego i Pinczów, pow. Pinczowskiego, okazuje się, że z 21 wsi gminy Zajączków, obejmujących 4709 morgów ogólnej przestrzeni, w jednej tylko wsi Gnieździsku, obejmującej 1,700 morgów włościanie zajmują się wyrabianiem gontów, wozów i kół. Włościanie 13-tu wsi gminy Pinczów, domowym przemysłem nie zajmują się wcale. Takie wsie napotyka się na każdym kroku.

Ogromne znaczenie, jakie przypisujemy dodatkowemu zajęciu u włościan, usprawiedliwia się okolicznością, że gospodarstwo włościańskie z naturalnego, zaopatrującego się własną pracą w narzędzia produkcji, i dostarczającego właścicielowi wszystkich prawie przedmiotów jego potrzeby, przemieniło się stopniowo na kapitalistyczne, wymagające nakładów, oraz zaspokojenia wielu potrzeb z gotowego grosza. Dlatego też, z wyjątkiem włościan, znajdujących się w warunkach szczególnie dogodnych, (jak np. osada Żarnowicka, władająca 20 morgami bardzo dobrej ziemi, posiadająca 3 morgi łąki, wolna od szachownicy i bez służebności) inni dochodzą do dobrobytu, pomagając sobie oprócz rolnictwa, pobocznemi zarobkami. Szczególniej nauczającym pod tym względem jest sporządzone przez p. Stanisława Chełchowskiego, obecnie prezesa Sekcyi Rolnej Warszawskiego Oddziału Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu sprawozdanie z gospodarstw wzorowych włościańskich. Jeden z najzamożniejszych i najlepszych w kraju gospodarzy-włościan, Szymon Zaręba ze wsi Zakrzewo, gminy Czarne, powiatu Lipnowskiego, syn rodziców niezamożnych, zaczął od wyrabiania prostych mebli, z biegiem czasu z zebranych oszczędności wziął grunt w dzierżawę, został potem właścicielem osady 6-cio morgowej, i nakoniec, po dokupieniu jeszcze dwóch osad, włada obecnie przestrzenią 22 morgów, zaopatrzoną obficie w inwentarze. Godnem jest uwagi, że 19-letni syn Zaręby z a j m u j e s i ę t k a c t w e m, wyuczywszy się tego rzemiosła w stanisławowskich warsztatach wzorowych, założonych przez powyżej powołaną Sekcyę, i wyrabia ręczniki, obrusy, serwety i płótno, ze swojej i cudzej przedzdy. Trzy zaś córki Zaręby wyszły za mąż za włościan, którzy obok rolnictwa z a j m u j ą s i ę r z e m i o s ł a m i. Jeden z nich, chociaż jest także właścicielem 22-u morgów, zarabia jednak k o ł o d z i e j s t w e m.

Włościanin Piotr Żak, we wsi Leszczyny, gminy Urzędów, powiatu Janowskiego, posiadając osadę, przestrzeni 21 morgów ciągnie dochód z i n t r o l i g a t o r s t w a. Żona jego zarabia kra-

wiectwem. Rzemiosła przynoszą mu gotowizną 46 rubli rocznie i dają mu środki wystarczające na opędzenie kosztów najmu i służby.

Włościanin Ignacy Kobuz, we wsi Koziolki, powiatu Kozielnickiego, w chwilach wolnych od rolnictwa zajmuje się stolarstwem i tokarstwem, chociaż jest ławnikiem sądowym.

U włościanina Feliksa Kazimierskiego we wsi Chuzny, gminy Dąbków, powiatu Łowickiego, żona i dzieci wyrabiają przeszło 200 łokci płótna i wełniaki na własną potrzebę. Synowie zajmują się ogrodnictwem i pszczelnictwem.

Syn włościanina Woźnickiego z Woli Grodzkiej, powiatu Błońskiego, właściciela osady 11 morgowej, dzierżawiącego prócz tego 20 morgów gruntu, skończywszy kurs szkoły wiejskiej, uczy się w Warszawie ślusarstwa, córka uczy się krawiectwa.

Powyżej wymienionych włościan nie wybieraliśmy z pośród innych, ale przytoczyliśmy po kolei wszystkich bez wyjątku nagrodzonych za wzorowe gospodarstwo i przekonaliśmy się, że ci ludzie, godni największego szacunku, nie poprzestają na samem tylko rolnictwie, lecz zarabiają oprócz tego rzemiosłem, co szczególnie ważnem jest w początku ich karyery. Toż samo zauważyć mogliśmy wyżej, przy cieszącej się dobrobytem osadzie w Lesińcu.

Gdybyśmy temu zjawisku przypisywać chcieli samo tylko znaczenie materyalne, stałoby się ono dla nas niezrozumiałem, z powodu, że sumka kilkudziesięciu rubli rocznie, wobec ogromnego rozrodzenia każdej prawie rodziny włościańskiej, chociaż ma pewną doniosłość, nie może mieć jednak rozstrzygającego znaczenia. Powyżej wzmiankowane rozrodzenie jest rzeczywiście zastanawiającem. Licząc dziecko za $\frac{1}{2}$ człowieka okazało się:

Na osadzie w Żarnowicy	10 $\frac{1}{2}$ osób
„ „ „ Lesińcu	9 „
„ „ „ Klukach	9 $\frac{1}{2}$ „
„ „ u Szym. Zaręby i 1 służąca	5 „
„ „ u Piotra Zaka i 2 służących	5 „
„ „ u Ignacego Kobuza i 1 służący	7 „

Na osadzie u Feliksa Kazimierskiego	6 osób
i 2-ch służących	
„ „ „ Mateusza Woźnickiego	6 „

Ażeby wyżywić z małego szmatka ziemi tak dużą rodzinę z domownikami, i jeszcze z oszczędności przysparzać sobie gruntu, do tego potrzeba energii nadzwyczajnej. I jeżeli, zgłębiając rzecz uważnie, musimy uznać istnienie związku pomiędzy zarobkiem pobocznym, a dobrobytem włościanina, to mniejszą tylko część tego działania wypadnie przypisać zarobkom pieniężnym.

Wpływ nauki rzemiosła na rozwinięcie umysłowe włościanina, znaczenie ma już większe, ale w najgłówniejszej i najistotniejszej treści, powodzenie zawdzięcza się przyzwyczajeniu do ciągłej pracy, do umiejętności korzystania z jej owoców i wywiązującej się z tych czynników energii, sumie zalet, objętych poczuciem zamiłowania do pracy, które zatracą się zwykle u włościan, oddających się podczas zimy bezczynności, gdyż próżniactwo obezwładnia człowieka, a wdraża go do przywar i złych nałogów. Zdaniem socjologów, jednej z najgłówniejszych przyczyn rozstroju ekonomicznego Hiszpanii szukać należy w okoliczności, że w czasie nieznośnych upałów letnich wszystkie klasy ludności oddają się tam z konieczności przymusowemu lenistwu. Przeciwnie zaś, według świadectw wiarogodnych, w tych miejscowościach Galicyi, gdzie zakwitł przemysł domowy, bardzo widocznie poprawiła się moralność.

Jeżeli wyprowadzimy linię prostą od południowo-wschodniego krańca gub. Lubelskiej do południowego załamka Permskiej, to na całej ogromnej przestrzeni na północ od tej linii, ujrzymy w zimie nieprzeliczone mrowie ludu, oddającego się przemysłowi domowemu. Toż samo napotkamy w Czechach, Szlązku i wogóle w Austrii i w mocniejszym stopniu w Skandynawii. Objaw ten tłumaczy się nie tylko ostrym klimatem tych krain, przy którym nie może włościanin wyżywić się z małego szmatka ziemi, lecz tem głównie, że dla pilnego, niebogatego i oszczędnego człowieka, marnowanie czasu przez długie wieczory zimowe, jest wprost nie do zniesienia. Według świadectwa historyków, lud wiejski w Królestwie Polskiem oddawał się dawnymi czasy z wielkiem powodzeniem przemysłowi domowemu. Lecz

w ciągu ostatnich dwóch stuleci umiejętność jego i przyzwyczajenie do tej pracy, w znacznej części zanikły. Pomimo tego jednak i dzisiaj jeszcze zjawiają się miejscami ślady dawnych zajęć, te więc wymagają niezbędnie wzmocnienia i podtrzymania, gdyż ogromna większość ludności włościańskiej krajowej znajduje się z powodu niedostatku, w położeniu źle żywiących się włościan kluckich.

Uczone badania doktora Kaczkowskiego dowiodły, że na osadzie, nie dosięgającej 10-ciu morgów średniego gruntu, włościanin bez pobocznego zarobku, rzadko kiedy może najadać się dosyta. Według naszego przekonania dopiero od 15-tu morgów przestrzeni rozpoczyna się prawdopodobieństwo zamożności włościanina. Tymczasem według wiadomości zamieszczonych w XIII Zeszycie Prac Warszawskiego Komitetu Statystycznego, z ogólnej liczby 717,257 osad włościańskich i 74,609 małomiasteczkowych—426,671 włościańskich i 64,294 małomiasteczkowych, nie dosięgają przestrzenią 15-tu morgów. Zatem 62^o/_o osad, przedstawiających najmniej 3 miliony ludności, potrzebują koniecznie pobocznego dochodu, którego ani fabryki, ani większe gospodarstwa w ilości dostatecznej dostarczyć nie mogą. Włościanie z własnego natchnienia okazują gorącą chęć przyswojenia sobie techniki przemysłu domowego. Tak np. włościanie powiatu Łowickiego i Nieszawskiego, dowiedziawszy się, że przemysłem tym opiekuje się Sekcyja Rolna Warszawskiego Oddziału Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu, zwrócili się do niej z prośbą o delegowanie do nich na ich koszt instruktora tkactwa. Należy spodziewać się, że tak, lub owak, wcześniej lub później, główna masa tutejszego włościaństwa weźmie się do przemysłu domowego, gdyż ogromne mnóstwo tych, którzy nie mogą lub nie chcą szukać zarobku w Niemczech, koniecznie potrzebuje dodatkowego dochodu. W tej sprawie trzeba im dopomóc, trzeba ich przygotować technicznie, trzeba im dać kierunek, trzeba zasłonić ich od wyzysku pośredników i faktorów i zapewnić gospodarczą niezależność.

Biorąc się do tej sprawy, należy poznać właściwości, jakimi odznacza się tegoczesny przemysł domowy, zbadać niebezpieczne jego strony, określić wymagania i warunki powodzenia.

Przemysł domowy jest wytwórczością rzemieślniczą, w kółku domowym, w mieszkaniu własnym, albo w przyległym doń pomieszczeniu. Tem jednak różni się od rzemiosła, że nie liczy wcale na spożywcę miejscowego, ale wyrabia towar hurtem na zamówienie fabryk, domów handlowych, lub pośredników prywatnych, lub też bez zamówienia, licząc na wyprzedaż na jarmarkach, albo przez roznosicieli. Przez wytwórczość hurtowną, przemysł domowy zbliża się do produkcji fabrycznej, od której różni się szczupłością kapitału, oraz brakiem maszyn i warsztatów, dzięki którym fabryki wyrabiać mogą towar taniej, lepiej i jednostajniej. Podobieństwo domowego przemysłu do fabryki znajduje się w niemożności liczenia się z gustem i wymaganiami pojedynczego nabywcy i wypływającej stąd konieczności stosowania się do przeciętnych wymagań ogółu. Z tych zasadniczych cech przemysłu domowego wynika, że powstawaniu jego szczególnie sprzyjały czasy, kiedy przemysł fabryczny znajdował się dopiero w zawiązku. Wtedy to przemysł drobny zakorzenił się w Niemczech, a zapewne i w Rosyi. Lecz w Niemczech z biegiem czasu razem z olbrzymim wzrostem przemysłu fabrycznego, przemysł drobny współzawodnicząc z nim, znalazł się, pomimo największych wysiłków, w położeniu przeważnie bardzo smutnem, a przede wszystkim stracił wszelki związek i łączność z rolnictwem. Oddający się przemysłowi domowemu w Niemczech, pracując zwykle w całym składzie rodziny po 16 godzin dziennie, ledwie zarobić sobie mogą na lichą strawę kartoflaną.

Jednakże oplakanego położenia większości drobnych przemysłowców w Niemczech, nie można przypisywać samemu tylko istnieniu fabryk. Przeciwnie, jak okazują dokładne badania, były inne czynniki, które nietylko doprowadziły ich do nędzy, ale prócz tego jeszcze oddziaływały nader ujemnie na dobroć ich wyrobu. Byli to mianowicie: pośrednicy — faktorzy.

Według rodzaju zajęcia i sposobu nabycia materiału, oraz spieniężania gotowego wyrobu, istnieją cztery odmiany przemysłu domowego. Do pierwszej należy przemysł domowy ludowy, dodatkowe zajęcie robotnika lub włościanina w domu własnym, przede-

wszystkiem na własną potrzebę, na sprzedaż zaś po części tylko, o ile produkcya okaże się w nadmiarze; do drugiej odmiany należy właściwy przemysł drobny domowy, robota na własne ryzyko, na zbyt miejscowy i na sprzedaż na targach i jarmarkach; do trzeciej zalicza się przemysł domowy fabryczny t. j. produkcya na wielką skalę z materiału własnego, lub dostarczonego przez fabrykę, z wydaniem gotowego wyrobu fabrykantowi lub kupcowi; do czwartej wreszcie: przemysł domowy z wynajmu, jest to robota od sztuki z materiału dostarczanego przez faktora (tak zwanego przez lud majsterka), któremu się oddaje towar gotowy. Ostatnia z tych odmian bierze początek w przemyśle domowym, zarówno drobnym, jakoteż fabrycznym, i jest poniekąd ich zwyrodnieniem. Łatwo zauważyć, że stawia ona pracownika w bezwarunkowej zależności od faktora i zamiast dawać mu dostatek, przyprowadza go o nędzę. Od chwili gdy pracownik pozostał coś faktorowi dłużny, już zginął, bo obliczają mu w dwójnasób materiał surowy i licho płacą za wyrób, tak że nigdy nie zdoła on wydobyć się na wolność. Co się tyczy w szczególności przemysłu domowego fabrycznego, to w tej postaci uważa się przemysł domowy w Europie Zachodniej, mianowicie zaś w Niemczech, Francji, Anglii, za jeden z rodzajów produkcji kapitalistycznej, przy którym robotnicy pracują w mieszkaniach własnych, lub warsztatach, produkcją zaś kieruje przedsiębiorca, którego nazywają w Niemczech: Verleger (nakładca). Ten wskazuje kierunek i wymiary produkcji i rozdaje zamówienia. Wobec producentów ubogich i zgoła pozbawionych spójni współdzielczej, góruje on nad nimi znajomością rynku, i umiejętnością zarządzania zbytem towarów, obok kapitału, niezbędnego dla nabycia materiałów surowych i dla korzystnej sprzedaży wyrobów.

Ten rodzaj przemysłu domowego istnieje głównie w miastach. Nazwę fabrycznego nadał mu kongres międzynarodowy statystyczny w Peszcie. Chociaż poświęcająca się mu ludność ze wszech miar zasługuje na opiekę i pomoc, jednakże systemat gorszym jest i mniej korzystnym dla robotnika od prostego fabrycznego porządku, przy którym robotnicy pracują zbiorowemi siłami pod wspólnym dachem. Przemysł domowy fabryczny bardzo jest upowszechniony w miastach i miasteczkach w okolicach Łodzi, a ludność, która mu się oddaje, daleką jest od dobrobytu.

Nie można zaprzeczyć jednak, że o ile fabryki rządzą się sprawiedliwem wyrachowaniem, o tyle robota na bezpośredni obałunek może być bardzo korzystną dla włościan. W okolicach Radom-

ska, gdzie znajdują się dwie fabryki mebli giętych, jedna Toneta, druga Kona, włóścianie mają dobry zarobek na wyplataniu krzeseł. W tym wypadku wszystko zależy tyleż od sumienności fabrykanta, od współzawodnictwa fabryk, ile od tego, ażeby fabryka główną robotę wykonywała sama, a oddawała na zewnątrz jedynie tylko uzupełniającą część roboty i zachowywała stosunek, o ile być może najbardziej bezpośredni z pracownikami domowymi. O ile zaś fabryka istnieje tylko z imienia i kompletuje swój zapas towarowy jedynie tylko gotowemi wyrobami przemysłu domowego, o tyle pracownicy ulegają gwałtownemu naciskowi, aby oddawać pracę swoją za bezcen i na wypadek przełomu handlowego wpadają w położenie bez wyjścia, gdyż spekulant, który skupuje u nich zwykle towar za pośrednictwem faktorów, rzuca ich bez żadnego skrupułu na pastwę losu. Takim jest położenie tkaczy domowych w miastach i miasteczkach: Łodzi, Pabianicach, Żelowie, Belchatowie, Aleksandrowie, Konstantynowie gub. Piotrkowskiej, również jak w Zduńskiej Woli i innych gub. Kaliskiej. Pracują oni na spekulantów, którzy się tu przenieśli z Cesarstwa i chcą uchodzić w Łodzi za fabrykantów, chociaż fabryk wcale nie posiadają. Jedynie rozumna współdziałalność może w tych okolicznościach wydzwignąć pracowników domowych z matni, w jakiej się znajdują. Z takiego stanu rzeczy wynika, że o ile bezpośredni stosunek pracownika domowego z fabryką może być znośny, szczególnie jeżeli nie dostarcza gotowego towaru, lecz skutkiem przyjętego przez fabrykę podziału pracy, dopełnia tylko pewnej, określonej części roboty fabrycznej, o tyle nabywanie przez faktora od pracownika domowego, gotowego towaru obok dostarczania mu surowego materiału, należy uważać za zgubną dla pracownika domowego postać wytwórczości, wyłączającą stopniowo wpływ fabryki i pozostawiającą jedynie, oko w oko naprzeciw siebie, bezbronych pracowników domowych i wyzyskujących pośredników.

Co się tyczy drobnego przemysłu domowego w znaczeniu właściwym, i współzawodnictwa jego wyrobów z fabrycznemi, wcale nie jest dowiedzionem, aby przemysłowiec domowy, doskonale znający swoje rzemiosło, który obrał sobie trafnie rodzaj produkcji, nie mógł się oprzeć konkurencyi fabrycznej. Techniczne szkoły przemysłu drobnego, zakładane z wielkim staraniem i powodzeniem w Bawaryi, a zwłaszcza w Austrii, dowodzą, że rządy tych krajów najdoskonalej stanu rzeczy świadome, nie straciły wiary w żywotność przemysłu domowego.

I my u siebie również możemy przytoczyć przykład, że w blizkiem sąsiedztwie Łodzi, stanowiącej ogromne środowisko przemysłowe

tkacze ze Zduńskiej Woli mają specjalność wyrobu pewnego rodzaju materji wełnianej: „Adrian“, którą według ogólnego zdania trudno byłoby fabrykom naśladować. Mianowicie, materja ta, z cienkiej i delikatnej przędzy, wymaga nadzwyczajnie dokładnej roboty, jaka nie może być wykonana na warsztacie fabrycznym, mechanicznym, a jedynie tylko na ręcznym, wczem tkacze Zduńskowolscy celują. Gdy pomimo tego, pogrążeni w nędzy, znajdują się oni w kleszczach u wyzyskiwaczy, okazuje się, że nie tyle konkurencja fabryk, ile zależność od pośredników, zgubną jest dla pracowników domowych. Zresztą wyroby przemysłu domowego mogą zawsze współzawodniczyć z fabrycznymi swoistością i narodowymi cechami smaku.

Następnie, w interesie pośrednika leży, ażeby wyrób przemysłu domowego mógł być puszczonej w obieg jaknajtaniej, gdyż cena przystępna wzmaga i ożywia zapotrzebowanie. Z tego powodu pośrednicy nalegają na przemysłowców domowych nie tyle o dobrą, ile o taną robotę. Według świadectwa członka Centralnego Oddziału Towarzystwa Popierania Rosyjskiego Przemysłu i Handlu, pana Bielowa, doprowadzili oni pracowników domowych w Tule, przez natarczywe żądania obniżenia ceny, do wyrabiania luf u broni palnej, najprzód z grubej, potem z cienkiej blachy, czem wciąż jeszcze zadawalniali się pośrednicy, i dopiero wtedy odmówili przyjęcia towaru, kiedy pracownicy zaczęli robić lufy—drewniane. Tym to sposobem stosunki z pośrednikami doprowadzają stopniowo przemysłowców domowych do pogorszenia wyrobów i do zatracenia umiejętności. O moralności niema co i mówić, gdyż dla nieszczęśliwych pracowników domowych tulskich, doprowadzonych do rozpacz, pojęcie cudzej własności nie istnieje.

Lecz pozostawiając na stronie tę odmianę przemysłu domowego, przejdziemy do ludowego przemysłu drobnego u włościan, który jest przedmiotem pracy niniejszej i który, pewni jesteśmy, że ma wszelkie warunki bytu, zajmując włościanom skutecznie, stracone chwile pory zimowej. Ma on przed sobą ogromne i bardzo pożyteczne zadanie: zaspokojenia własnych potrzeb włościańskich, co wcale nie wyklucza możności zainteresowania wyższych klas ludności przez dobry smak i narodowe cechy wyrobów—tak, że tę postać przemysłu domowego należy uważać za bezwarunkowo korzystną dla włościan, z czego wynika, że rozwój przemysłu włościańskiego na zdrowych podstawach, z dbałością i znajomością rzeczy, zaliczamy do bardzo doniosłych obowiązków społecznych.

Nie może być żadnej co do tego wątpliwości, że włościanie, tracący stopniowo zamożność przez działy spadkowe, zaczną uciekać się

z własnego popędu po dodatkowy zarobek do przemysłu domowego, zwłaszcza, że Niemcy i Anglicy starają się uniknąć napływu polskich wychodźców, oraz, że pod pozorem ich ciemnoty i ubóstwa, nawet Ameryka Północna odpycha ich od siebie. Wskutek tych okoliczności odpływ nadmiaru polskich włościan zagranicę bezwarunkowo zeszcupleje, a wtedy, po zamknięciu wszystkich pobocznych źródeł dochodu, pozostanie przemysł domowy, jako jedyny dla nich możliwy zarobek dodatkowy.

Lecz jeżeli przemysł ten pozostawiony będzie własnemu losowi, to wobec obojętności rządu i społeczeństwa, z domowego włościańskiego może on się zamienić na domowy fabryczny. Tego uniknąć i temu zapobiedz jest jednym z głównych zadań szkicu niniejszego. Dużo może dopomóc powodzeniu trafny wybór rzemiosła. Im mniej ono jest zdolne do przyjęcia postaci fabrycznej, tem pewniejsze będą warunki utrzymania go w czystym, ludowym zakresie. Tu trzeba zaliczyć koszykarstwo. Co do tkactwa, to chociaż w Niemczech spóźzawodnicząc z fabrykami, szybko ono zdąża do upadku, u nas jednak wobec ogromnie licznej ludności włościańskiej i małomiejskiej, której potrzeby wymagają zaspokojenia, tkactwo domowe, zwłaszcza wełniane, ma jeszcze na długie lata mocny grunt pod nogami. Oczywiście więc jest, że im bliżej poznamy zarówno korzystne i pożyteczne, jakoteż niebezpieczne strony przemysłu domowego, tem prędzej nabędziemy przekonania, że nadanie mu pośród włościan właściwego kierunku, jest bardzo trudnym i bardzo ważnym obowiązkiem społecznym. Usiłowania w tym kierunku zasługują ze wszech miar na poparcie i chętną pomoc rządową.

Skoro zaś już raz powziętym zostanie zamiar czynnego zajęcia się przemysłem domowym, to przy obecnem upowszechnieniu wyrobów fabrycznych, pierwszym staraniem być powinno podźwignięcie umiejętności tam, gdzie do pewnego stopnia już istnieje i pobudzenie jej do życia w tych miejscowościach, gdzie przemysł domowy ma być na nowo zaprowadzonym. Sekcja Rolna Warszawska powziąwszy zamiar odrodzenia przemysłu drobnego, a zwłaszcza domowego, w Królestwie Polskiem, wybrała w tym celu delegację i przezuaczyła jej bardzo skromne środki. Delegacja zaprosiła z Galicyi na inżynierów, wychowawców tamtejszych bardzo dobrych szkół przemysłowych (tkackich, ceramicznych i koszykarskich), urządzonych specjalnie dla domowego przemysłu i założyła wzorowe warsztaty tkackie w Stanisławowie gub. Warszawskiej i w Myszynie gub. Łomżyńskiej. Ci włościanie, którzy w tych warsztatach nauczyli się tkac-

twa, sami następnie zostawali instruktorami, i zapraszano ich do wszystkich okolic kraju. Dla powiększenia liczby instruktorów delegacya, na sekcję przemysłu domowego przemianowana, wysyłała do Galicyi przez kilka lat z rzędu na kursy tkactwa i garncearstwa domowego, stypendystów z pośród włościan i mieszczan, którzy skończyli należycie szkoły elementarne. Wzorowe warsztaty w Stanisławowie dla tkactwa, i w Serocku dla koszykarstwa, zaopatrzone w udoskonalone narzędzia i przybory, dały rezultaty wyborne, pozyskały rozgłos w kraju i we wszystkich jego okolicach mają swoich wychowañców. Przytem zauważyć należy, że włościanie Królestwa nadzwyczajnie prędko i dobrze przejmują dawane im nauki. Na nie szczęście, warsztatom tym dla braku środków zagraża zwiñęcie. Trzeba jednak mieć nadzieję, że rząd, oceniając prawdziwe usługi, jakie oddają włościanom te warsztaty, nie odmówi piñieżnego dla nich zasiłku za pośrednictwem Warszawskiej Sekcyi ludowej przemysłu drobnego. Z tą pomocą będzie mogła Sekcyja powierzać zwierzchni nadzór nad warsztatami Towarzystwom rolniczym.

Nie dość jeszcze tego. Ażeby przemysł domowy przyniósł pożytek włościanom, trzeba ochronić ich od zgubnego wyzysku pośredników i faktorów czego znów niepodobna osiągnąć inaczej, jak jedynie dostarczając pracownikom kredytu odpowiedniego obok ułatwienia im organizacyi zawodowej. Bez kapitału zakładowego nie mogą oni wybiegać się od lichwy. Próbkę tego zniewolenia i poddañstwa, jakiemu podlegają przemysłowcy domowi, pozbawieni wszelkiego wzajemnego związku i pozostawieni własnemu losowi, przedstawiają koszykarze z okolic Warszawy, nie mogący się oprzeć nieustającej znowie przekupniów i pogrążeń w nędzy.

Skutkiem tego, na pierwszy plan wysuwa się pytanie, jak zaopatrzyć przemysłowców domowych w dogodny kredyt na konieczne nakłady, obok zaprowadzenia należytego współdzielczego zarządu. Jest to szczególnie ważnem u włościan, ponieważ zadłużenie prowadzi u nich do opuszczenia się w gospodarstwie, kończy się zaś ruiną.

Tylko należycie obmyślany kredyt może to sprawić, że przemysłowiec domowy będzie mógł sam dla siebie nabywać materiał surowy, i pod względem sprzedaży będzie o tyle zabezpieczony, że nie będzie potrzebował ulegać przymusowi faktorów.

Według doświadczenia Sekcyi ludowej Warsz. Oddziału Towarzystwa Popierania Ros. Przemysłu i Handlu, środki niezbędne dla przemysłowca domowego do samoistnej produkcji, dosięgają przy pło-

ciennictwie i wielu innych przedsięwzięciach, najmniej potrójnej wartości materiału surowego na jedną sztukę towaru. Mianowicie, trzeba zapłacić za materiał znajdujący się na warsztacie, również, jak i za ten, z którego wyrobiony jest towar oddany w komis na sprzedaż, i wreszcie za ten, który jest przygotowany do wzięcia na warsztat po skończeniu sztuki znajdującej się w robocie. Jeżeli przedza i przybory na jedną sztukę płótna kosztowały 10—15 rubli, to przemysłowcowi domowemu potrzebny był kredyt około 45 rubli. Ile razy Sekcja zmuszoną była dla braku pieniędzy poskąpić zaliczenia, tyle razy zjawiały się zakłócenia i przerwy w robocie.

Przypuszczenie, że w gub. Królestwa Polskiego kasy gminne mogą zastąpić włościanom wszelki inny rodzaj kredytu, byłoby bardzo przedwczesne. W ogóle kasom tym przypisuje się przesadzone znaczenie, co postaramy się wyjaśnić.

Według XVII Zeszytu Prac Warszawskiego Komitetu Statystycznego w r. 1899 przestrzeń gruntów włościańskich w gub. Królestwa Polskiego wynosiła 5,031,220 diesiatyn, czyli 9,817,635 morgów, dodając co najmniej 96,000 diesiatyn, czyli 187,328 morgów nabytych przez włościan po rok 1902-gi—uczyni to razem 10,004,963 morg. Wartość przecięciowa morga ziemi według nadzwyczaj umiarkowanego szacunku Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem, wynosi w tym kraju 43 rb. 65 kop.¹⁾, co daje bardzo skromne oszacowanie gruntów włościańskich na 438,666,349 rubli. To znaczy, że 24 miliony kredytu wydawane rocznie przez wszystkie razem wzięte kasy gminne w Król. Pol. stanowią w stosunku do 438 milionów rubli wartości gruntów włościańskich zaledwie 5½ procent, i jeżeli nawet uwzględnić, że pożyczki kas gminnych nie mogą być wydawane na grunty nabyte przy pomocy banku włościańskiego, to i wtedy jeszcze zadłużenie w nich samych tylko gruntów ukazowych nie przeniesie 6‰.

Jeżeli zaś zwrócimy uwagę na to, że własność ziemska włościańska w Królestwie, jako osobista, mogłaby bezpiecznie wytrzymać kredyt dosięgający połowy jej wartości, to okaże się, że kredyt dostarczony przez kasy gminne nie dosięga nawet dziewiątej części tej wysokości, jaką mogłyby wytrzymywać bezpiecznie grunty włościańskie w Królestwie Polskiem, nie tylko bez szkody, ale z wielostron-

¹⁾ Obecnie świeżo podniesiono ten szacunek.

nią dla stanu włościańskiego i ogólnego bogactwa narodowego korzyścią.

Kasy te mają w swoich urządzeniach niektóre wadliwości, z których przytaczamy najgłówniejsze.

1-o Że suma wkładów pieniężnych nie może przewyższać sumy pożyczek, skutkiem czego interesanci nie mogą mieć tej pewności, że oszczędności ich będą każdego czasu do kasy przyjęte.

2-o Że termin zwrotu wkładów pieniężnych zależnym jest od napływu gotowizny do kasy.

3-o Że odpowiedzialność osób stojących u steru kas (wójtów gminnych i pisarzy) po wielu wypadkach niesumienności, nie wzbudza zaufania.

4-o Że z kredytu korzystały mogą jedynie włościanie osiedli, gdy tymczasem i bezrolni mogą zasługiwać na kredyt.

Jeżeli kasy gminne będą i nadal korzystały z bezpośredniej opieki rządu, to bezwątpienia znajdą się dla nich środki naprawy, ale okoliczność ta bynajmniej nie przeszkadza temu, że dla włościan pragnących oddać się drobnemu domowemu przemysłowi bez porównania korzystniejszym będzie kredyt innego rodzaju. Mianowicie, z uwagi na warunki, jakie wynikają z samej istoty drobnego przemysłu, odpowiednim dla nich będzie kredyt w s p ó ł d z i e l c z y, któryby nie tylko wydawał pożyczki, ale też zwłaszcza obsługiwał wspólne przedsięwzięcie, załatwiając zachodzące przy niem potrzeby.

Nie mówiąc już o środkach materyalnych, z tych potrzeb n a j p i e r w s z ą jest dokładne zbadanie gdzie i jakimi drogami zaopatrywać się w odpowiednie materyały, narzędzia i przybory. Warszawska Sekcja ludowa od samego swego zawiązku nabywała dla swoich tkaczy przędzę finlandzką i równocześnie przy życzliwej pomocy ministerium rolnictwa i dóbr państwa, sprowadziła od Pskowskiego Towarzystwa Hodowców lnu znaczną ilość siemienia lnianego dla rozdania pomiędzy włościan całego kraju. Oba te działania uwieńczone zostały powodzeniem, albowiem wyroby tkactwa domowego prowadzonego przez Sekcję, wytrzymały konkurencyę i znalazły sobie zbyt łatwy i korzystny, dzięki zaś zmianie nasienia włókno lniane z niego otrzymane wykazało znaczne polepszenie w porównaniu z dawnem. Nie może być najmniejszej co do tego wątpliwości, że sami włościanie bez należytych wskazówek nie mogliby znaleźć surowego materyału posiadającego te zalety, ani też nie umieliby zawiązać odległych stosunków handlowych, a zatem nie mogliby osiągnąć takiego powodzenia. Drugą potrzebą jest umiejętne urządze-

nie sprzedaży, odszukiwanie punktów zbytu i dogadzanie gustom bliższych i dalszych rynków w sposobie obrobienia towaru. Pewność i ciągłość zbytu, są istotnym warunkiem powodzenia, ten zaś osiągnąć jest zanadto trudno dla pojedynczych odosobnionych włościan. Warszawska Sekeya ludowa korzystała w początkach z usług Warszawskiego współdzielczego bazaru rzemieślniczego. Po zwinięciu bazaru zjawiły się dla zbytu wielkie trudności, które tylko w części pokonać zdołano. I pod względem sprzedaży zatem włościanie potrzebują zespolenia i kierownictwa.

Do potrzeb tych nadaje się zupełnie wzorowa Ustawa spółek pożyczkowo-oszczędnościowych, zatwierdzona przez p. ministra finansów, w dniu 13 kwietnia 1896 roku. Mianowicie, artykuł 6-ty Ustawy dozwala takim spółkom zajmować się pośrednictwem w nabywaniu materiałów surowych dla członków, oraz w sprzedaży ich wyrobów. Te to są właśnie dwa główne zadania, od których pomyślnego załatwienia zależy powodzenie domowego drobnego przemysłu. Zadaniom tym słusznie przypisuje Ustawa wyjątkową doniosłość, skoro w art. 72 wymaga zatwierdzenia Ministra dla warunków prowadzenia pośrednictwa.

Lecz pomimo tego, że ludność wiejska wносиła u nas prośby o zezwolenie zawiązywania spółek pożyczkowo-oszczędnościowych, nie udzielano jej dotychczas na to upoważnienia. Upoważnienie takie uzyskiwała w gub. Królestwa Polskiego jedynie tylko ludność miast i miasteczek. Taki tryb postępowania do najwyższego stopnia sprzyja interesom przekupniów, pozbawiając ludność wiejską możności opierania się lichwie. Z tego powodu możemy wyrazić jedynie gorące życzenie, ażeby pole działalności spółek pożyczkowo-oszczędnościowych, urządzonych według Ustawy ministeryalnej rozszerzyło się na wieś, tak jak to było przyobiecaniem w N-rze 25 Gońca Finansów za r. 1895.

W szczegółach swoich, Ustawa może zawsze po uprzednim zezwoleniu Władzy, zastosować się do swoistych potrzeb poszczególnych miejscowości, gdyż stanowi ona tylko rusztowanie, po za którym wzniesić się może najdoskonalej cała szczegółowo opracowana budowa współdzielczości.

Z liczby tych szczegółów, na pierwszym miejscu dla ludowego i drobnego przemysłu postawić należy nieodzowną potrzebę współdziałania sił społecznych w ich kierownictwie, przynajmniej w początkach, ponieważ dla uzdolnienia do tego samychże włościan, potrzebni są: dłuższy czas i doświadczenie.

Co się tyczy kierowania spółkami, przytoczymy dla wiadomości wyjątek z Ustawy Szwedzkiego Towarzystwa Przemysłu Domowego z r. 1899-go.

1. Towarzystwo urządza w Stockholmie nieustającą wystawę wyrobów, dostarczonych przez pracowników domowych na sprzedaż, i uznanych przez Komitet Wystawy za zasługujące na przyjęcie, stara się również otworzyć drogi zbytu dla drobnego przemysłu.

2. Kupuje modele dawniejsze i nowe, i rozpowszechnia je wedle możliwości.

3. Udziela swego pośrednictwa dla zamówień robót i modeli.

4. Dopomaga Towarzystwom Rolniczym do urządzania wystaw prowincjonalnych.

Członkowie płacą umiarkowaną składkę roczną po 2 ruble.

Towarzystwem rządzi Rada, złożona z 9 członków, w liczbie których znajdować się mają obowiązkowo trzy kobiety. Rada obowiązana jest posiadać w różnych miejscowościach komisyonerów dla wykonywania zleceń.

W tem Towarzystwie ogniskuje się zatem opieka wyższych klas społecznych nad przemysłem domowym, i zdaje się zupełnie stosownem i celowi odpowiedniem, aby na zarządzających kasami pożyczkowo-oszczędnościowemi dla przemysłu domowego zapraszano jego członków. Bardzo podobnem do tego jest urządzenie stowarzyszenia kobiecego dla popierania przemysłu domowego w Peszcie, do którego należy cała arystokracja węgierska, a które przyniosło korzyści wielkie i niewątpliwe.

W zakończeniu powyższych wywodów następujące środki zdają się najwłaściwszemi dla odrodzenia i podtrzymania przemysłu domowego u włościan naszych:

1. Zaprowadzenie w szkołach elementarnych wiejskich nauczania słoju (uzręcznienia) w robotach z tektury i drzewa, a dla dziewcząt szycia i haftu. Stopniowe wprowadzanie słoju żelaznego.

2. Pomoc i zachęta do otwierania domów pracy, z warsztatami dla dzieci w wieku od 7-miu do 14-tu lat.

3. Pomoc i zachęta w postaci zasiłków dla szkół włościańskich rolnictwa i przemysłu domowego.

4. Pomoc w zaprowadzaniu stałych i przenośnych warsztatów wzorowych dla dorosłych, pod kierunkiem doświadczonych i umiętnych instruktorów.

5. Pomoc dla kształcenia zdolnych osobistości z ludu na instruktorów przemysłu domowego, w najlepszych zagranicznych szkołach technicznych do tego przeznaczonych.

6. Dopomaganie do wysyłania od czasu do czasu najzdolniejszych instruktorów zagranicę dla zaznajomienia ich z najnowszymi metodami nauczania i techniki w przemyśle domowym.

7. Posiłkowanie w nabywaniu modeli i upowszechnianiu ich pomiędzy ludem.

8. Popieranie czasowych prowincjonalnych wystaw przemysłu domowego z wydawaniem nagród dla wystawców i warsztatów.

9. Pomoc ku założeniu stałej wystawy wyrobów wzorowych przemysłu domowego w Królestwie Polskiem, z udziałem osób dokładnie z tą sprawą obeznanych.

10. Zezwolenie na zawiązanie w Warszawie Towarzystwa dla popierania Przemysłu Domowego w Królestwie Polskiem, z celem przewodniczenia technicznej i gospodarczej działalności pracowników zwłaszcza zaś obrony ich przed lichwą. Dopomaganie działalności tego Towarzystwa za pomocą zasiłków.

11. Upoważnienie ludności wiejskiej do zawiązywania spółek pożyczkowo-oszczędnościowych, według Ustawy normalnej 1896 roku, oraz do powoływania dla przewodniczenia tym spółkom osób wybranych z pośród członków rzeczzonego powyżej Towarzystwa.

12. Zezwolenie włościanom, oddającym się przemysłowi domowemu, na zakładanie spółek współdzielczych.

13. Udzielanie ulg na kolejach żelaznych dla przewozu wyrobów przemysłu domowego, zwłaszcza na wystawy i z wystaw.

14. Wydawanie zasiłków w naturze, w kształcie materiału z lasów rządowych, łóz wierzby koszykarskiej, siemienia lnianego i konopnego, z ulgowymi warunkami spłaty, o ile ta będzie żądaną.

Niema najmniejszej wątpliwości, że z czasem, gdy przemysł domowy włościański nauczy się dogadzać gustom publiczności, i da jej coś nowego, swoistego, odskakującego od fabrycznego szablonu, potrafi on wtedy zająć ogół, który nawzajem żywo zainteresuje się jego losami. Zainteresowanie to jest nadzwyczaj potrzebne dla lepszego załatwienia jednej z najpierwszych potrzeb krajowych, zaspokajającej się na dobrobycie włościan. Dla tego też wszystko, co bę-

dzie uczynione przez rząd i społeczeństwo dla wyuczenia ich rzemiosł i techniki, potrzebnych dla przemysłu domowego, dla ułatwienia im nabycia materiałów surowych i spieniężenia wyrobów bez udziału przekupniów, wzbudzając u włościan wiarę w przemysł domowy, a zarazem chęć przyłożenia doń pracy—stanie się dla nich z czasem pomocną dźwignią pod względem materyalnym i moralnym.

JÓZEF JEZIORAŃSKI.

Literatura niemiecka w r. 1903.

Rozpoczynając przegląd literatury jednego narodu na przestrzeni jednego roku, należy sobie uprzytomnić, jakie są jego cele, jakie także korzyści. Z tych ostatnich, jedna dla każdego jest oczywistą: oto, rozpatrując utwory piśmiennictwa najnowszej doby, nie bezpośrednio i natychmiast po ich ogłoszeniu, lecz po upływie pewnego, krótkiego jednak czasu, łączymy świeżość uczucia z rozważą sędu; dość blizcy bowiem jesteśmy danego zjawiska, by na własnych nerwach doznać jego siły, dość dalecy, by zdać sobie chłodno sprawę z jego składników i jego wartości. Dawniej rok był odległością śmiesznie małą, nawet odstęp pokolenia nie wystarczał, dzisiaj z jednej strony zmysł obserwacyjny i orientacyjny tak się zaostrzył, z drugiej fala ogólnego życia tak szybko toczy się, że doprawdy, chociaż paradoksem się wyda, stwierdzić trzeba, że książka, która przetrwała rok cały, bądź co bądź okazała już tem samem pewną zdolność przetrwania dziesięć lat, może i więcej. Ale, pamiętając o tej korzyści rocznych przeglądów literackich, zazwyczaj nie mamy na uwadze innej, niewątpliwie donioślejszej, aczkolwiek ukrytej. Biorąc do ręki dzieło, ogłoszone przed kilkunastoma miesiącami, mamy już do czynienia nietylko z niem samym. Znamy już głosy krytyki, znamy liczbę wydań książkowych, przy dramatach ilość przedstawień teatralnych, przy powieściach statystyczne daty wypożyczalni, jednym słowem: przyjęcie, jakiego ta książka w rozmaitych kołach społeczeństwa doznała. Moment to obojętny, może nawet bałamucący raczej, niż pouczający, dla tego, kto chce rozprawy tylko pomiędzy tą książką, a swoim własnym sądem krytycznym. Moment to niesłychanie ważny dla tego, kto poza indywidualną opinią uznaje w książce każdej, złej czy dobrej, mądrej czy głupiej, czynnik kulturalny i społeczny, dodatni lub ujemny, lecz zawsze godny zanotowania. I to zarówno w dziedzinie wyłącznie artystycznej, jak i w zakresie społecznym. Wobec dzisiejszej indywidualizacji w sztuce, sam fakt pojawienia się dzieła w stylu np. skrajnie symbolistycznym, nie dowodzi jeszcze bynajmniej, aby ów kierunek

był panującym, a nawet tylko przez szczupłą garstkę tolerowanym; tak samo skromne znaczenie posiada samo istnienie np. powieści oskarżającej bądź cały ogół, bądź szczegółowe jego części i stany. Natomiast, jeśli wiemy, że ten dramat symboliczny cieszył się bezustannie na szerokim obszarze kraju powodzeniem scenicznem a tamta — powieść oskarżająca była przez publiczność rozchwytywana, przez poważną prasę roztrząsana, jeśli to wiemy, znamy artystyczny gust całego narodowego środowiska, znamy jego polityczne, etyczne, społeczne położenie. A tak przegląd literatury — tu, jak i w dalszym ciągu mówimy tylko o literaturze pięknej — dorzuca wiele do przeglądu narodu i społeczeństwa.

Niemieckie zaś społeczeństwo znać winniśmy, musimy. Zwyczaj w prasie, idącej za powierzchownymi zapatrywaniami mas, rozprawy i artykuły o pewnym narodzie i rozmaitych objawach jego życia, ukazują się wtedy, gdy stosunki z owym krajem są przyjazne; gdy są złe i wrogie, przestaje się o tym kraju pisać. Błąd to szkodliwy, bo właśnie tego, z kim walczę, tego, kto mię zgnębić chce, powinienem do szpiku kości przeniknąć, tak, by żaden jego atom nie był mi tajnym. A tak przedmiotowo, tak chłodno i bystro powinienem go badać, by każdy kąt jego duszy ujawnił się przedemną w właściwym, prawdziwym świetle, bo, jak tam niedokładność, tak tu błąd, zwłaszcza na złudzeniu oparty, może gorzko trzebaby w stanowczej chwili odpokutować. Że zaś, jeśli o niemieckie społeczeństwo chodzi, literatura piękna może takie informacyjne oddać przysługi, gdy obok samych dzieł uwzględnimy i ich przyjęcie u Niemców, to pewna; bo jeśli która, to ona próżną jest obecnie wszelkiej eteryczności, ściśle jest z życiem związaną. Prawda, że szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, iż właśnie w ubiegłym roku ten związek literatury z życiem ogromnie silnie, wprost niebywale się zaznaczył.

I oto możemy określić już obecne zadanie: pokazać literaturę piękną w Niemczech w r. 1903, a za jej pośrednictwem i stan dzisiejszy niemieckiego społeczeństwa, oczywiście, o ile to w literackim przeglądzie i w szczupłych rozmiarach jest dopuszczalnym. Stąd dzieła, które przeszły niepostrzeżenie, przez ogół niemieckiego społeczeństwa, ani nie ukochane, ani nie znienawidzone, nie przygarnięte i nie odepchnięte — te i w niniejszem sprawozdaniu nie wiele zajmą miejsca, bo do naszego przedsięwzięcia chyba tylko negatywnych dostarczą argumentów; natomiast całe światło rzucimy na utwory, które niemiecki ogół przyjął z gorącą namiętnością, przychylną, czy wrogą.

*

*

*

Dwutygodnik berliński: „Echo Literackie“, wyławany z nie zwykłą starannością i wszechstronnością, rozsyła rok rocznie do stulkudzieścicu wybitniejszych wypożyczalni, rozproszonych po całych Niemczech, zapytanie, które książki cieszyły się wśród tamtejszej publiczności największą popularnością. Są to bardzo ciekawe i pouczające daty, albowiem w ojczyźnie Schillera i Goethego i dzisiaj jeszcze nie wiele książek się kupuje, i zaspakaja się literackie pragnienia wypożyczaniem książek, które też taki przedsiębiorca niekiedy w znacznej liczbie egzemplarzy posiada. Otóż ogłoszone w pierwszym styczniowym zeszycie odpowiedzi za rok 1903 wykazują, że najpoczytniejszemi były następujące powieści: *Jena czy Sedan?* Beyerleina, *Listy, które go nie doszły*, pióra zrazu anonimowego, jak się później dowiedziano, pani Heyking, Freussena: *Jörn Uhl* i inne dzieła, T. Manna: *Buddenbrooks*, wreszcie pani Viebig: *O Janie Młymarzu*, z autorów zaś, prócz powyżej wymienionych, do najbardziej popularnych należał jeszcze baron Ompteda. Tegoroczna ankieta różniła się tem od dawniejszych, że po raz pierwszy ani pomiędzy dziełami, ani pośród autorów nie było przedstawiciela obczyzny, podczas gdy w r. 1900 w szeregu sześciu najpoczytniejszych pisarzy byli Zola i Tołstoj, w r. 1901 i następnym zagranicę reprezentował jeden Sienkiewicz z *Quo vadis?* Niewątpliwie brak cudzoziemskiego nazwiska dowodzi, że społeczeństwo niemieckie i w sferze literatury nacyonalizuje się. Charakterystycznym jest, że repertuar teatralny, z natury rzeczy bardziej międzynarodowy, bo obliczony przecież nietylko na tubylczą ludność, a poza tem zwracający się do sfer wszechstronnie oświeconych, niż „ubodzy duchem“ klienci wypożyczalni, otóż znaczącem jest, że i teatr w ostatnich czasach — jak to poniżej dokładniej się okaże — staje się bardziej narodowym. Ostrzedz jednak należy i tutaj przed przesadą w sądzie: jeśli w r. 1903 pomiędzy najpoczytniejszemi książkami nie było żadnego tłumaczenia, to zauważyć trzeba, że istotnie powieść zagraniczna w owym okresie nie wydała ani jednego dzieła, zdolnego zdobyć sobie światową sławę, jak to było dawniej np. z Tołstoja „Zmartwychwstaniem“, lub Sienkiewicza „Quo vadis“?

Jakież są więc owe ulubione powieści niemieckie ogółu z roku 1903? W ich spisie uderza przedewszystkiem absolutny brak powie-

ści historycznej. Nietylko na liście pięciu najbardziej rozchwytywanych w całych Niemczech książek, niema ani jednego romansu z niemieckiej przeszłości, lecz we wszystkich 107 wypożyczalniach, które odpowiedziały na kwestyonaryusz berlińskiego pisma, nie było ani jednej, gdzieby publiczność tego towaru pragnęła. Objaw to wymowny, dziwny przede wszystkim dla nas, którzy rok rocznie tyle nowych historycznych powieści wydajemy, a jednak wciąż jeszcze za mało ich widocznie mamy do zaspokojenia łaknących treści historycznej. Dodać zaś trzeba, że nasi sąsiedzi takich dzieł dzisiaj ani czytać nie chcą, ani nie tworzą, co zresztą jedno z drugim ściśle jest związane. Polak, zapytany o autorów drukujących teraz nowe romanse historyczne, bez trudu na poczekaniu wymieni ich sześciu, nawet cały tuzin; Niemiec, chociaż przecież jego literatura szerszem płynie korytem, nie wiem, czy do dwóch dociągnie, bo ostatecznie prócz Feliksa Dahna, nikt w tym rodzaju ani trochę nie jest głośny. Ten szanowny pan zaś, profesor uniwersytetu wrocławskiego, w wolnych chwilach bardziej namiętny publicysta, nb. jeden z najzagorzalszych „obrońców Marchii wschodniej“, niż utalentowany powieściopisarz, jest zabytkiem zamierzchłej epoki, a chociaż płodzi wciąż nowe romanse z germańskiego i niemieckiego średniowiecza, chociaż stały jego lipski nakładca posłusznie je wydaje, to czyta go... młodzież szkolna na „lekturę domową“, ale jako żywo nie ogół, mogący wybierać to, co mu się podoba, odrzucać to, co go nudzi. Czy tej obojętności dla narodowo-historycznego romansu tylko brak znakomitego pisarza jest przyczyną? Nie; znając literaturę i społeczeństwo niemieckie, wie się, że tej apatii nie pokonałby nawet taki Sienkiewicz, podczas gdy u nas nawet licha powieść historyczna znajdzie wielu wdzięcznych czytelników dlatego tylko, że nam o przeszłości opowiada. Przyczyny tkwią głębiej i jest ich dwie: Niemcy żyją świetną terażniejszością i dumnymi snami o przyszłości; przeszłość, pogodna czy chmurna, mało już ich obchodzi, z wyjątkiem, powtarzamy, młodzieży szkolnej. A obok tego momentu jest i drugi, nie mniej ważny: powieść historyczna prawie zawsze żyje miłością, nie nienawiścią, zapalem, nie krytyką, entuzjazmem, nie chłodem. Niemiec zaś, chociaż na zewnątrz taki dumny, w gruncie serca i mózgu skłonniejszym jest do oskarżenia, nagany, nawet zrzędzenia, niż do apoteozy. Z tem uczuciem nie napisze się, nie polubi się powieści historycznej, napisze się natomiast i polubi współczesną powieść oskarżającą.

Takim gniewnem „J'accuse“ jest „Jena czy Sedan?“, książka, górująca rozgłosem nad wszystkimi powieściami, jakie wydał w Niemczech rok 1903.

Wyznajmy otwarcie, że szalony rozgłos tego dzieła, które do końca roku rozeszło się w stu tysiącach egzemplarzy, nie zupełnie jest zrozumiałym. Tłómaczyć go nie można walorem nazwiska autora, bo p. Franciszek Adam Beyerlein nikomu przedtem nie był znany, a szczerze mówiąc, i po tej książce nie jest osobistością, budzącą większą ciekawość. Wolno domyślać się, że pierwszą przyczyną hałasu, jaki wnet około tej powieści powstał, był wyrafinowanie efektowny tytuł: „Jena czy Sedan“ — w historyi to nazwy dwóch pól bitwy, jednej nieszczęśliwej, drugiej zwycięskiej dla Niemców, w duszy Niemca to drugie jaśnieje złotemi głoskami, grzmi fanfarą tryumfu nad „dziedzicznym wrogiem“, wzbija się ku niebu szelestem sztandarów, które już, już mają zaszczytnie nad odnowionym tronem Ottonów i Hohenstaufów — gdy przed czterema głoskami napoleońskiego pogromu, czoło Niemca chyli się ku ziemi, nie w pokorze, ale we wstydzie, nie w poddaniu się dopustowi Bożemu, ale we wścieklej złości. Zemsty za Jenę wołał Niemiec więcej, niż przez pół wieku, zemsty nie za klęskę, zadaną ręką wroga, lecz za własne upodlenie i za czasów tej bitwy i za następujących po niej dni. Zemsty wołał, by zatrzeć w sercu wspomnienie tamtej ohydy — i doczekał się zemsty w Sedanie, a upojony własną mocą, sądził, że już tylko Sedany mogą być jego losem, a Jena nigdy się nie powtórzy. Aż oto przychodzi człowiek, nie obcy, ale swój, i śmie pytać: Jena czy Sedan? śmie przypuszczać, że jednak Jena jest możliwą, ta Jena, którą Niemiec z głowy już sobie prawie wybił. Taki napis — zwłaszcza widniejący na barwnej okładce w narodowych kolorach czerwono-biało-czarnym — musiał działać na masy i na tych, którzy w szanownym patryotyzmie uczuli na widok tych słów ból i zaniepokojenie, i na tych, którzy, wietrząc sensację, chcieli zmarniałe nerwy podniecić cudzym kosztem — a jednych i drugich tyłu jest w Niemczech!

Wczytawszy się w książkę, widzi się, że pytajnik, nęcący w jej tytule, jedynie tylko do pełnienia tej właśnie funkcji jest potrzebny; autor bowiem nie zostawia kwestyi otworem, lecz wprost powiada: Jena nie Sedan, klęska nie zwycięstwo czeka Niemcy na wypadek przyszłej wojny. Motywuje to tylko militarnemi argumentami, w czem jest pierwszy zasadniczy błąd jego wywodów, dziwnym zbiegiem okoliczności przez niemiecką krytykę, o ile wiemy, niedostrzeżony. Historia uczy przecież, że Jena nie była skutkiem wad samego tylko wojska pruskiego, a tak samo Sedan i wszystko, co w r. 1870/71 (wszak Sedan jest tylko symbolem całego pasma wypadków) zaszło, nie było zasługą wyłącznie militarną. Ograniczając się więc do jednostronnej argumentacji, w tych granicach Beyerlein jest wprost idealnie wyczerpującym: jego książka jest — *sit venia verbo*—

epopeją dzisiejszego niemieckiego militarysty. Bądź metodą artystyczną, t. j. za pomocą akcji i charakterów romansu, bądź drogą teoretycznych, rezonerskich wywodów, autor odtwarza obecny stan armii niemieckiej w obrębie wszystkich rang i stopni, od najwyższych dowódców aż do prostych szeregowców. Ćwiczenia na podwórzu koszar i wielkie letnie manewry, życie w szkołach wojskowych i w kantynach, wszystko to odtworzone ze ścisłością niekiedy aż męczącą, z mnogością szczegółów aż przygnębiającą. Tylko obraz to smutny, epopeja zamieniona w oskarżenie. Dzisiejszy militarysta niemiecki to — zdaniem Beyerleina — bezduszny i bezcelowy mechanizm, oparty na czezych formułkach i marnych pozorach, zabijający istotną zdolność bojową na rzecz niewolniczej sprawności w paradach i manewrach, które, miasto być szkołą wojny, stały się bezcelowym a olbrzymimi ofiarami w ludziach i mieniu żywiącym się popisem. W dwóch nadewszystko postaciach uwydatnił autor oskarżającą tendencję dzieła: kapitan Güntz, dzielny oficer i znakomity teoretyk w kwestyach artylerii, po długim wahanii występuje ze służby, przekonawszy się dostatecznie o zabójczej szkodliwości dzisiejszego systemu i niemożliwości usunięcia go; szeregowiec Vogt zaś, bardzo porządny i pojętny rekrut, marnuje się, na całe życie dostawszy się do więzienia za postępek, spowodowany wyzywającym zachowaniem się młodego a niemądrego oficera. Pierwszy przykład mniej przekonywa, bo Güntz porzuca oficerstwo dopiero wtedy, gdy pewna fabryka broni ofiarowuje mu daleko korzystniejsze warunki pieniężne; drugi natomiast działa istotnie silnie: tyle głupoty, złości i kaprysu składa się na unieszczęśliwienie biednego rekruta. Myśl występuje tem dobitniej, że ojciec Vogta, dotąd wiernie i gorąco trzymający się stronnictwa konserwatywnego i rządowego, dotknięty krzywdą syna równie namiętnie, w imię socjalistycznych teraz zasad agituje, a tym sposobem militarysta przedstawiony jest jako ojciec socjalizmu. Dodajmy dla dokładności, że w obfitej fabule obok tych dwóch centrów akcji, są jeszcze dwa dalsze: bardzo chybione w osobie porucznika Reimersa, który w intencji autora zabija się, jako druga ofiara dzisiejszego stanu niemieckiego wojska, a w rzeczywistości kończy tak dla tego, że pewna choroba nie pozwala mu ani na dalsze miłości z nieszczęśliwą historyczką a wiarodłomną żoną jego przełożonego, ani na małżeństwo z czystą i uroczą córką pułkownika — i doskonałą, o wybitnym talencie świadcząca, tragedia wachmistrza Heimerta. Ten brutalny, zmysłowy człowiek, oszukujący chorą żonę dla jej zdrowej i silnej siostry, po śmierci tamtej żeniący się z ową dziewczyną, wnet ofiara jej zdrady a morderca jej kochanka, ścigany wizjami aż do strasznego samobójstwa — to opowieść sama przez się wystarczająca do stwo-

zenia romansu, wstrząsająca i niejednokrotnie najwspanialsze wzory skandynawskich i rosyjskich realistów chlubnie przypominająca. Ona jedna dowodzi, że p. Beyerlein (którego zresztą na innym miejscu poznamy, jako autora dramatycznego) ma szczery i niepospolity talent.

Nie mamy kompetencji do oceniania fachowej militarnej strony powieści, która zapewne i niemieckich czytelników nie przekonała, lecz porwała. Tyle śmiemy twierdzić, że wiele z braków, czy wad niemieckiego militarizmu wynika z długoletniego zastoju, jakim pokojowe lata bądź co bądź są dla każdej armii. Ale mniejsza o to, dość, że Beyerlein tę armię swego narodu i państwa bezwzględnie potępił, a ogół tamtejszy akt potępienia w stu tysięcy egzemplarzy zakupił i w ten sposób włączył do... nardońowego archiwum. W pismach fachowych tu i owdzie probowano zbić oskarżenie (np. w broszurce o bardzo rozumnym tytule: *Ani Jena ani Sedan*), z prasy, będącej wykładnikiem popularnych przekonań, nie pojawił się protest. Co więcej, naród niemiecki, jakby rozkochawszy się w oskarżeniu, rozchwytywał inną jeszcze książkę, przeciw dzisiejszemu militaryzmowi niemieckiemu zwróconą, Fryca von der Kyrburg romans: *Z małego garnizonu*. Od dłuższego zastanowienia się nad tą pozycją przeszłorocznej bibliografii uwalnia nas na szczęście rozgłos, jaki ta marna książka osiągnęła na szpaltach dzienników. Z chwilą, gdy przekonano się, że pod pseudonimem o feudalnym brzmieniu ukrywa się oficer w czynnej służbie Bilse, że stosunki, jakie opisuje, odpowiadają rzeczywistości w małym granicznym miasteczku alzackim Forbach, kiedy wreszcie sąd wojenny autora wezwał przed swój trybunał i oczywiście winnym ogłosił — wtedy rzecz ze sfery literackiej przeniosła się całkowicie w dziedzinę dziennikarskiej aktualności. Co prawda, literatury w tej książce było i tak bardzo mało, raczej zupełnie nic, a książka godna jest zapamiętania jedynie jako latorośl, wyrosła na gruncie, który i daleko poważniejsze dzieło Beyerleina wydał. I Bilse — prawda, że bez porównania nieudolniej — przedstawia degenerację militarizmu niemieckiego, jako podniecie socjalnej demokracji, dając jednak zamiast pełnego obrazu, ułamkowy wizerunek zepsucia codziennego życia oficerów i czczości pijackiego środowiska kasynowego.

Obie te powieści w swej oskarżającej tendencji nie są odosobnione, jedynie wstręt przed grzebaniem w obcym śmietniku, powstrzymuje nas od wyliczenia wielu innych powieści niemieckich z r. 1903 — potępiających upadek i zepsucie tego lub owego stanu, szczególnie ze sfery owych „wyższych dziesięciu tysięcy“, które każdym społeczeństwem rządzą. Jeden tylko jeszcze romans należy z szarego tła uwydatnić, tak dla wybitnej, artystycznej wartości, jak i ze względu na to, że zawiera krytykę tyle znaczącego w Niemczech świata pastorskiego.

choć nie dorównał sukcesem, militarnym romansom Beyerleina i Bilsego, był jednak gorliwie i chętnie czytany. To *pastor Klughammer* ogłoszony w r. 1903 przez Wilhelma Hegelera, zajmującego od kilku lat poczesne miejsce w szeregu drugorzędnych powieściopisarzy. Jako powieść, bardzo zajmująca historia o pastora, który, żyjąc od lat dziecinnych w nieprzyjaźni z bratem, zabija go w chwili, gdy ten chce mu zabrać żonę, gruby ów tom cennym jest przede wszystkim, jako ilustracja rozdwojenia, panującego w protestanckiej hierarchii, a pośrednio i w całej religijności Niemiec. Z jednej strony staje surowa, nie znająca zmiłowania, doktryna staro-protestancka, z pojęciem Boga, jako groźnego i nieubłaganego mściciela wszelkich win, a człowieka, jako stworzenia nawskroś zepsutego i zdolnego do poprawy jedynie drogą wyrzeczenia się wszelkiej radości i uciechy tego świata — z drugiej literalny neoprotestantyzm, humanitarny aż do folgowania wszystkim i wszystkiemu, postępowy aż do odrzucania wiary w niektóre dogmaty, dawniej powszechnie przez wyznawców Lutera za przedmiot wiary uważane. Hegeler trzyma stronę liberalnych pastorów, ortodoksyjnym zarzuca kręactwo, intrygowanie i fałsz, niecofający się przed oszczerstwem; lecz bezstronny czytelnik, patrząc na ponurą czarność jednych, nie łatwo wierzy w anielską prawosć drugich, zwłaszcza, że po obu stronach walka o dusze członków gminy przybiera wprost oburzające cechy konkurencyjnego współzawodnictwa handlarzów. Tak więc i stan pastorski, obok wojskowego najwybitniejszy, może w tym kraju najbardziej „niemiecki“, z kampanii r. 1903 nie wyszedł obronną ręką.

*

*

*

Wszędzie zatem tylko duch zatruty narodu niemieckiego, wszędzie obraz zgnilizny moralnej i społecznej, ohyda, obnażana nie wiadomo, czy bardziej w uczuciu oburzenia zgorzkniałego patrioty, czy z wściekłą pasją ptaka, co własne kala gniazdo? Więc w takim razie narody nienawidzące, lub przynajmniej niełubiące Niemców — a do nich chyba wszystkie dzisiaj na całym świecie należą — mogą się cieszyć po cichu, doznawać tego uczucia, które jeden Niemiec tylko wyraził w słowie: *Schadenfreude*? Bo przecież naród spróchniały od stóp do głów może jeszcze jakiś czas świecić fosforycznym blaskiem, ale w przyszłości rozsypie się na proch. Więc tak?

Wniosek byłby pośpiesznym i nieuzasadnionym, a jeśli Niemcom niemiłym, to dla innych ludów gorszym, bo szkodliwym, zważywszy, jak zgubnem jest niedocenie wroga. Od takiej, za uczuciem, nie za rozumem idącej powierzchowności, ustrzeże nas znowu rzut oka na literaturę r. 1903. Tuż po powieści Beyerleina, jako najpopularniejszej, wymieniły zapytane wypożyczalnie książek *Jörn Uhl* Gustawa F re u s s e n a. Nie należy on, ściśle biorąc, do produkcji ubiegłego roku, bo na księgarskie pułki dostał się jeszcze z początkiem r. 1902, a jednak niepodobna go tu milczeniem zbyć dla tego, że jest ogromnie ważnym i aktualnym dokumentem do poznania wzajemnych stosunków literatury i społeczeństwa w Niemczech w r. 1903. Olbrzymie powodzenie, jakie miał zaraz po ogłoszeniu dla mas, jest tem charakterystyczniejszym, że nie krytycy narzucili je społeczeństwu, lecz przeciwnie, ogół dopiero, powieść, przez fachowe koła prawie chłodno przyjętą, powszechnym plebiscytem za narodowe arcydzieło obwieścił; autora, aż do tego czasu skromnego pastora gdzieś w zapadłym kącie Schleswig-Holsteinu, za wielkiego poetę okrzyknął, i rozebrawszy pomiędzy siebie sto pięćdziesiąt tysięcy (!) egzemplarzów, ukochał z „Jörn Uhl'em“ i poprzednie romanse autora, przez ówczesną krytykę całkiem zlekceważone. I dzisiaj niema domu niemieckiego — o ile on istotnie niemieckim jest — gdzieby „Jörn Uhl“ nie był prawie na równi z Biblią czytany. Jasnym więc jest, że ten fakt coś mówi, a zbadać jego znaczenie — oto w tej chwili nasze zadanie.

Książka to duża rozmiarami, ciężka wagą, czasem nawet uciążliwa w czytaniu. Miłośnik kategorii literackich wsunąłby ją w szufladkę t. zw. *Bildungsromane*, przedstawiających rozwój duchowy bohatera od dzieciństwa zazwyczaj aż do starości. Rodzaj ten w Niemczech i rozpowszechniony, i ulubiony, jak przystało na naród *der Dichter und Denker*. *Parcival* średniowiecznego pieśniarza Wolframa von Eschenbach jest jego poetyckim prototypem, Goethego *Wilhelm Meister* zrodził całe pokolenie podobnych, szczególnie w grupie romantyków (Novalis, Tieck i in.), a potem aż do najnowszej doby nigdy ich nie brakło. U nas ich bardzo mało, zapewne dlatego, że nie lubimy skojarzenia się poezji z dydaktycznością, co właśnie Niemcom, z natury bardzo poważnym, podoba się. I taki dydaktyczny *Bildungsroman* o tendencji aż dziwnie patryarchalnej i moralizatorskiej, budzi zachwyt pokolenia, zrodzonego z końcem XIX wieku. Kochaj Boga, wierz w siebie, pracuj niezmiernie — oto słowa z tej książki, w niemiecki świat idące. Jörn (Jerzy) Uhl, holsztyńskie dziecko chłopskie, wzrasta bez matki u boku ojca, marnującego w karczmie mienie, i starszych braci, równie lekkomyślnych. Cichy i wytrwały, zamknięty w sobie, ma ambicyę: chce, jako najmłodszy

z rodzeństwa, a więc bez gruntu, uczyć się w mieście, zostać landrątem. Próba się nie udaje, chłopak dalej nad sobą pracuje, lecz gdy widzi gospodarstwo z winy ojca i braci, chylące się ku ruinie, budzi się w niem pragnienie ratowania rodzinnej schedy: książki idą w ką, czasem tylko ulubiony cyrkiel i luneta zajmują w wolnej chwili parobczaka, który w powszedni dzień od świtu do nocy sam jeden pracuje na roli, przy domu. W wojnie francusko-niemieckiej ranny pod Gravelotte, wraca do domu i dalej pracuje, jeszcze żmudniej, bo hulanki ojca i braci kosztują coraz więcej. Już dom i rola obdłużone ponad wartość, wierzyciel widzi jedynie nadzieję odzyskania pieniędzy w tem, aby Jörn objął całe gospodarstwo, braci precz oddalił, zostawiwszy tylko sparaliżowanego ojca. Uhl pracuje jeszcze bardziej, długi powoli już spłacać zaczyna, żeni się z serdeczną ale ubogą dziewczyną i jest szczęśliwy, całkiem szczęśliwy, gdy zostaje ojcem zdrowego chłopaka. Nagle spada jedno nieszczęście po drugim: żona umiera, plaga myszy polnych niszczy do szczytu zasiewy, a gdy zmiana pogody zaczyna gubić szkodliwe zwierzęta, piorun zapala domostwo Uhla, pali się wszystko, ojciec, wyratowany z ognia, umiera... Jörn znajduje przytułek u krewnego matki. I znowu po latach jest lepiej: Jörn, bezdomny, nie wstydzi się w tym wieku być studentem, studjuje inżynierię, żeni się z panną, którą znał od dzieciństwa, nie śmiejąc jednak patrzeć ku niej, bo ona z wyższej pochodzi sfery. I oboje są szczęśliwi, chociaż ślady przebytych nieszczęść i mozołów widoczne są w surowej powadze Uhla.

Artystyczny sąd wyrazi się o książce Freussena — z drobnymi zastrzeżeniami — jak najpochlebniej. Jest to wspaniała epopeja niemieckiego chłopca z bogatą rozmaitością postaci, od powszednich pijaków wiejskich, aż do mistycznych piastunek, z szeroką skalą nastroju, od szarości codziennego życia aż do łuny morderczej walki dwóch narodów. Wieje tu technienie wsi, technienie świeże i orzeźwiający, a dzięki usunięciu wszelkich religijnych, czy narodowych antagonizmów, technienie sympatyczne i dla obcego czytelnika. Nietylko ludzie tu żyją, żyją i zwierzęta domowe, i drzewa, pachnie ojczysty zagon, nawet płomień, niszczący strzechę, żywym jest i bliskim, w obrazowaniu i stylu naiwny realizm przenika się wzajemnie z mistycznym symbolizmem.

Dla nas, którzy w niemieckiej literaturze szukamy duszy niemieckiego narodu, „Jörn Uhl“ będzie ważnym pouczeniem i przestrogą. Mówi on i jego szalona popularność, że nie cały naród jest tam zepsutym, że są w nim zdrowe pierwiastki niemieckie, ale nie zachłanne, pracowite i pobożne, przedsiębiorcze a nie uparte. Holsztyńską ziemię zamieszkuje Jörn Uhl, bo tam, w tych północnych kra-

nach, zachowała się dawna jędrność i siła narodu, i to zarówno pomiędzy chłopstwem, jak i w sferze pastorskiej i nauczycielskiej inteligencji, wreszcie obywatelstwa wiejskiego, owych junkrów, których opinię pruscy ich bracia tak bardzo w sądzie Europy poniżyli. A przytem, ileż szczegółowych rysów ciekawych dopatrzy się uważny czytelnik. Ot, choćby ten: Jörn Uhl porzuca dziedzictwo przodków, a po latach, doszedłszy do dostatku, patrzy wstecz na dawniejsze uparte trzymanie się rodzinnej gleby, jako na... błąd, tak wyraźnie: błąd. Jakżeż inna jest dusza polskiego chłopala.

W chłopie dzisiaj siła i zdrowie niemieckiego narodu; wieśniak jest dzisiaj jedyną częścią tamtejszego społeczeństwa, nie zarażoną i nie nadpsutą. Znakomity krytyk niemiecki, Adolf Bartels, pisząc o nowszej literaturze, podkreśla, że od r. 1870 ma się w Niemczech niejako dwa społeczeństwa: jedno „nowoczesne“ (modern), złożone z rozmaitych części składowych, przechodzące europejskie choroby kultury i czasu, i drugie, związane jeszcze z Niemcami z przed r. 1870, żyjące po części w skostniałych formach życiowych, lecz w posiadaniu wyratowanych niektórych starych, idealnych dóbr. Dodajmy od siebie, że gdy tamte, pierwsze coraz bardziej rośnie i coraz wstrętniejszy przybiera wygląd, drugie maleje w zakresie t. zw. inteligencji, robi się coraz nieznośniej filisterskiem, ograniczonem, poziomem, ale za to miłym, silnym i zdrowym jest we włościańskim stanie. Sami Niemcy poczynają sobie z tego zdawać sprawę, skąd pochodzi owo umiłowanie wieśniaka, owa „chłopomania“ — że użyjemy utartego u nas wyrażenia — tem tylko różniąca się od polskiej, że, wolna od sentymentalizmu, wypływa z jednej strony z realistycznego *credo*, z drugiej z etyczno-społecznych pobudek. „Chłopomania“ literacka stworzyła obecną „sztukę rodzimą“, w której wielu widzi odrodzenie i poezji, i narodu, spowodowała olbrzymi rozgłos „Jörn Uhla“ i innych powieści Freussena, oraz *Jana Młynarza* (Vom Müller-Hannes) pani Klary Viebig.

Po raz drugi już autorka opowiadań z życia polskich wieśniaków, o których względnej bezstronności mieliśmy już sposobność w „Bibliotece“ mówić, po raz drugi staje w pierwszym szeregu powieściopisarzy: czem w ubiegłym roku dla szerokich kół był „Jan Młynarz“, tem w r. 1900 była *Babska wieś*, świetny produkt realizmu. W ostatniej powieści motyw zasadniczy nowością nie nęci: bogaty chłop, w gruncie rzeczy dobry, czasem nawet aż zanadto dobry, lecz przytem z szaloną pasją popisywania się tem bogactwem i jeszcze gorszym nałogiem pijaństwa. Z tą zadziwiającą plastyką, która jest najistotniejszą cechą jej talentu, autorka przedstawia Jana w kar-

czmie, wśród chłopstwa, które pije na jego koszt, ale też za to głośno go wychwała, a jeszcze gorliwiej wyśmiewa jego wroga, Laufelda, starego sknerę. A jak potem lecą z kieszeni młynarza talary, jeden za drugim, w tłum dzieciaków, ot, tylko dla tego, że Hannesa bawi skłębiona masa ciał i gorączkowa innych gonitwa za groszem, którym on, on jeden, pogardzać może, bo go ma tyle! Wnet jest gorzej: Jan, zdrowa, sękowata natura chłopska, dostaje przypadkiem za żonę miłą, poczciwą, nawet niebrzydka, lecz nad miarę cichą i słabą kobietę. Ona go kocha, ale jeszcze bardziej się go boi, a już o kierowaniu mężem ani myśleć nie śmie. Do tego trzeba nieszczęścia, że zamiast upragnionego syna, rodzi się córka, a potem już długo nic więcej, aż wreszcie syn, lecz syn, w godzinę po urodzeniu martwy... Wnet idzie za nim matka, przedwcześnie zwiędła. Hannes teraz już pije, aby zapomnieć, aby się oszołomić... Robotą we młynie coraz gorzej idzie, bo się nad rzeką usadowili inni, pracowitsi młynarze, i do nich wszyscy ze zbożem idą. I tak zdąża się szybkim krokiem ku katastrofie. Po pulsujących życiem scenach świetności Jana, nie mniej działają wyraziste obrazy jego upadku, haniebnego opuszczenia rodzinnej zagrody, zafantowanej wraz ze wszystkimi sprzętami. A potem następuje uspokojenie. Jan, osłепły w skutek hulaszczego życia, cichnie, lecz żyje w nim dawna miłość młyna. I widzi się go idącego po omacku z nędznej chałupy, będącej jego obecnym mieszkaniem, ku opuszczonemu młynowi; idzie zrazu sam, potem ręką córki prowadzony. W tej zwłaszcza scenie jest tak przejmujący majestat smutku, że nie wiele piękniejszych kart wydała najnowsza powieść niemiecka. Koniec romansu jest bardzo charakterystycznym. Jan i Laufeld, niegdyś rywale i wrogowie, siedzą razem na przyzbie; pogodziło ich nieszczęście, bo wyrodny syn czyha tylko na śmierć ojca i schedę po nim. I w tej chwili budzi się w młynarzu dawna duma, dawna chęć tryumfu nad sknerą: nie pamięta o nędzy, nie martwi się już brakiem syna, tylko wobec tego ojca wyrodnego jedynaka pyszni się, że ma wprawdzie córkę, ale „jaką“!

Tej głębokiej narodowej treści, jaką ma „Jörn Uhl“, powieść pani Viebig nie posiada, równa tamtej jedynie jako utwór artystyczny. Jej wielkie powodzenie dowodzi wspomnianej już powyżej „chłopomanii“ dzisiejszego społeczeństwa, nadto zaś w granicach kwestyi literackich świadczy, w łączności z wieloma innymi zjawiskami, że w Niemczech na całej niemal linii zwyciężył ostatecznie realizm. Z łatwością możnaby wymienić długi szereg innych popularnych w r. 1903 powieści tego samego ducha. Lecz, scharakteryzowawszy jeden egzemplarz tego typu, przejść możemy do innych, roz-

głośnych powieściowych nowości tego okresu, tem się od omawianych dotychczas różniących, że mieszczą się zupełnie w sferze czysto literackich fenomenów.

*

*

*

W ankiecie „Echa Literackiego“ *Listy, które go nie doszły*, zajmowały obok „Jena czy Sedan? i „Jörn Uhla“ pierwsze miejsce wśród książek rozebrananych przez klientów niemieckich wypożyczalni w r. 1903. Być może, że pierwotnie rozgłos w znacznej mierze był skutkiem drażniącej ciekawości, bezmienności tej książki. Dopiero bowiem w parę miesięcy później, jako autorka zdeklarowała się pani baronowa Elżbieta von *Heyking*, wnuczka sławnego romantyka Achima von Arnim, w drugim małżeństwie żona niemieckiego posła dawniej w Pekinie, obecnie w Meksyku, podobno nie pozbawiona talentu malarskiego, a i w poezji sił próbująca, we francuskim zbiorze wierszy „*Fleurs de Lassitude*.“ Z tych wszystkich dat najważniejsze są dwie: pokrewieństwo z romantykiem i małżeństwo z posłem w Chinach rezydującym. Z tych dwóch pierwiastków wypłynęły „*Listy, które go nie doszły*“.

Trzeba mówić ogólnie o „książce“, żadna bowiem inna dokładniejsza nazwa nie byłaby zupełnie słuszną. Ani to powieść, ani opis podróży, ani pamiętnik, ani dzieło polityczne, a zarazem potroszkę ma się tu wszystko, od romansu do polityki. Są to listy, które nie doszły adresata, listy pisane przez jedną osobę do drugiej, przebywającej w Chinach, w czasie pamiętnych wypadków w r. 1900. Powoli, w ciągu korespondencji dowiadujemy się bliższych szczegółów o tych obu osobach. Oto listy pisze kobieta, córka niezamożnych właścicieli ziemi w Marchii Brandenburskiej, wydana dla bytu za mąż za człowieka, o którym tyle tylko się dowiadujemy, że wśród korespondencji umiera w szpitalu obłąkanych. Adresatem listów zaś jest jakiś młody człowiek, żyjący od dłuższego czasu w Chinach i wśród tamtejszej europejskiej kolonii, zażywający słusznie dużego szacunku. Poznali się oboje, ona bowiem podróżowała z bratem, zmuszonym do tego handlowym zawodem, poznali się i przyłgnęli do siebie, chociaż—jak wnosić wolno z tonu listów—do wyznania miłości pomiędzy nimi nie przyszło, a pozornie była to tylko wzajemna przyjaźń, szacunek i pokrewieństwo myśli. On został w Chinach, ona pojechała z bratem do Ameryki; pierwsze listy

wysłała z Vancouver, potem z Nowego-Yorku, a po krótkim pobycie w Europie, w Berlinie i w rodzinnem Garzinie, powtórnie do Ameryki przybywa. Listy datowane są w obrębie roku od sierpnia 1899. do tego samego miesiąca następnego roku, a nie przerywa ich ani jedna odpowiedź adresata. Zrazu sprawia to olbrzymia odległość Chin od Ameryki, potem przyczyną jest zamknięcie cudzoziemców w Pekinie i obleganie ich przez rozszalałą dzicz „bokserów“. Kończy się korespondencya z chwilą, gdy pisząca te listy otrzymuje pewną wiadomość o zamordowaniu jej przyjaciela przez Chińczyków; w ostatnim ustępie jej brat donosi, że siostra rychło potem z żalu umarła, on zaś jej listy leżące długo na poczcie w Szangaju, w obec tego, że adresat zamkniętym był w Pekinie—po pewnem wahaniu oddaje w ręce ogółu.

Oto zewnętrzne kontury osnowy książki. Zważywszy, że od początku i osobisty stosunek tych dwojga osób i ich psychologiczny wizerunek z rozmysłu nie chce i nie może opanować czytelnika (o przyjacielu np. nie wiemy prawie nic), mamy tu niezwykle zjawisko, że punkt ciężkości książki z woli autora leży niejako poza książką, jest w Chinach, o których tylko pośrednio się dowiadujemy. Zjawisko jest niezwykle, prawie nienaturalne i zasadniczo nie można mu oszczędzać zarzutu sztuczności. W praktyce sztuczka nie zawadzi, nawet ona to zapewne książkę tak sławną zrobiła. Czytelnik bowiem właśnie dlatego, że uwagę jego wyzywa nie to, co się z piszącą listy dzieje, lecz to, co z adresatem, daleko będącym, a otoczonym przez to mgłą tajemniczą, czytelnik właśnie dlatego jest w nerwowem napięciu i razem z biedną kobietą sam niecierpliwie oczekuje wiadomości z Chin, razem z nią trwoży się po każdej złej wieści, razem z nią pociesza się każdą lepszą. A że serce czytelnika tak równo drga z sercem piszącej listy, to już nie sztuczka, ale rzetelna sztuka, dowód istotnego talentu autorki książki. Sztuka tem większa, że—jak powiedzieliśmy—ów adresat, jako osobistość jest dla nas ilością niewiadomą, a z drugiej strony losy całej gromadki Europejczyków w Pekinie zamkniętej, są nam przecież doskonale znane z dziennikarskich telegramów gorących miesiący 1900 r.

Na tę sztukę składają się dwa czynniki: poezya i rozum. Pierwsza daje książce prawo do zaliczenia się w poczet utworów literatury pięknej, drugi rozstrzyga o jej niepośledniej politycznej i publicystycznej wartości. Poezyi jest dużo na tych kartach; przepojone nią są te tęskne westchnienia do dalekiego kochanka, te ciche skargi na własną niedolę, te nieśmiałe marzenia promiennej przyszłości u boku ukochanego, te ponure słowa rozpaczy wreszcie po jego stracie. Jak wspaniała jest np. chwila, gdy podróżująca na statku po morzu dale-

kiej północy widzi wysoko na skale olbrzymiego białego niedźwiedzia trzymającego w łapach kości ostatniego zwierzęcia, którego w pustyni znalazł i pożarł. Ogląda się w około, jakby chciał powiedzieć: „Teraz jestem jedynowładczą świata”. Ale oto otwiera się czarna woda i wylania się z niej potwór o cielsku węża, pletwach ryby a czerwonej grzywie konia morskiego, u mokrego pyska wisi mu trawa morska i resztki małych ryb—ostatnie, które jeszcze w morzu znalazł i pożarł. I jego także zielono szkliste ślepia zdają się mówić: „Teraz jestem sam jeden panem świata.” Ale oto spostrzegły się oba: olbrzymi biały niedźwiedź i potwór morski. Pletwy smagają fale, łapy tkwią pazurami w skale. Jeszcze oba są syte, ale już mierzą się wrogimi spojrzzeniami, jako przysze wrogi. Cały świat pozbaWiły ludności i spotykają się teraz w pustyni do ostatniego boju. Ten rozstrzygnie, kto pozostanie panem świata! Kobieta, która to w liście zamieszcza, miała talent malarski; jeżeli tak obrazy malowała, jak je pisała, ludzkość powinna by po niej posiadać arcydzieła!

Rozum niemniej ważnym jest tej książki czynnikiem. Autorka posiada i bystrość i wytrawność sądu. Prawda, że w r. 1903 łatwiej było wydawać sąd o wypadkach r. 1900, niż wtedy oceniać tych ludzi a wypadki przewidzieć, lecz i tak rozproszone po książce spostrzeżenia i uwagi budzą zajęcie i przytakiwanie. Nieopatrzność dyplomatów, lekceważących sobie Chiny i Chińczyków, wyzyskiwanie tamtejszej ludności przez Europejczyków nie tylko chciwych zysku, lecz co gorsze, nie mogących się go doczekać, a nie chcących go w godziwych granicach utrzymać, zbrodnicza spekulacja jednych, a lekkomyślne uganianie się za bezużytecznymi koncesjami innych; obdarowywanie Chińczyków na gwałt wszelkimi istotnymi i rzekomymi zdobyczami cywilizacyi dla egoistycznych interesów europejskiego handlu z jednej strony, a niemądra fikcyja o Chińczyku, jako barbarzyńcy z drugiej—oto spostrzeżenia, nadające książce przewagę politycznego rozumu. One sprawiają, że jeśli wszystkie inne, poprzednio omawiane powieści, nieraz wybitniejsze od tej, należą ostatecznie tylko do niemieckiej literatury, ta ma prawo wstępu do skarbcza wszechświatowego piśmiennictwa.

Międzynarodowa to książka, ale jeszcze nie zupełnie nie niemiecka. Szukając pomiędzy wybitnymi powieściami niemieckimi w r. 1903 takiej, któraby nic z narodowym gruntem nie miała wspólnego, znajdziemy tylko jedną taką, a ta znowu—charakterystycznie!—w spisie ulubieńców popularnych wypożyczalni świeci nieobecnością. Zaszedł tu wprost przeciwny wypadek niż z *Jörn Uhlem* Freussena: tam wezbrana fala ogółu porwała garstkę opierających się mu krytyków, tu naprzóno codzienne, i tygodniowe i miesięczne pisma powta-

rzaly: Henryka Mauna Boginie są arcydziełem. *Miscra plebs* okrzykowi nie zawtórowała. I nic dziwnego, bo w tym trzytomowym romansie niemieckiego ducha jest chyba tyle, co owej scharakteryzowanej przez Bartelsa „nowoczesnej“ części niemieckiego narodu, to jest nic. Wyjawszy krytyków, z natury i ćwiczenia zdolnych pojmować najskrajniejsze przeciwieństwa, nie można sobie pomysleć człowieka ogarniającego równocześnie tą samą serdeczną miłością *Jörn Uhla* i *Boginie*.

A jednak książka ta istotnie godna poznania. Stoi przede wszystkim osobą bohaterki, księżny Violanty Assy. Gdzieś nad Adryatykiem wznosi się stare zamczysko książąt Assy, wywodzących swój ród od północnych bogów Azów. W zamierzchłych czasach protoplastą rodziny był Björn Jeruside, przybyły z północy do pewnego miasta nad morzem liguryjskim. Widząc, że go siłą nie zdobędzie posłał sługi do biskupa z oznajmieniem, że jest przyjacielem, chce się dać ochrzcić i spocząć w grobie w katedrze, bo czuje się śmiertelnie chorym. Chrześcianie uwierzyli mu. Żałobny orszak zaniósł trumnę ze zwłokami do kościoła. Wtedy Björn wyskoczył z trumny, z pod płaszców drużyny błysnęły miecze, rozpoczęła się szalona rzeź łatwowiernych jaguiąt. Ale wódz nie zaznał szczęścia, bo się dowiedział, że miasto, które z ziemią zrównał, nie Rzymem było, ale mizerną Luccą, a on przecież na pogrom Romy z dalekiej Skandynawii wyruszył. W rozpaczę tułał się orężnie po świecie, aż zginął; jak? może pod razami skrytobójców, może wśród świętokradzkiego napadu na jaki kościół, a może przy łupieniu jakiego kurnika lub w rowie przydrożnym lub niewidzialnie przez swych praojców, boskich Azów wniebowzięty? Godni takiego przodka byli potomkowie: nieustraszeni awanturnicy, namiętni kochankowie, mistyczni krzyżowcy, cyniczni swawolnicy. Jeden z nich np. Pierluigi d'Assy prowadził miłosno-dyplomatyczne intryki na dworach w Turynie, Warszawie, Wiedniu i Neapolu. Królowa polska była dla niego łaskawą a on dla niej zgładził ze świata pięciu szlachciców, sam prawie na śmierć porąbany.

Ostatnią z tego rodu jest Violanta. Dzieckiem zostaje żoną starego wuja, po jego śmierci zachowawszy dziedzictwo ma niezliczone miliony. Z niemi, czysta a przemyślna jak bogini Diana, rozbija namioty w stolicy królestwa Dalmacyi, podległej królowi Mikołajowi. Geografia i polityka oczywiście zamiarowo fantastyczna, lecz mimo to w obrazie nawpół barbarzyńskiej ludności tego kraju jest duży zasób obserwacji, widocznie na miejscu, w bałkańskich państwach, ludach i dworach czerpany. Jeszcze więcej podziwu budzi malowniczość i artystyczna plastyka tego tła, z którego w imponują-

cej piękności wykwita, jak egzotyczna roślina księżna Assy. Nudzi się i z nudów lituje się nad dalmatyńcami, chce ich uwolnić od jarzma obcego króla, posługuje się ku temu celowi agitatorek Pavicem, w swej naiwności uważającym się za pana i kierownika księżnej. Fantazyi tego wymyślonego powstania, poświęcony jest pierwszy tom, noszący napis „Diana“. Z masy figur dwie groteskowo wydobywają się z tła: markiz San Bacco, Don Kichote wszelkich rewolucyi nie mogący spokojnie usiedzieć, gdy o „wolności“ jest mowa i Rustschuk, żyd „kilkakrotnie ochrzczony“, przewyborny typ międzynarodowego polityka—finansisty. Powstanie jednak sromotnie marnieje, księżna ledwo z życiem uchodzi, w Wenecyi odtrąca od siebie myśl o politycznem działaniu, rzuca się w objęcia sztuki, w pałacu nad lagunami, gromadzi genialne rzeźby michelangeleskowej artystki Propercyi i—międzynarodowych szarlatanów sztuki i miłości: to „Minerva“, druga część trylogii. W ostatniej: „Venus“, księżna nie znalazłszy szczęścia ani w polityce, ani w sztuce, szuka go w szalonych orgiach miłości, od ognistej namiętności, dochodzącej do bezprzytomnego, nadludzkiego wyuzdania. Olsniewająca jaskrawość kolorytu dwóch pierwszych części, tutaj przemienia się w oszołomające skłębienie się nagich ciał, dyszących nieokiełzanem, a nigdy nie zaspokojonem pragnieniem rozkoszy, przechodzącej wytrzymałość ludzkich nerwów. Koniec tych orgii smutny, niemal za smutny, za cichy i bierny. Księżna leży śmiertelnie chora, wyczerpana niezliczonymi uściskami miłosnemi. Na chwilę przed zgonem, w gorączkowym majaczeniu widzi przed sobą długi korowód przodków... ona, ostatnia z ich rodu, skupiająca w sobie wszystkie ich namiętności, teraz wolna od nich, wyzsza od nich...

I czyż ta powieść mogła dostąpić popularności *Jörn Uhla*? Jak swego czasu *Lucinde* Fryderyka Schlegla lub *Ardinghello* Heinsego—z wielu względów jej literackie prototypy, tak i *Boginie* prócz niemieckiego nazwiska autora, nie mają w sobie ani krzty niemieckości Bucha z nich żar prozaicznych poematów d'Annunzia, a tego romaneskiego poety Niemcy nie rozumieją: zbyt są zdrowi, za mało kulturalni.

*

*

*

W powieści spoczywa „sensacyjność“ literatury niemieckiej w r. 1903. Bo te kilka dzieł omówionych tutaj, to oczywiście zale-

dwie drobna część wybitnych w tym okresie romansów. Gdybyśmy do nich dodali nawet utwory Omptedy, Roseggera, Maryi Ebner-Eschenbach, Gabryeli Reuter i in.—to i wtedy jeszcze nie wyczerpalibyśmy przedmiotu. Lecz nie o to tu przecież chodzi, ale o ogólną charakterystykę, a tej w możliwości granicach dokonaliśmy w sferze literatury powieściowej.

Dzieł dramatycznych z r. 1903—a właściwie z drugiej jego połowy, bo w pierwszej ani jedno znakomitsze nie ukazało się—układać w grupy czy kategorie nie można; owszem, chcąc odtworzyć różnorodność teatralnego sezonu, wypadnie rozmyślnie przeskakiwać z motywu na motyw, zmieniać nastroje i style. Robiąc według znanego niemieckiego przysłowia, „z konieczności cnotę“, w alfabetycznym porządku autorów przedstawimy najwalsze nowości dramatyczne, ciesząc się, że wynika stąd zmienność tonów da wyobrażenie o niejednorodności dzisiejszej literatury dramatycznej w przeciwieństwie do daleko karniejszej powieści.

Na początku spotykamy Franciszka Adama Beyerleina tak dobrze znanego już autora *Jenu czy Sedan*. Czem ta powieść była w swoim rodzaju, tem *Capstrzyk* jest w zakresie dramatu: największym do tej pory sukcesem teatralnym tego okresu. I tu wojskowe środowisko, tylko w dramacie oczywiście nie szeroko, epicznie ale zwięźle i koncentracyjnie pokazane życie koszarowe oficerów, i żołnierzy niemieckich, oraz wzajemne ich stosunki. Tu i tam tendencya oskarżająca: w powieści zmiążdżenie całego systemu militarnego, w dramacie krytyka nieuczciwości i niehonorowości niemieckich oficerów. W obu razach publiczność stanęła po stronie autora, dowodząc tem może, nie konieczności prawdziwości zarzutów, lecz zapewne własnego upodobania w przysłuchiwaniu się takim zarzutom. Wachmistrz Volkhardt, wzorowy, przez wszystkich przełożonych, wyjątkowo ceniony podoficer, ma jedyną córkę Klarcie, dziewczynę piękną i dobrą, tylko nieco lekkomyślną. Nie bacząc na zgubne skutki, utrzymuje ona, uczciwy zresztą stosunek, z porucznikiem von Lauffen, w tych samych koszarach zamieszkałym. Ojciec może to i spostrzeżać, ale naturalnie niema odwagi żądać od porucznika tłumaczenia, tembardziej, że to syn ukochanego niegdyś generała, który mu w wojnie francuskiej życie ocalił. Lecz gdy ze szkoły podoficerów wraca Helbig, jego przybrane dziecko, zakochany po uszy w Klarci, Volkhardt na seryo myśli o pożenieniu młodych. Dziewczyna ani słyszeć o tem nie chce i zamiast do ślubu z Helbigiem idzie na schadzke z Lauffenem. Na to wpada podejrzliwy narzeczony, przychodzi do sprzeczki między podoficerem a porucznikiem, pierwszy otrzymuje cięcie szablą, co gorsza, staje się winnym czynnego porwania się na przełożonego. Przed sądem wojskowym Lauffen i Helbig milczą

o przyczynie zajścia, ten z miłości dla narzeczonej, której czei nie chce z hańbić, tamten z tchórzostwa. Zgłasza się jednak, jako świadek, Klarcia i wyznaje wszystko. Jak się sąd na to zapatruje, nie wiemy, bo autor czysto mechanicznie w tej chwili trzeci akt kończy. W ostatnim Lauffen czuje wyrzuty sumienia: znieśliwił dziewczynę, co gorsza, ojcu jej, wzorowemu żołnierzowi i człowiekowi, taki wstyd na stare lata zadał. Ale co robić dalej? jak naprawić błąd? Ożenić się z Klarcją? Gdyby tu był tylko teść, dałoby się od biedy znieść, ale ewentualność spowinowacenia z jakim kominiarzem... Nie; nie ma o czem myśleć. W tem przychodzi stary Volkhardt i—żąda pojedynku z uwodzicielem córki. Porucznik go nie przyjmuje: oficer przecież z wachmistrzem bić się nie może. Wtedy zhańbiony ojciec, który już w sali sądowej o mało co na Lauffena się nie porwał, mierzy do niego z pistoletu. Lecz w tej chwili ręka mu opada: „Nie mogę! On jest przecież moim porucznikiem! Nie mogę! Znadto jestem tchórzem!” Zamiast uwodziciela, zabija uwiedzioną.

O szalonym powodzeniu zadecydowało owo środowisko i tendencya tak miła w epoce „Małego garnizonu“. Krytyk, wyłącznie artystyczny, zgani kłopotliwe przerwanie trzeciego aktu, w czwartym potknie się o te słowa Volkhardta: „Nie mogę! On jest przecież moim porucznikiem!” Oceniając rzecz z wyłącznie teatralnego punktu widzenia i tej scenie jednak nie odmówi wyrazistości i siły. Może nawet zabawić się w proroka: jak Odoardo (w *Enulin Galotti* Lessinga), Muzykus Miller (w *Intrydze i miłości* Schillera) Meister Anton (w *Maryi Magdalenie* Hebbła)—tak wachmistrz Volkhardt przejdzie do galerii ojców uwiedzionych dziewczyn, a jego słowa długo jeszcze będą powtarzane.¹⁾

Mając na względzie tę literaturę, która niemiecką jest nietylko w swym języku, ale i w charakterze—nie możemy długo zatrzymywać się nad czteroaktową sztuką Ludwika Fuldya p. t. *Novella d' Andrea*, chociaż przypuszczamy przeszczerpienie tego utworu na grunt polskiego teatru. Nie niemiecki to dramat, lecz fuldowski, w ulubionym przez poetę stylu renesansowym, tak wdzięcznie wystę-

¹⁾ Nawiasowo stwierdzamy, że panującej dzisiaj złośliwej passyji ośmieszania Polaków, Beyerlein w obu dziełach: w powieści i dramacie daje folgę: tam najgłupszym rekrutem jest Polak Inosławski, w *Capstrzyku* jeszcze drastyczniejszą rolę odgrywa Wojciech Michałek, forys porucznika Lauffena. Raz psuje to nawet dramatyczny nastrój, mianowicie w scenie sądu, gdzie dziwaczne polsko-niemieckie przesłuchiwanie Michałka musi wywołać wesołość, w tej chwili przez autora bynajmniej nie zamierzoną. *Przyp. aut.*

pującym w poprzednim dziele: „Bliźniaczych siostrach“. Tym razem chodzi o motyw zbliżony do „Nawojki“ p. Stanisława Rossowskiego: dziewczyna, studująca naukę na uniwersytecie w Bolonii. Fulda chciał uniknąć zarzutu, że daje tylko dekoracyjną i kostiumową sztukę i dlatego dążył do pogłębienia osnowy nie bez wpływu wzoru, jaki Grillparzer pozostawił w dramacie o Safonie: Novella d'Andrea, podziwiana dla uczoności, chce także szczęścia, jako kobieta, chce szczęścia w miłości. Ale Giovanni da Sangiungio, aczkolwiek sam też biegły w prawie, kocha nie doktora w spódnicy, lecz rozstrzepaną Bettinę, zwyczajną siostrę niezwyklej Novelli tak, jak niegdyś Faon, przez wielką Safonę pożądaną, tęsknił za skromną jej służebną dziewczką Mellitą. Perypetye tego dramatu, aż do końca bardzo zajmujące, chociaż prawda, że ostatecznie czeze. Przedewszystkiem ten miły, nieposzlakowanie piękny w formie dramat renesansowy, daje wyobrażenie o Fuldzie, nie o literaturze niemieckiej i nie o niemieckim społeczeństwie. Charakterystycznym jest, że powodzenie miał jedynie w Wiedniu, tej stolicy państwa Habsburgów, w ostatnich czasach, tem uparciej powtarzającej: jam niemieckie miasto, im bardziej niemieckim być przestaje.

Niemieckimi natomiast są nawskroś Halbei Hauptmann. Pierwszy przyjaznych w nas uczyć budzić nie może, wszak jego „Młodość“ a bardziej jeszcze „Matka ziemia“, to dowody polonofobii, za którą niczem innem, jak nienawiścią płacić nie można. Lecz nie wyrzekając się tego usposobienia, musimy w poecie uznać jednak ważny dokument do psychologii narodu niemieckiego. W ostatnim dziele, w „Rzece“, spotkamy go na szlakach najżywoźniejszego obecnie kierunku literatury niemieckiej tej „sztuki rodzimej“, która w powieści wydała popularnego w r. 1903 *Jörn Uhla* Freussena i *Jana Młynarza* Klary Viebig. Autor czerpie soki z rodzinnej gleby, wschodnich dzierżaw państwa pruskiego, a roślina tym razem tem zdrowsza, że wykarmiła ją tylko miłość, bez współdziałania nienawiści i jest to pierwszy dramat Halbego, w którym nie ma na szczęście imienia polskiego, niema zatem i polonofobii, chociaż rzecz dzieje się nad polską rzeką. Co więcej, Wisła jest właściwie bohaterką sztuki, pojęta bardzo poetycznie i bardzo głęboko, z tą elementarną poezją i głębią, jaką ma np. u Ibsena morze.

Wisła kocha ludzi, zamieszkujących jej brzegi, ale świadoma swej siły i majestatu, bez litości karze tego, kto jej siłę lekceważy, majestat narusza. W rodzinie Doornów jest od kilku pokoleń piecza nad rzeką, nad jej groblami i tamami, obrona przed jej wylewami i krami. I słusznie: bo domostwo Doornów zbudowane tak, że rozlukany żywioł wodny jemu najprzód straszliwie może się dać

we znaki. Szczęścia w rodzinie Doornów nie ma, starszy Piotr ma wszystko, lecz ma i robaka sumienia za to, że ukrywszy testament ojca, zagarnął całą schedę ojcowską, krzywdząc młodszych braci, oni zaś, Henryk i Jakób, którym ojciec za życia obiecywał dużą część dziedzictwa, teraz pozbawieni schedy, czują krzywdę, tłumią żal do starszego brata. Zwłaszcza Jakób; Henryk bowiem skończył przynajmniej szkoły, jest inżynierem przy regulacji rzek, gdy najmłodszy, nie posyłany do szkół, ma na zawsze być sługą brata. Goryczy dosyć już byłoby. Pomnaża ją kobieta. Renata jest dzisiaj żoną Piotra, niegdyś jednak starał się o nią biedniejszy, co prawda, Henryk, a Jakób w chorobliwych nawpół i nawpół dziecinnych marzeniach także o niej myśli. Renata nie zna radości: miała dzieci, Wisła je zabrała. Jak się to stało, nie wie ani ona, ani mąż; Piotr mówi, że rzeka wyciągnęła po nie mściwe ręce, w dzieciach karząc go za krzywdy jej zadane przez zbudowanie tam i grobli, za krzywdy braciom zadane przez zagarnięcie całej schedy. Renata o tem nie wiedziała, aż Piotr złamany ciosem, aby sobie ulżyć, wyznał jej zbrodnię, obciążając jej sumienie współwiną w tajemnicy.

Z tych czynników, tak żywo przypominających skandynawskiego mistrza, lecz w opracowaniu zupełnie indywidualnych, buduje Halbe dramat. Jego szczegóły, mógłby jedynie bardzo drobiazgowy rozbiór odsłonić, a na to miejsca tu nie starczy. Trzeba się ograniczyć do podania po scharakteryzowaniu początku—końca tragedyi. Wytwarza się ona w chwili, gdy młodszy bracia dowiadują się o zatajeniu testamentu; cicha dotychczas walka pomiędzy nimi, a krzywdzi-
cielem wybucha z żywiołową potęgą, której wtóruje zgroza oczekiwane-
nego niechybnie wylewu Wisły, pod parciem lutowych zatorów. Jakób walczy z Piotrem do upadłego, rozrywa tamę, aby rozhukaną rzekę puścić na rolę, bezprawnie przez brata posiadaną. Starszy brat spieszy bronić mienia, a w dramatycznej walce giną obaj. Zostaje tylko Renata i Henryk. Ich końcowy dyalog jest bardzo charakterystyczny.

H e n r y k. Piotr padł za nas wszystkich Renato! Piotr ocalał tamę i ziemię.

R e n a t a (cicho). A Jakób?

H e n r y k. On był ofiarą! Kto ma odwagę ogłosić go winnym?

R e n a t a, złamana, cicho łka.

Katastrofa wspaniała, o ile dotyczy Piotra i Jakóba, nie zadowala odnośnie do Renaty i Henryka. Poza osłoną głębokich rezultatów, kryje się cześć nic nie mówiącego frazesu. Lecz jeśli krytyka

artystyczna wytknąć musi nieudolność autora, w rozwiązaniu postawionego po ibsenowsku zasadniczego problemu, to nam dramat Halbego znowu część niemieckiej duszy odsłania. A podobną cenę ma także i najnowszy utwór Hauptmanna *Róża Bernd*¹⁾. Ziemię nad Wisłą i Łabą zastępuje tutaj rodzinny Śląsk, a akcja i charakterystyka wybitnych postaci dostarcza wielu przyczynków do poznania tamtejszego ludu niemieckiego. Szczególnie religijne wierzenia i usposobienie protestanckiej ludności, kontrast liberalnych i cyników z pietystami i pobożniami, narysowuje się bardzo dokładnie. Po za tem i środowiskiem śląskim i wykonaniem, *Róża Bernd* łączy się z dawniejszym *Woźnicą Henschlem*, z całego już dość długiego szeregu hauptmanowskich dramatów niewątpliwie najbardziej stylowym, bo najkonsekwentniejszym w obranym przez siebie stylu. Podobieństwo sięga nawet szczegółowych motywów. Jak woźnica, mając żonę schorzałą, wystawiony był na pokusy, widząc w domu zdrową dziewczkę i ostatecznie rychło po śmierci tamtej z Hanną się ożenił, tak w pierwszej scenie ostatniego dramatu widzimy Krzysztofa Flamma, żonatego z chorą i cichą kobietą, pokryjomu utrzymującego stosunek ze zdrową i silną Różą, ubogą dziewczyną. Że tak nie godzi się postępować, że ta zdrada małżeńska jest złem, o tem ani Flamm, ani autor jednem słowem nie wspominają. Miłość zmysłowa pojęta jako prawo natury. Dobrze, ale przykrym a zupełnie niepotrzebnym jest dodatek, przypominający niedostrzegany, co prawda, dla wielu szczegółów z *Hamsi*, gdzie poeta rzuca podejrzenie na niebieszczkę Matternową, jakoby biedne dziecko było owocem jej miłości po za małżeństwem i nie z mężem. Tutaj nieraz mówi się o tem, że Róża była serdeczną towarzyszką jedyne go dziecka Flammów, ku ogromnej boleści obojga rodziców przedwcześnie zmarłego: ile razy pan lub pani Flamm spojrzą na nią, przypominają sobie Kurta. Skombinujmy to z erotycznym, czysto zmysłowym stosunkiem Flamma i Róży, a otrzymamy moment nieznośny i to wynikły nie z konieczności, lecz poprostu z pseudo-naturalistycznego kaprysu poety.

1) Ponadto w styczniowym zeszycie z r. 1904, lecz jeszcze w połowie grudnia 1903, ogłoszonym, odmłodzonego miesięcznika *Die neue Rundschau*, znajduje się niesłychanie ciekawy fragment dramatycznego poematu Hauptmanna p. t.: *Pieśń pasterzów*, z r. 1898, z owych czasów wahań się duszy poety, których wyrazem był współczesny *Zatopiony dzwon*. Jako nienależącego do literatury r. 1903, nie możemy tego auto-psychicznego poematu tutaj rozbierać, polecamy go jednak wszystkim, pragnącym wnikać w dzieje rozwoju duszy Hauptmanna. (P. a.).

Razi to tem bardziej, że zresztą *Róża*, jak *Woźnica*, jest paradigmatem czystego realizmu. Stąd pochodzi zwięzłość i prostota akcji. Oto jej zrab: Kochając Flamma, dziewczyna musi się bronić przed natarczywością mechanika Streckmanna, łakomego na każdą ładną kobietę, i przed cichemi, nieśmiałymi konkurami Augusta Keila, pracowitego i zamożnego introligatora, przez starego Bernda popieranego: obaj bowiem w żarliwej pobożności i zelotyzmie protestanckim przypadają sobie do smaku. Podły Streckmann, podpatrzywszy schadzkę Róży i Flamma, grozi, że zdradzi ją przed ojcem i narzeczonym, chyba, że dziewczyna swem ciałem za milczenie zapłaci. Róża zrozpaczona oddaje mu się, a potem, nękana okropnymi myślami, przyspiesza małżeństwo z Keilem, byle znaleźć spokój. Zanim to jednak stać się może, tryumfujący Streckmann w sprzeczce z Augustem i starym Berndem chełpi się z powodzenia u kobiet, rzuca na Różę podejrzenie, w bójkę wybijając introligatorowi oko. Proces—nie o uszkodzenie ciała, bo pokorny August przebacza, ale o oszczerstwo, bo stary Bernd niesławny nie znosi. Przed sądem Róża krzywoprzysięga, że Streckmann kłamie (choć, jak twierdzą niemieccy prawnicy, samo dopuszczenie jej do przysięgi jest w tym wypadku przepisami kodeksu zabronionem i niedopuszczalnym), wnet jednak wina jej wychodzi na jaw, wszyscy ją przyznają, nawet Flamm dotknięty tem, że nietylko jemu się oddała. Rodzi się dziecko—czyje? Flamma czy Streckmanna? niewiadomo — które zrozpaczona matka dusi, a potem w szaleństwie żandarmowi się wydaje. Ojciec przeklina ją, tylko Keil ma słowa litości: „Ta dziewczyna, co ona musiała przecierpieć“... Koniec trochę melodramatyczny, lecz bardzo rozumnie chroniący poetę przed zarzutem tendencyjności: wyśmiewany i niesympatycznie nakreślony zelant Keil nie ciska kamieni na nieszczęśliwą, jak towarzyszył jego modłów, stary Bernd, ale ma dla niej wyrozumienie i przebaczenie na równi z panią Flamm, żyjącą etyką, nie katechizmem ¹⁾.

¹⁾ Firma dr J. Marchlewski i S-ka, o której wydawnictwach na innym miejscu obszerniej mówimy, wydała *Różę Bernd*, w polskim przekładzie Jana Kasprowicza. Tłómaczenie wierne, bardzo polskie (z jednym wyjątkiem rażącego germanizmu), język jędrny, niekiedy tylko w wyrażeniach zbyt drastyczny i brutalny. Sztuka w Krakowie, mimo na ogół dobrej gry, miała powodzenie tylko w skromnych granicach dla tego właśnie, że jest tak bardzo niemiecko-protestancką w osnowie, realistyczną (nie efektownie naturalistyczną!) w stylu.

Alfabetyczny porządek autorów do realistycznego dramatu, głęboko w niemieckim i protestanckim gruncie tkwiącego, *Róży Bernd* przybliży sztukę, przenoszącą czytelnika i widza w zamierzchłą przeszłość, do obcego kraju. A jednak *Elektrze* Hugona von Hofmannsthal'a musi się przyznać nietylko indywidualny walor, jak było np. z *Boginiami* Henryka Mauna. Owszem, jest to może jedyne wybitne dzieło niemieckiej literatury pięknej z r. 1903, którego przeszczepienie na polski grunt nie napotkałoby na żadne inne przeszkody, po nad te, z którymi ma do walczenia w ojczyźnie poety. *Elektra* owa ma znaczenie ani nie narodowo-niemieckie, ani nie indywidualistyczne, lecz międzynarodowe, ogólnie światowe, bo jest objawem prądu słabego może i przez wielu wprost ignorowanego, niemniej jednak istniejącego tak dobrze w Niemczech, jak we Francji, jak wreszcie w Polsce. Przypadek zdarzył, że właśnie polska poezja wydała niemal równocześnie z *Elektrą* Hofmannsthal'a dzieło tego samego ducha i stylu: *Achilleis* Stanisława Wyspiańskiego. Oba utwory są symptomami renesansu, któremu chronologicznie — po humanizmie i po epoce Winkelmanna — należy się numer trzeci, a duchowo przydomkiem... historycznego. Sofokles stopiony z poetyczną, ale chorobliwą romantyką Henryka Kleista (*Kasia z Heilbrunn i Pentheslea*) z mistyczną nastrojowością dawniejszego Maeterlincka, z rozhukaną żywiołowością duszy zamkniętej w dekadenskiem cieple u d'Annunzia (*Umarle miasto*), wreszcie z suggestyjnym czarem mowy Hofmannsthal'a — oto jego *Elektra*, w Berlinie podobno cudownie w tytułowej roli grana, w czytaniu niemniej dziwacznie piękna, jak np. Wyspiańskiego ilustracye do pierwszej księgi *Iliady*.

Sztuka oczywiście poklasku mas nie zyskała, ale poeta też zapewne nie pragnie ich, nie dba o nie. Za to przypuszczam, że ponowna klęska, jaka dotknęła Hermanna Sudermanna, była dla niego przykrą niespodzianką. Gdyby tu chodziło tylko o zepchnięty z repertuaru po kilku przedstawieniach dramat, nie mielibyśmy wcale powodu urządzać mu pogrzebu w polskiem piśmie. Lecz przyczyny klęski są tak ciekawe, tak wiele o usposobieniu dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego mówią!

Przedewszystkiem matematycznym jest pewnikiem, że jeśli kiedy, to w r. 1903 właśnie Sudermann chciał zwycięstwa. Z końcem poprzedniego roku stoczył ową sławną batalię z niemieckimi krytykami, wykazując im czarno na białem, jakiemu „zdziczeniu“ ulegli. Argumentów użył dużo, lecz ostatecznie ten jeden tylko szedł mu z serca i przekonania: niemiecka krytyka teatralna zwyrodniała, bo

kilka ostatnich moich dramatów zganiała. Zaczepieni odpowiedzieli z niejsca: ależ te dramaty były liche. Po takiej wymianie zdań Sudermann miał dwie drogi na przyszłość: albo nie pisać odtąd nic, albo lepiej napisać dramat, któryby i publiczność i, co ważniejsza, owa krytyka, za dobry uznać musiała. Trzeba więc popłynąć raz z prądem, dać coś, co drastycznie mówiąc, będzie wyjęte z ust publiczności i ogółu. I dał *Przewrotowca Sokratesa*, dał satyrę na zbankrutowany liberalizm, wiedząc, że dzisiaj szyderstwo na ten temat popłaca, dał je w okraszeniu motywów i dowcipów z *Simplicissimusa*, tego popularnego monachijskiego czasopisma humorystycznego. Przerachował się...

Gdzieś w małej mieścinie, na dalekim wschodzie państwa niemieckiego, żyją niedobitki wolnomyślnych bojowników r. 1848, trzymających wysoko spłowiały sztandar ówczesnego liberalizmu, przez związkowe rządy prześladowanego i zwalczanego. Żyją w śmiesznej uludzie, że są niebezpiecznymi dla panującego stanu rzeczy, rewoltowcami, którym należy gromadzić się w tajemnicy przed landratem i każdej chwili być gotowym do męczeństwa. Środowisko znakomicie zaobserwowane, o komizmie nie pozbawionym głębszego podkładu. Dotąd więc jest wszystko dobrze. Ale w kreacyi naczelnika tego oczywiście dobrodusznie przez rozumniejszą władzę tolerowanego, rzekomo „tajnego związku, w postaci t. zw. rewoltowcy Sokratesa“, dentysty Alberta Hartmeyera, autor nie stanął na wysokości zadania, bo nie umiał, czy nie chciał, zdać sobie jasno sprawy z tego, jakim ma być ten nowoczesny Don Quichote. Smutnym czy śmiesznym, tragicznym czy komicznym, czy i tym i tamnym potrosze? Otóż u Sudermanna jest wahanie się, nie jednolitość lub synteza, prawie tchórzliwe oglądanie się na wszystkie strony po zebranych widzach, by i tym się przypodobać i tamnym nie narazić. W kłopotcie, autor ucieka się do trywialności; trywialnym jest np. cały „konflikt“: Albert Hartmeyer ma syna, również dentystę, ale lepiej z nowszą techniką wrywania zębów oznajomionego, a więc ku zgorzeniu ojca liczniejszą klientelą pacjentów obdarzonego. Prawda, jakie to wzniosłe? Ale to nic wobec ostatecznego konfliktu: stary Hartmeyer dotknięty jest do żywego w swych przekonaniach, bo syn jego przyjął wezwanie do dworu książęcego, gdzie ma wyrwać ząb... psu, czego stary naturalnie nie mógł zrobić, nie chcąc zadać kłamu szczytnym republikańskim i liberalnym zasadom z r. 1848! Prawda, jakie to wzniosłe? A gdy landrat w końcu zirytowany przystępuje do rozwiązania „tajnego“ klubu, jeden z jego członków ukrywa archiwum, gdzie? w łóżku kelnerki, którą wszyscy „rewoltowcy“ wieczorami

i nieco później odwiedzali... zapewne, by i niemieckie „dziewice“ jednać dla świętej sprawy. Prawda, jakie to zabawne?! Najzabawniejszem, co prawda, jest niepowodzenie tego dramatu. Niewątpliwie znaczną jego część trzeba przyjąć na rachunek artystycznych niedomagań utworu, lecz śmiemy twierdzić, że publiczność odepchnęła rzecz, kierując się instynktowo, czy świadomie i innymi, narodowo-politycznymi pobudkami. Oto Sudermann przerachował się, sądząc, że już można drwić w Niemczech z liberalizmu. Trupem on, ale jeszcze niepogrzebanym, jeszcze niezapomnianym, drwić można z niego po cichu, nie głośno i publicznie. *Et hoc meminisse juvabit.*

Simplicissimus zbałamucił Sudermana i na nic się potem biednemu autorowi nie przydało wypieranie się w broszurce chęci ośmieszenia ideałów r. 1848. Z obozu głośnego monachijskiego pisma humorystycznego wyszedł jednak cały poczet ogromnie popularnych pisarzy. Załujemy, że Ludwik Thoma w r. 1903 nie wystawił żadnego dramatu, bo byłaby sposobność pomówienia o najwierniejszym przedstawicielu tego typu. Mamy za to Franka Wedekinda, bez wątpienia jednego z najbardziej indywidualnych pisarzy obecnej doby. Wobec tego, że chociaż w r. 1903 przedstawiono kilka jego dramatów (*Markiz von Keith, Erdgeist, Takiem jest życie, Puszka Pandory*), żaden z nich tego roku po raz pierwszy w druku się nie ukazał; ze względu zresztą, że przy Wedekindzie nie o poszczególne jego dzieła, lecz o indywidualność autora chodzi—jej tylko kilka słów poświęcimy.

Nie łatwo jednak pisać o Wedekindzie, bo ma się tu do czynienia z tysiącem niejednokrotnie sprzecznych pierwiastków. W samej już formie i technice dramatycznej, reminiscencye z czasów niedołęstwa sztuki teatralnej, z okresu szopek i maryouetek, łączą się tu dziwacznie z wykwittem, niemal przerafinowanym modernizmem; olśniewająca błyskotliwość i zręczność w prowadzeniu akcji z rozczulającą naiwnością, czy karygodną nieudolnością. A w treści? niepełny anarchizm ducha, cynizm czy *moral insanity*, z patryarchalnością na wpół filisterską, na wpół szanową i — czystą.

*

*

*

Lecz, przeszedłszy w ten sposób najwybitniejsze zjawiska literackie r. 1903 z zakresu powieści i dramatu, słyszymy zwrócone do sprawozdawcy pytanie: a gdzie poezya? czyżby jej wcale w r. 1903 nie było? Naturalnie, że była. Falke, Liliencron i Dehmel, ta trójca najznakomitszych obecnie poetów, tworzyła wiersze, jak w poprzednich latach, z drugiego szeregu miły Hugo Salus, nieobliczalny Arno Holz, gromadzili koło siebie garstkę słuchaczy, lecz głośniejszem było jedno tylko dzieło: Ryszarda Dehmela *Dwoje ludzi*, romans w romanzach! Autor, przywódca prawdziwej, nie pozującej na ten epitet schyłkowej liryki niemieckiej, stworzył tu dzieło, które odrzucić można, lecz zlekceważyć nie podobna. Fabuła banalna, jakby umyślnie zaczerpnięta z literatury pokojówek: Luz wykrada jakiegoś księciu Leę, czy też ucieka z nią nawet i kradzieży aktów nie zapominając. To punkt wyjścia erotyków, dziwnie dwoma szlakami idących: rozbujalej zmysłowości, przypominający kult Pryapa w starożytności, i męczącej, w przepastnych głębiach się nurzającej, po niebotycznych szczytach bujającej myśli. Słusznie cytowano przy tem dziele i Rodina i Sâr Péladana... Koniec: zlanie się uczucia miłości z ukochaniem świata, zidentyfikowanie „ja“ z wszechświatem, daje książce prawo do nazwy wszechludzkiego poematu. W formie znowu nęcące pomieszanie trywialności z mistycyzmem.

*

*

*

Od czasów Goethego i romantyków literatura niemiecka była zbiornikiem, w którym się gromadziło wszystko, co Europa wydaje godnego przekładu na obcy język. I dziś tak jest, mimo że w innych dziedzinach życia narodowego Niemcy tak są jednostronni i zachłanni. Nikt nie zaprzeczy, że droga do sławy literackiej obecnie przez Niemcy przechodzi, przypominamy np. fakty z najnowszych dziejów: Niemcy zrobili popularnym Multatuli'ego, Bernarda Shawa, drogą na Berlin szedł także Gorki na sceny europejskie.

Rok 1903 i tutaj się zaznaczył: z rosyjskich pisarzy i dzieł Gorkiego *Schronisko nocne*, Andrejewa nazwisko, dzięki Niemcom, dostały rozgłosu. Z innych narodów w owym okresie czasu, przede wszystkim Oskarem Wilde'm zaopiekowali się Niemcy, jego dramatami *Salome* i *Kobieta bez znaczenia*, jego nowelistyczną książką *Drzewo granatowe*. Niemcom przypisać należy sławę *Listów miłosnych angielskiego dziewczęcia*, anonimowej książki, w Anglii. będącej wprost sensacją, u nas, niestety, zupełnie nieznaną.

Szczególnie jednak obchodzi nas stanowisko, jakie literatura polska zajęła w Niemczech w r. 1903. Wyniki badań są bardzo zajmujące i dowodzą, że hakatyzm żyje równocześnie z ciekawością do polskiej literatury. Berlińska firma Ottona Jankego, dzierżąca prym w wydawaniu polakożerczych romansów, zarazem najwięcej przyczynia się do spopularyzowania w Niemczech, w tanich książkach, Sienkiewicza, nawet *Krzyżaków*. A oto spis autorów polskich, których powieści i nowele ukazały się w r. 1903 w niemieckim tłumaczeniu (nb. uwzględniamy tu jedynie książki, nie czasopisma): Dygasiński, Jeske-Choiński, Konopnicka, Neuwert-Nowaczyński, Orzeszkowa, Przybyszewski, Rodziewiczówna, Sienkiewicz, Sieroszewski, Szymański, Tetmajer, Weyszenhoff, Żeromski. Spis dość długi i ostatecznie nie tak źle wybrany. Z zestawienia różnych dat wnioskujemy, że największem powodzeniem cieszą się w Niemczech powieści historyczne polskie i z zakresu t. z. „sztuki rodzimej“, a pozwalały sobie tłumaczom przede wszystkim te ostatnie zalecić (np. *Anastazyja Orzeszkowej* stanowczo miałyby w Niemczech powodzenie). „Modernizm“ polski Niemcom jakoś nie imponuje, np. Przybyszewskiego cztery dramaty pod ogólnym tytułem: *Taniec miłości i śmierci*, przeszły w niemieckim przekładzie prawie niepostrzeżenie. Jako *curiosum* notujemy, że jedyną polską premierą w niemieckich teatrach w r. 1903, która doszła do naszej wiadomości, była... jednoaktówka Michała Bałuckiego: *Von der Käthe* (czy to *O Józief?*), odegrana 17 grudnia w Norymberdze, lecz bez powodzenia.

Rok 1903 w sferze polsko-niemieckich stosunków literackich pod pewnym względem stanowić będzie epokę. Powstała w Monachium poważna firma nakładowa: „Dr J. Marchlewski i S-ka“, przez umiejętnego Polaka kierowana, nietylko daje gwarancję starannego wyboru autorów i tłumaczy (wydała dotąd Dygasińskiego, Sieroszewskiego, Szymańskiego i Żeromskiego), lecz w braku konwencji literackiej pomiędzy Rosją a innymi państwami, zabezpiecza materialne prawa polskich pisarzy poddanych rosyjskich, wydając ich dzieła

w pierwszych wydaniach, którym w ten sposób udziela ochrony niemieckiego kodeksu.

Tak więc, jeśli w przyszłość literatury niemieckiej patrzeć będziemy z ciekawością, co przyniesie, to o losy polskiej literatury w Niemczech spokojniejsi dziś możemy być, niż kiedykolwiek.

DR JÓZEF FLACH.

S E N.

I.

Pierwsze próby wytlómaczenia snu na podstawie fizyologicznej podjęte zostały dopiero w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Przedtem zajmowano się niemal wyłącznie marzeniami sennymi, które dzięki swej tajemniczości już w czasach najdawniejszych podniecały ciekawość i wyobraźnię ludzką i dla umysłów niekrytycznych do dziś dnia stanowią niewyczerpane źródło fantastycznych baśni i przesądów. Naiwna psychologia ludów pierwotnych i dzikich w widziadłach sennych upatrywała wydarzenia życia rzeczywistego, przypisywała wartość realną przedmiotom i istotom wyśnionym. Jako następstwo tej wiary prostaczej, niezbędne dla pogodzenia sprzeczności, psychologia ta przyjęła musiała połączenie w człowieku dwóch istot różnych i niezależnych od siebie. Podczas snu jedna istota pozostaje w spoczynku, druga oddala się, przedsięwzię dalekie wędrówki, walczy z dzikimi zwierzętami i nieprzyjaciółmi, wreszcie w chwili obudzenia powraca do ciała śpiącego. Mieszkańcy Nowej Zelandyi utrzymują, że we śnie duch opuszcza ciało, że sny są to przedmioty, widziane przezeń w czasie wędrówek. Ten sam pogląd spotykamy wśród Indyan północno-amerykańskich, Grenlandczyków, Karenów, Tagalów, Dajaków i wielu innych plemion, stojących na niższych szczeblach kultury. Malajczycy nie budzą śpiącego z obawy, żeby nie zaszkodził ciału, opuszczonemu przez ducha. Możemy zatem przypuszczać, że pierwotny realistyczny sposób pojmowania marzeń i widziadł sennych narzucił człowiekowi pojęcie duszy niezależnej od ciała, przybranej jednak w umyśle dzikiego w grubą szatę materyalizmu. W następstwie teorya ta, wsparta na oddziaływaniu innych doświadczeń życiowych, staje się materialem, z którego wyrastają wierzenia religijne, wiara w życie pozagrobowe, w nieśmiertelność duszy (Tylor).

Obok wiary w rzeczywistość marzeń sennych, zaznacza się wyraźna dążność do symbolicznego ich pojmowania. Sny uważane są

jako znaki, zsyłane przez zmarłych dawniej przodków, bogów, demonów, geniuszów, którzy czuwają nad losami ludzi, udzielają śpiącym wskazówek, ostrzegają przed grożącym im niebezpieczeństwem, zachęcają do spełnienia tych lub innych czynów. Yrokezi w postępowaniu życiowym stosują się do nakazów, otrzymywanych we śnie. Malagasi zachowują się z religijną czcią względem snów, uważając je za objawienie dobrego demona. Podobne wierzenia widzimy wśród Kafrów, Tahityjczyków, Zulusów ¹⁾. Wiara w symboliczne i prorocze znaczenie marzeń sennych wspólną jest prawie wszystkim narodom starożytnym: Egipcyanom, Persom, Chaldejom i Żydom. Zoroaster, pisząc Zend-Avesta, znajdował się pod wpływem natchnienia, zesłanego we śnie. Historia Starego Testamentu świadczy, że Pan Bóg ukazywał się w czasie snu ludziom, przez Siebie wybranym, rozmawiał z nimi i pouczał, co mają czynić. Znane są wszystkim symboliczne sny Jakóba, Józefa, Faraona.

Tego rodzaju pojęcia, przystosowane do ogólnego charakteru wierzeń religijnych, odnajdujemy również w świecie klasycznym. W starożytnej Grecji wznoszono do Merkurego modły z prośbą o zsyłanie snów dobrych, szczęśliwych. W świątyniach Isis i Serapis proszono bogów o współczucie i litość, jeżeli sen przykry zwiastował nieszczęście. Nie dziw więc, że, wobec rozpowszechnionej wiary w oddziaływanie snów na życie ludzkie, zawodowi ich tłumacze (*ὄνειρόπολοι*, *ὄνειρόσκοποι*) cieszyli się wielką popularnością i poważaniem wśród wszystkich warstw społeczeństwa greckiego. Zabobonne wierzenia, głęboko zakorzenione wśród gminu, znalazły oddźwięk w poezji i filozofii. W legendach Homera bohaterowie czerpią pobudki do czynów w marzeniach sennych, przez Zeusa zsyłanych. Takim jest sen Agamemnona w drugiej księdze Iliady. Bogini Atena ukazuje się śpiącemu Telemakowi i nakazuje powrót pod strzechę rodzinną (Odysseja). Poeta Hezjod nazywa sny dziećmi nocy, zamieszkującymi ponure otchłanie państwa podziemnego, Eurypides—synami ziemi i czarno uskrzydłonymi duchami.

Nawet filozofia nie zdołała rozwiać tej mgły tajemniczości i mistycyzmu, w jaką sen został spowity w poezji i wierzeniach gminu. Porphyriusz uważa sen, jako dzieło dobrego geniusza, który odsłania ludziom tajemnicze i nienawistne zamiary złych duchów. Pythagoras przypisuje marzenia senne oddziaływaniu unoszących się w powietrzu duchów i geniuszów. Zbliżone pojęcia, różniące się tylko

¹⁾ Herbert Spencer: Zasady socjologii, tłum. Potocki. Warszawa, 1889. Tom I, str. 131.

w szczegółach, znajdujemy u Heraklita, Diogenesa z Apolonii, Stoików, w pewnym również stopniu u Sokratesa i Platona. Nawet Arystoteles nie zdołał wyzwolić się z pęt mistycyzmu, jakkolwiek pierwszy z filozofów greckich usiłował wytoczyć mu walkę. Mimo odrzucenia wielu przesądów i baśni, mimo krytycznego oświecenia pewnych faktów, uznał w powstawaniu marzeń sennych pierwiastek boskości. Najsłynniejszy lekarz starożytności Hippokrates, który w pismach swoich pozostawił wiele trafnych spostrzeżeń i uwag o zachowaniu się ustroju ludzkiego w czasie snu, sądził również, że marzenia senne pochodzą od bogów ¹⁾.

Rzymianie, jak świadczą ich poezya, literatura, historia, byli pod tym względem wyznawcami pojęć, przekazanych im w spuściznie przez Greków. Sny, uważane początkowo, jako wskazówki istot wyższych, nadziemskich, kierowały czynami wybitnych działaczy politycznych. Znakomity lekarz rzymski, Galen (ur. 131 r. po Chr.), mimo rozległej wiedzy i olbrzymich zasług na polu medycyny, wierzył w znaczenie snów symboliczne i prorocze. I wiara ta przetrwała niemal do połowy XIX stulecia. Odnajdujemy ją w Historii Nowego Testamentu, w pismach ojców Kościoła, w dziełach znakomych lekarzy, myślicieli i filozofów. Paracelsus, słynny lekarz czasów średniowiecznych (ur. w r. 1493), wypowiada pogląd mistyczny, że w czasie snu nadziemską część duszy, żadna wrażeń nowych i podniosłych, wznosi się ku gwiazdom.

Rzecz jasna, że w miarę ewolucyi umysłowej, forma tych poglądów ulega zmianie pod wpływem innych kierunków myśli ludzkiej, kształtuje się odpowiednio do uznawanego w pewnej chwili ogólnego światopoglądu. Oddziaływanie bogów, geniuszów, demonów, aniołów, nawet Boga, pojmowanego w duchu chrześcijaństwa, stopniowo odpada. Natomiast wyłaniają się spekulacye teoretyczne, które wyrastają na gruncie panujących w różnych czasach systematów filozoficznych. Na dnie tych spekulacyj kryje się jednak wiara, będąca echem z ubiegłej przeszłości. Jest nią trudne do zwalczenia przekonanie wewnętrzne, że dusza ludzka jest siedliskiem sił utajonych, głęboko ukrytych, posiadających jakąś moc nadprzyrodzoną. Siły te, skrupowane więzami ciała, ujawniają swoją moc i potęgę w czasie snu, będącego wyzwoleniem ich stanu czynnego. Wówczas występu-

¹⁾ Szczegółowy wykład poglądów na sen znajdzie czytelnik w dziele Paul'a Radestock'a: *Schlaf und Traum*. Leipzig, 1879 i R. Pfaff'a: *Das Traumleben und seine Deutung nach den Principien der Araber, Perser, Griechen, Inder und Aegypter*. Leipzig, 1868.

ją na widownię zjawiska, które zdają się naigrawać ze świadectwa zmysłów i zdrowego rozsądku. Jeszcze w XIX wieku Schelling, znany idealista-filozof głosi, że podczas snu duch ludzki wyzwala się z więzów cielesnych i w marzeniach sennych odsłania treść swojej istoty wewnętrznej. W stanie tym dusza nabywa zdolności odgadywania rzeczy utajonych i przyszłych. Pogląd Schelling'a rozwijali dalej z pewnemi zmianami Fichte, Schubert, w stopniu słabszym Scherner i Volkelt. Widzimy zatem, że teoria snów przybrała szatę nieco odmienną, niemniej jednak mistyczną, a wraz z tem utrzymała i nawet rozwinęła do śmiesznej przesady dawną wiarę w znaczenie snów symboliczne, prorocze (np. Scherner). W mniemaniu symbolistów marzenia senne są najszlachetniejszą, najczystszą częścią naszego ducha; ujawniają doskonałość największą z powodu zerwania wszelkich ze światem rzeczywistym stosunków.

Dalej myśl ludzka poczyna się rozdawać na dwa rozbieżne, nie wspólnego nie mające kierunki. Z jednej strony, jako spuścizna po mistycznej spekulacji filozofów, powstają mrzonki spirytystyczne, teorie o oddziaływaniu telepatycznym i jasnowidzeniu. Tę dążność do nadnaturalności podsycają nadto przesady i zabobony, przekazane przez wiarę poprzednich pokoleń i zakorzenione głęboko w umysłach ludu prostego i niewykształconego. Z drugiej zaś strony, wyłania się dążność do rozwiązania odwiecznej zagadki na drodze krytycznego, naukowego myślenia.

Rozwój nauk przyrodniczych, udoskonalone metody badania, ogólny kierunek mechanistycznego pojmowania spraw fizjologicznych—zwróciły myśli i dążenia badaczy na nowe zupełnie tory. Zrozumiano, że sen jest tylko jedną z licznych funkcji ustroju zwierzęcego, że jako zjawisko fizjologiczne musi być wynikiem współdziałania sił fizykochemicznych, ustrojowi właściwych, że każde usiłowanie, podejmowane w celu wyjaśnienia tej tajemniczej sprawy, winno opierać się na doświadczeniu i ścisłym spostrzeganiu faktów. Tłómaczenie zaś marzeń sennych, zamiast odwoływać się do utajonych sił nadnaturalnych, winno być ściśle związane z poznaniem praw, rządzących światem zjawisk duchowych podczas stanu czuwania, i procesów mózgowych, będących ich podłożem anatomofizjologicznem. Atoli właściwa ludzkemu umysłowi chęć sięgania wzrokiem poza granice, nakreślone faktami, sprawiła, że nawet prace naukowe nie są wolne od przymieszek spekulatywnej natury. Uwydatnia się to w pochopie do pośpiesznego stawiania teoryj, z których każda, mimo skąpego materiału faktycznego, pragnie rozwikłać sprawę całkowicie, pragnie wyjaśnić mechanizm i bezpośrednią przyczynę snu, i w tym celu zatacza kręgi o wiele szersze, niż pozwalają fakty. Punktem wyjścia

badań odnośnych są najczęściej analogie, pojęcia, przeszczepiane z innych działów fizjologii ludzkiego i zwierzęcego ustroju. Stąd też każdego, interesującego się bliżej tą sprawą, uderzyć musi nieodpowiedniość pomiędzy ubóstwem materiału faktycznego i względnie dużą liczbą przeróżnych hipotez. Nic więc dziwnego, że hipotezy te grzeszą brakiem dostatecznego uzasadnienia, że nie są w stanie wyjaśnić większości zjawisk i faktów, w dziedzinie snu spostrzeganych. W fizjologii ludzkiego ustroju niema chyba ani jednego zagadnienia, które mogłoby się poszczycić równie wielką liczbą pozbawionych wszelkiej podstawy faktycznej hipotez. Stoimy wobec zagadki, której rozwiązanie należy do przyszłych dociekań i badań.

II.

Już powierzchowna obserwacja poucza, że sen jest pierwszorzędą potrzebą każdej istoty żyjącej, jest niejako odpoczynkiem, odnową materiałów i sił, zużytych podczas pracy dziennej, w stanie czuwania. W rzędzie licznych funkcji, zmierzających do utrzymania równowagi życiowej każdego ustroju, sen zajmuje miejsce niezwykle ważne, ważniejsze nawet od funkcji żywienia się. Nader wymowne w tym względzie są doświadczenia Maryi Manasein¹⁾, których wyniki zostały przedstawione na międzynarodowym zjeździe lekarskim w Rzymie w 1894 r. Młode 3—4 miesięczne szczenięta, pozbawione snu w ciągu 5 dni, skazane były na niechybną zagładę mimo ogrzewania i doskonałego karmienia. Z 10 szceniąt, użytych do doświadczeń, cztery zginęły śmiercią po upływie 4—6 dni. Pozostałych najtroskliwsza nawet pielęgnacja nie mogła utrzymać przy życiu. Mniej zabójczym dla zwierząt jest wpływ kilkunastodniowego głodzenia. Zwierzęta, pozbawione pokarmu w ciągu 20 dni, mimo olbrzymiego wychudzenia, mogły być jeszcze uratowane od grożącej im śmierci. Manaseina dodaje, że ogólny stan zwierzęcia jest cięższy po 5 dniach bezsenności, niż po 15 dniach głodu. U zwierząt, snu pozba-

¹⁾ M. M. Manaseina: *Son kak tret' žizni czelowieka*, 1892, str. 42. Szczegółowy opis tych doświadczeń podany jest również w dziele G. v. Bunge'go: *Lehrbuch der Physiologie des Menschen*. Leipzig, 1901. Bd. I. str. 242.

wionych, występuje cały szereg zaburzeń. Już w drugim dniu doświadczenia, temperatura ciała obniża się o 0,5—0,9° C. Liczba czerwonych ciałek krwi w jednym milimetrze sześciennym zmniejsza się o połowę. Na sekcji znajdowano przepełnienie białymi ciałkami krwi przestrzeni limfatycznych w mózgu oraz mniejsze lub większe wynaczynienia w istocie szarej.

Rzecz jasna, stosowanie wniosków, otrzymanych z doświadczeń na zwierzętach, do człowieka — wymaga licznych zastrzeżeń i omówień. W każdym jednak razie, opierając się na analogii, jaka zachodzi pomiędzy organizmem ludzkim i zwierzęcym, z drugiej zaś strony na faktach z dziedziny patologii, przyznać musimy, że i w życiu człowieka sen odgrywa pierwszorzędną rolę, że każde poważniejsze zakłócenie tej funkcji musi odbić się niekorzystnie na zdrowiu, obniżyć sprawność życiową ustroju. Do szkodliwych następstw bezsenności, spotykanych często w praktyce lekarskiej, zaliczyć można wychudzenie, niedokrwistość, utratę łaknienia, bóle głowy, silny rozstrój nerwowy, który przy sprzyjających okolicznościach doprowadzić może do wybuchu choroby umysłowej. Dr. Hammond opisuje przypadek, w którym nastąpiła śmierć chorego skutkiem dziewięciodniowej bezsenności. Tak szybka śmierć nasuwa jednak pewne wątpliwości i czyni prawdopodobnym współdziałanie innej jeszcze sprawy chorobowej. W każdym razie jest rzeczą pewną, że człowiek, zupełnie snu pozbawiony, nie może się utrzymać przy życiu. Niepodobna tylko określić bliżej czasu, po jakim śmierć może nastąpić. W starożytnych Chinach istniał podobno zwyczaj karania przestępców powolną śmiercią, osiąganą na drodze sztucznej bezsenności. Bunge podaje fakt, zaczerpnięty z dzieła Winslow'a, w którym skazany na bezsenność zbrodniarz zmarł po 19 dniach męczarni.

Widzimy zatem, że sen jest niezbędnym warunkiem życia, jest konieczną potrzebą człowieka i zwierząt. Posuwając się w uogólnieniu jeszcze nieco wyżej, niektórzy biologowie twierdzą, że potrzebie tej podlega nie tylko cały świat zwierzęcy, ale nawet roślinny. Wiadomo, że pewne rośliny i kwiaty, np. akacje, mimozy, poczynają o zmierzchu stulać swe listki, zbliżać je wzajemnie ku sobie. Dopiero pierwsze promienie słońca budzą je z uspienia. Stąd też, zdaniem biologów, sen jest powszechnym zjawiskiem życia, powstałym skutkiem przystosowania się istot żyjących do warunków nocy ¹⁾.

¹⁾ Prof. Józef Nusbaum: Z zagadnień biologii i filozofii przyrody. Lwów, 1899.

Stopień zaspakajania potrzeby snu, jest różnym na różnych szczeblach drabiny zwierzęcej. Zmienną jest przede wszystkim długość snu czyli czas jego trwania, oraz głębokość, czujność. Oceniając znaczenie snu dla ustroju, należy zawsze pamiętać o tych dwóch jego właściwościach. Tutaj wyłania się przed nami zagadnienie niezmiernie ciekawe i do rozwiązania trudne. Mianowicie, powstaje pytanie, na czym polega różnica snu człowieka i zwierząt, jakie jest wzajemne ustosunkowanie głębokości i długości snu wśród istot, stojących na różnych szczeblach filogenetycznego rozwoju, czy istnieje bliższy związek pomiędzy organizacją psychofizyczną i właściwościami snu danego zwierzęcia. Z góry przewidzieć można, że odpowiedź na powyższe pytania, wobec dzisiejszego stanu nauki, nie będzie zadawalającą i ścisłą. Badanie zwierząt połączone jest z dużymi trudnościami technicznej natury. O głębokości ich snu, zamiast miary i ścisłych obliczeń, które znalazły już zastosowanie w odpowiednich doświadczeniach na ludziach, rozstrzyga ogólne wrażenie, jakie sprawia zachowanie się śpiącego zwierzęcia. Zauważoną bowiem oddawna, że niektóre zwierzęta podczas snu, bez żadnej widocznej przyczyny, wykonują pewne ruchy, jako to: poruszają łapami, głową, drżą na całym ciele, stroszą uszy, szczerzą zęby, wydają ciche, niewyraźne głosy, będące słabym odtworzeniem dźwięków, właściwych im podczas stanu czuwania. Śpiące ptaki wodne poruszają nieraz nogami w taki sposób, jak gdyby zamierzały pływać (Bennet). Wczesną wiosną różne gatunki ptaków, z główką pod skrzydło schowaną, wydają w śnie dźwięki ciche, pozbawione melodyi. Spostrzegano je nawet u słowików. Przykre skomlenie psów śpiących znane jest powszechnie. U młodych cieląt widziano ruchy warg, przypominające ssanie. Konie parskają i ujawniają żywe ruchy mimiczne. Ten niepokój zwierząt śpiących uważany jest przez wielu badaczy (np. przez Burdach'a, Sanctis'a) za niewątpliwą oznakę marzeń sennych, za wyraz zewnętrzny odtwarzanych w ich umyśle obrazów i wzruszeń. Inni znowu badacze, pragnący życie duchowe zwierząt zamknąć w ramach nieco węższych, upatrują w nim zjawisko natury fizjologicznej, odruchowej. Nie przesądzając na razie tej kwestyi, możemy przyjąć, że niepokój ten znajduje się w stosunku odwrotnym do stopnia głębokości snu. To znaczy, że sen, przerywany ruchami lub dźwiękami, musi być lżejszy, powierzchowniejszy od snu spokojnego. W zachowaniu się śpiącego zwierzęcia mamy więc poniekąd miarę, na której podstawie możemy sobie wytworzyć ogólne pojęcie o charakterze snu. Pewne wskazówki w tym kierunku daje nam również rodzaj, a właściwie natężenie podniety, zastosowanej w celu obudzenia śpiącego zwierzęcia. Jasnym jest bowiem, że pies, budzący się

pod wpływem najlżejszego szelestu, spać musi lżej, czujniej od takiego zwierzęcia, na które w tym celu oddziać musi podniećta silniejsza, np. krzyk lub głośne wołanie. Niżej poznamy specjalne metody, oparte na powyższej zasadzie i służące do określenia gęłokości snu człowieka. Systematyczne ich stosowanie u zwierząt, nasuwałoby olbrzymie trudności i, o ile mi wiadomo, dotychczas przez nikogo nie zostało podjęte. Dlatego też sądy nasze o gęłokości snu zwierząt mogą posiadać jedynie wartość względną. Nadto w badaniach odnośnych zaznaczyć należy pewną trudność w doborze odpowiedniego materiału. Badacze nie zawsze mają możność dokonywania spostrzeżeń lub doświadczeń na własną rękę. Często zmuszeni są poprzestawać na świadectwie osób innych, które przez czas dłuższy stykały się bezpośrednio z życiem zwierząt, na odpowiedziach, udzielanych za pośrednictwem kwestyonariuszów przez myśliwych, hodowców, właścicieli menażery i kierowników ogrodów zoologicznych.

Z licznych faktów, tą drogą zebranych, ograniczę się na przytoczeniu kilku najważniejszych. Wszyscy badacze zgadzają się jednomyślnie, że na sen zwierząt wywierają wpływ olbrzymi czyniki atmosferyczne, fizjologiczne, a nawet psychiczne. Każde niemal zwierzę okazuje dziwną wrażliwość na wszelkie zmiany barometrycznego ciśnienia. W mniemaniu starożytnych Greków jeź obdarzony był zdolnością odgadywania pogody. Wpływ ten ujawnia się w postaci snu lekkiego, ustawicznie przerywanego ruchami, dźwiękami i niepokojem ogólnym. Zjawisko to zauważono podczas nocy, poprzedzających deszcz lub burzę. Ptaki wodne np. poruszają się żywo i wydają dosyć głośne okrzyki. Dzikie zwierzęta, które w warunkach zwykłych śpią dosyć spokojnie, podczas niepogody ustawicznie zrywają się ze snu. Pewien niepokój okazują również konie i psy.

Z pośród czynników fizjologicznych, które oddziałują w tym samym kierunku, zaznaczyć należy wpływ rui, czyli okresu zaspakajania popędu płciowego. Zwiększona ogólnie wrażliwość zwierzęcia, czyni sen jego lekkim, powierzchownym. Zauważono również ujemny wpływ stanów chorobowych i niezaspokojonego uczucia głodu. O znaczeniu czynników psychicznych świadczy kilka spostrzeżeń, zebranych przez profesora psychiatrii w Rzymie S. Sanctis'a ¹⁾ i dotyczących psów myśliwskich. Połowanie np., jako czynnik, skupiający czasowo całą działalność duchową zwierzęcia, wywołuje sen lekki i niespokojny. Zachowanie się psa śpiącego przybiera wówczas formę

¹⁾ Dr. Sante de Sanctis: *Die Träume*. Halle, 1901, str. 33. Tłóm. z włoskiego Dr. Schmidt.

wzruszenia, zależnego od odtwarzania wrażeń, podczas dnia odebranych. Pies przetrawia je nadal i marzy. Mamy tu poniekąd zjawisko podobne do powierzchownego snu człowieka, którego stan duchowy w ciągu dnia ulegał wzruszeniom i wysiłkom myślowym.

Przykłady powyższe wykazują, że głębokość snu zwierząt zależną jest od wpływu rozmaitych czynników. W rzeczywistości liczba ich musi być o wiele większa, że wymienię znaczenie klimatu, otoczenia, zwyczajów zwierzęcia, środków, przy których pomocy zdobywa ono pożywienie, wreszcie większej lub mniejszej zdolności przystosowania się do warunków zewnętrznych. Ponieważ niektóre z tych czynników oddziałują stale, w szeregu pokoleń, możemy zatem przypuszczać, że biorą one znaczny udział w kształtowaniu się potrzeby snu i w formie jej zaspakajania. Tutaj zapewne tkwi źródło poważnych różnic, jakie pod tym względem zachodzą wśród różnych gatunków zwierząt.

A priori należałoby się spodziewać, że zwierzęta muszą spać czujniej od człowieka, ponieważ okoliczność ta zapewnia im możliwość utrzymania się przy życiu w walce o byt. Zawczasu zbudzone mogą szukać ratunku w ucieczce przed wrogiem lub przyjąć pozycję obronną. Człowiek, obdarzony wyższą inteligencją, stawia namioty, szałas, schroniska, buduje domy mieszkalne, w których czuje się mniej narażonym na niebezpieczeństwa, grożące mu z pośród otoczenia i z większą swobodą zażywa wywczasu. Odpowiednio do zwiększonej głębokości snu, czas jego trwania może być skrócony. U zwierząt winniśmy spostrzegać zjawisko odwrotne: sen lekki, często przerywany, który powinienby być dłuższym dla zapewnienia ustrojowi należytego wytechnienia. I istotnie niektóre fakty zdają się przemawiać na korzyść tego przypuszczenia. Wiadomo powszechnie, że pewne zwierzęta, np. psy, śpią bardzo długo, lecz niezmiernie czujnie. Sen człowieka przecięciowo jest dwa razy krótszy, lecz o wiele głębszy. Według dowcipnego objaśnienia Bunge'go, odwieczna przyjaźń człowieka i psa, będąca jakby odmianą współżycia (symbiozy), ma swoją przyczynę w skreślonych przed chwilą właściwościach snu obojga tych istot. Człowiek, śpiący snem względnie głębokim, narażony był na napaści dzikich zwierząt i wrogów. Pies, budzący się pod wpływem najłżejszego szelestu, szczekaniem ostrzegał swego przyjaciela o grożącym mu niebezpieczeństwie. Na podstawie tych faktów odnosimy wrażenie, że długość snu i jego głębokość w pewnych przypadkach znajdują się do siebie w stosunku odwrotnym. Byłoby jednak błędem uogólniać ten wniosek i rozciągać go na wszystkie istoty żyjące. U wielu bowiem gatunków zwierząt spostrzegamy połączenie snu krótkiego i lekkiego zarazem. Dziwnie małą np. jest potrzeba

snu ptaków (Brehm). Z odpowiedzi, udzielonych Sanctis'owi, wynika, że konie, trzymane w stadninach i niezajęte pracą, śpią tylko 6 godzin na dobę. Pod względem głębokości sen ich jest lepszy, aniżeli człowieka. Ryby, według badań Beer'a, posiadają przeciwnie sen długi i głęboki. Z zestawienia licznych faktów wypływa, że sen człowieka jest stosunkowo najgłębszy, lżejsze stopnie snu właściwe są zwierzętom przeżuwającym, najlżejsze — mięsożernym i domowym. Szersze jednak uogólnienia o wzajemnem stosunkowaniu długości i głębokości snu, oraz o zależności jego od organizacji psychologicznej zwierzęcia na podstawie dotychczasowych badań, były przedwczesne. Należy się spodziewać, że dopiero bliższe zainteresowanie się życiem zwierząt zdoła nieco tę sprawę wyjaśnić.

Ale nawet w granicach życia ludzkiego, stopień potrzeby snu nie jest wielkością stałą. Ulega on zmianom pod względem głębokości i długości, zależnie od wieku, kultury, inteligencji, znużenia, stanów chorobowych i wielu innych, bliżej nie zbadanych czynników. Niemowlę śpi prawie ciągle, jedynie przez 2—3 godziny na dobę zmysły jego stoją otworem dla wrażeń świata zewnętrznego. Dziecko jednoroczne przesypia większą część swego życia, czuwa zaledwie 6 godzin na dobę. Nadto sen jego jest bardzo głęboki. Często zdarzało mi się badać dzieci kilkumiesięczne, dotykać zimnemi rękami, przewracać z boku na bok, nie przerywając ich snu. Z wiekiem długość snu wybitnie się zmniejsza. Człowiek dorosły, cieszący się zdrowiem, śpi przecięciowo od 6 do 8 godzin na dobę, co w ogólnym rachunku stanowi niemal trzecią część całego życia. Opowiadają, że Humboldt, Kant, Goethe, Szyller, a więc ludzie, których życie ześrodkowywało się w pracy duchowej, śpiali bardzo mało. Napoleon I zadawał się często 4-ma godzinami nocnego spoczynku. Stosunkowo najmniej śpią ludzie starsi, w wieku około lat 60. W okresie późniejszym, wraz z upadkiem władz umysłowych i przewagą życia roślinnego, potrzeba snu zaczyna się zwiększać; człowiek stary, na schyłku swego życia, staje się podobnym do dziecka. Spostrzeżenia te, zaczerpnięte z codziennej praktyki, zdają się prowadzić do wniosku, że długość snu znajduje się w stosunku odwrotnym do natężenia życia duchowego i inteligencji, pojmowanej w szerszym znaczeniu. Potwierdzają to również spostrzeżenia, dotyczące ludów dzikich i stojących na niższych szczeblach kultury. Ludy te poświęcają nocnemu spoczynkowi daleko więcej czasu, niż mieszkańcy krajów o wyższej kulturze i prócz tego posiadają niezmierną łatwość zasypiania wśród najniekorzystniejszych warunków. W myśl tego, co powiedziano wyżej, można sądzić, że sen ich jest czujniejszy, lżejszy od naszego.

Człowiek dorosły sypia, jak rzekliśmy, około 6—8 godzin na dobę. W czasie tym głębokość snu ulega stałym i nader ciekawym wahaniom, opisanym po raz pierwszy przez Kohlschütter'a. Stopień głębokości snu mierzono siłą dźwięku, który budził śpiącego. Analogiczne badania, prowadzone w dalszym ciągu przez Mönninghoff'a, Piesbergen'a i Michelson'a ¹⁾, dały niemal jednomyślne wyniki. Badania były skutecznie przeprowadzane przy pomocy kulek metalowych, które z rozmaitej wysokości spadały na postawioną u wezglowia śpiącego płytkę metalową. W ten sposób otrzymano krzywą, która graficznie wyobrażała zachowanie się głębokości snu w różnych momentach czasu od chwili zaśnięcia. Podług Michelsona, krzywa głębokości snu w ciągu pierwszych kilkunastu minut przebiega zupełnie nisko, później szybko się wznosi i osiąga maximum wysokości po upływie 45 minut. W tem położeniu pozostaje mniej, niż $\frac{1}{2}$ godziny, następnie szybko, później coraz wolniej opuszcza się ku dołowi, zbliżając się do linii poziomej. Inne mi słowy, sen człowieka jest najgłębszy przy końcu pierwszej godziny od chwili zaśnięcia, później staje się coraz bardziej powierzchownym.

Metoda Kohlschütter'a nie jest wolną od kilku zarzutów. Przede wszystkim zwrócono uwagę na to, że podczas snu funkcya ośrodków słuchu nie u wszystkich ludzi zostaje upośledzoną w jednakowy sposób, że mniejszy lub większy stopień zawieszenia tej funkcyi, nie może być równoznaczny z głębokością snu ogólnego, który jest zawieszeniem funkcyi wszystkich ośrodków zmysłowych. Tylko oddziaływanie na wszystkie narządy zmysłowe śpiącego mogłoby zapewnić badaniom rękojmię ścisłości. Takie jednak doświadczenie, możliwe w teorii, wobec olbrzymich trudności technicznych, w praktyce przeprowadzić się nie da. Przed kilku laty (1900 r.) badacz włoski, Lambranzi, w celu określenia głębokości snu, usiłował połączyć oddziaływanie bodźców dźwiękowych, wzrokowych i węchowych. Te ostatnie, z powodu rezultatów ujemnych zmuszony był wkrótce odrzucić. W doświadczeniach tych posługiwał się przyrządem dźwiękowym Kohlschütter'a i 20 świecami, umieszczonemi na ruchomej płycie stołu. Zapalając je stopniowo w coraz większej liczbie, otrzymał wreszcie światło, które budziło śpiącego. W każdym doświadczeniu Lambranzi określał dwie krzywe, jedną przy oddziaływaniu bodźców słuchowych i wzrokowych z osobna, drugą—przy wzajemnem ich połączeniu. Pojedyncze zastosowanie bodźców, dało wyniki bardzo podobne do po-

¹⁾ E. Michelson. „Untersuchungen über die Tiefe des Schlafes. Diss. Dorpat, 1891.

danej już przez nas krzywej Michelsona. Głębokość snu początkowo szybko wzrasta i dochodzi do maximum w pierwszej połowie drugiej godziny od czasu zaśnięcia. Później sen staje się lekkim i od godziny 2 do 5 zachowuje poziom jednakowo niski. Około godziny 6-iej występuje na krzywej nowe wzniesienie ze spadkiem początkowo szybkim, później coraz wolniejszym. Wzniesienie to, odpowiadające pogłębieniu snu w godzinach rannych, zostało uwydatnione już poprzednio w krzywej Mönninghoff'a i Piesbergen'a: I rzeczywiście wielu ludzi utrzymuje, że tylko sen nad ranem zapewnia im prawdziwe wytchnienie. Zdaniem Bunge'go, to drugie wzniesienie na krzywej — cechuje sen ludzi nerwowych (*Neurasthenikercurve*).

Przy jednoczesnem zastosowaniu bodźców dźwiękowych i świetlnych, Lambranzi zauważył, że obudzenie występuje szybciej, niż przy oddziaływaniu na pojedynczy zmysł wzroku lub słuchu. Absolutna wysokość krzywej, odpowiadająca głębokości snu, staje się wówczas znacznie mniejszą. Możemy więc przypuszczać, że zastosowanie podnięt na wszystkie zmysły śpiącego, zmieniłoby jeszcze więcej wysokość i charakter krzywej.

Inni badacze, jak np. Czerny, Sanctis, posługiwali się bodźcami innego rodzaju: Pierwszy, określając głębokość snu u dzieci, stosował różnej siły prąd faradyczny, Sanctis zaś oddziaływał na zmysł dotyku i bólu. Badania te jednak nie zostały doprowadzone do końca.

Z drugiej jednak strony zaznaczyć muszę, że zasada, na której wspierają się powyższe sposoby określania głębokości snu, nie może być uważana za bezwzględnie słuszną. Forel¹⁾ zauważył, że niektóre podniety, względnie nawet silne, lecz często się powtarzające (np. bicie zegara ściennego), nie budzą śpiącego, podczas gdy podniety słabsze, lecz mające bliższy związek z jego całą umysłowością, natychmiast przerywają sen. Matka, śpiąca przy dziecku, zachowuje się obojętnie względem turkotu wozów lub gwaru rozmowy, lecz najmniejsze poruszenie i westchnienie dziecka, budzi ją z uśpienia. W dziele Höffding'a znajdujemy przykład, w którym oficer marynarki, śpiący wśród głośniego gwaru, zerwał się natychmiast, skoro wyszeptano wyraz „sygnał.“ Jeżeli sen nastąpił pod wpływem działania stałej rytmicznej podniety, raptowna przerwa w jej oddziaływaniu może grać rolę bodźca, budzącego ze snu. W podróży kolejną najczęściej budzi nas z uśpienia zatrzymywanie się pociągu na stacyach.

¹⁾ Dr August Forel. „Der Hypnotismus und die suggestiv Psychotherapie. Stuttgart, 1902, IV Aufl., str. 54.

Nagle powstrzymanie turkotu kół młyńskich powoduje szybkie przebudzenie się młynarza. Przykłady te wykazują, że w akcie obudzenia, oprócz fizycznej siły bodźca, rozstrzyga nadto jego wartość psychiczna, jego stosunek do myśli i interesów, które ożywiały działalność człowieka przed zapadnięciem w sen, podczas stanu czuwania.

Jakkolwiek zarzut ten nie jest pozbawiony słuszności, to jednak przyznać musimy, że w większości przypadków jedynym miernikiem głębokości snu może być tylko siła bodźców, zastosowanych w celu obudzenia śpiącego. Tylko liczyć się tu trzeba z wieloma czynnikami, których dla braku miejsca bliżej omawiać nie mogę, a które w najwyższym stopniu utrudniają prowadzenie doświadczeń. Ztąd też badania te niezmiernie mozolne i trudne, osiągają rezultat najwięcej do prawdy zbliżony, nie roszcząc bynajmniej pretensyi do bezwzględnej pewności.

Większość badaczy przyznaje, że użycie umiarkowanych dawek alkoholu, zalecanych czasem przez lekarzy, wpływa na zmniejszenie głębokości snu. Sen, pozornie głęboki, występujący po użyciu większej ilości alkoholu, jako następstwo zatrucia ustroju, jest objawem nawskroś patologicznym, szkodliwym. To też usiłowania, podjęte w celu zupełnego wyparcia alkoholu z codziennego użycia, znajdują poparcie w badaniach nad snem.

W kierunku wprost przeciwnym, oddziałują znużenie fizyczne. Jakkolwiek sprawa ta nie była przedmiotem systematycznego i ścisłego badania podług wskazanych dopiero co metod, to jednak wniosek ten nasuwa obserwacya codzienna. Łatwo się przekonać, że ludzie, zażywający dużo ruchu lub pracujący fizycznie, śpią głębiej od tych, którzy spędzają czas w odmiennych warunkach. Żołnierze, wyczerpani trudami wojny, uciążliwych pochodów, zapadają często w sen tak głęboki, że ani świst kul, ani huk armat nie może wyrwać ich z uśpienia. Ztąd też jednym z dzielniejszych środków w leczeniu bezsenności jest ruch na świeżem powietrzu lub praca fizyczna w granicach, zakreślonych przez naturę chorego osobnika. Indywidualność ma w tym wypadku dosyć duże znaczenie. Wiadomo bowiem, że silne znużenie fizyczne u ludzi słabych, wrażliwych — może nawet wywołać bezsenność.

Znużenie umysłowe jest bezwzględnie szkodliwe, czyni sen powierzchniowym, lekkim, ustawicznie przerywanym. Myśl, wyteżona przez czas dłuższy w pewnym kierunku, przykuwa zanadto uwagę i spędza sen z powiek. Nawet już po zaśnięciu, myśl ta nurtuje dalej w świadomości naszej i, przyoblekając się w szatę marzeń sennych, niepokoi, dręczy i co chwila nas budzi. Sądzę, że w skargach chorych na bezsenność tkwi, co najmniej, złudzenie lub nieporozumienie.

Najczęściej mamy tu do czynienia nie z brakiem snu, lecz ze snem niezmiernie powierzchownym, często przerywanym, w którym wrażenia zewnętrzne dopływają do umysłu śpiącego i przeplatają się z właściwymi marzeniami sennymi. Sen taki spotykamy najczęściej wśród ludzi, dotkniętych cierpieniami nerwowymi i umysłowymi. Zbytecznym prawie dodawać, że sen tak powierzchowny nie daje należytego wypoczynku i wznowienia sił, zużytych podczas pracy dziennej. Ponieważ o użyteczności snu dla ustroju stanowi odpowiedni stopień jego głębokości, otwiera się przeto nowa i rozległa dziedzina badań, ważnych pod względem praktycznym. Mianowicie, byłoby pożądane ściśle określenie wpływu licznych czynników, którym człowiek stale w życiu codziennym ulega, dokładne zbadanie, o ile każdy z nich oddziałuje na głębokość snu w kierunku dodatnim lub ujemnym. Wskazówki, stąd otrzymane, wzbogaciłyby zasób wiedzy, mającej na celu ochronę zdrowia ludzkiego.

III.

Na podstawie własnego doświadczenia każdy zapewne się zgodzi, że sen występuje najłatwiej po usunięciu podnieć, które wskutek oddziaływania na narządy zmysłowe, mogłyby zatrzymywać na sobie uwagę umysłu i pobudzać go do pracy w jakimkolwiek kierunku. Przy powolnem zasypianiu zdarza się często, że drobne wrażenie, np. jakiś odgłos daleki, przywraca do życia niknącą już samowiedzę i oddala chwilę zaśnięcia. Ztąd też ciemność, cisza, brak wrażeń węchowych, smakowych, umiarkowana temperatura powietrza, nie sprawiająca ani uczucia gorąca, ani zimna, — oto warunki, sprzyjające powstawaniu snu. A więc gasimy światło, zamykamy oczy, żeby je uchronić od wrażeń wzrokowych, wyciągamy swobodnie członki, usiłując przybrać pozycję, która uniemożliwiałaby powstawanie przykrych czuć mięśniowych. Niektórzy badacze posuwają się nawet zbyt daleko, twierdząc, że nieustanny dopływ wrażeń zewnętrznych warunkuje stan czuwania, podczas gdy usunięcie ich powoduje sen. Za dowód służy zwykle bardzo ciekawy przypadek, opisany przez znanego klinicystę Strümpell'a. Rzecz dotyczyła 15-letniego chłopca, dotkniętego znieczuleniem histerycznym wszystkich narządów zmysłowych, oprócz jednego oka i ucha. Strümpell zauważył, że po zawieszeniu funkcji obydwóch tych zmysłów, wskutek zawiązania oka lub zatkania ucha, innemi słowy, po zerwaniu wszystkich stosunków ze światem zewnętrznym, chłopiec zapadał natychmiast w sen głęboki i długi. Wobec znieczulenia ogólnego, chłopca tego można było wyj-

mować z pościeli, kłaść na zimnej podłodze, kłuć, szczypać, wstrząsać, nie przerywając bynajmniej jego snu. Jedynie silniejsze podrażnienie ocalonego oka i ucha mogło obudzić śpiącego. Dwa podobne przypadki ogłosił również Ziemssen. Błędem jednak będzie wysnuwanie ztąd wniosku, że usunięcie wszelkich podrażnień i bodźców, sprowadza sen w ogólności. Przedewszystkiem, człowiek zdrowy nie może dojść do tak absolutnego zerwania łączności ze światem, jak to było w przypadku Strümpell'a. Do świadomości zasypiającego człowieka zawsze dopływają słabe wrażenia dotykowe, zależne od zetknięcia skóry z pościelą, odzieżą, słabe wrażenia mięśniowe, zależne od ułożenia członków, nie mówiąc już o przypadkowych wrażeniach dźwiękowych lub organicznych. Niezupełne ich uświadomienie, jest następstwem osłabienia lub odwrócenia uwagi. Powtóre, mówiliśmy już wyżej, że po większem znużeniu fizycznym, sen może nastąpić mimo oddziaływania licznych i względnie nawet silnych podniet. Przypadek Strumpell'a dowodzi tylko, że usunięcie podrażnień zmysłowych zajmuje miejsce bardzo ważne w rzędzie czynników, warunkujących powstawanie snu. Wpływ tego czynnika wzrasta zapewne u ludów, stojących na niższych szczeblach kultury i u zwierząt. Heubel ¹⁾ np. usiłował wykazać, że powstrzymanie dopływu wrażeń wzrokowych i dźwiękowych, wywołuje sen ptaków i żab.

Wyjątek z ogólnego prawidła stanowią podniety jednostajne, rytmiczne, miarowe, posiadające nadto słabe natężenie. Wrażenia ztąd odbierane, zwłaszcza jeżeli świadomość już do nich przywykła, nie zatrzymują na sobie uwagi umysłu, nie zakłócają swobodnego biegu wyobrażeń, który cechuje okres zasypiania. Miarowe tykanie zegara ściennego, jednostajny szmer morza lub drzew, wiatrem poruszanych, głuchy turkot kół młyńskich, monotonne, łagodne dźwięki muzyki, wszystko to rozprasza uwagę, sprowadza pewne ukojenia umysłu i kołysze do snu. W przypadku Boerhave'a woda, spływająca kroplami na miedzianą płytę, wyleczyła z bezsenności chorego.

Ogólne uwagi o znaczeniu podrażnień w sprawie powstawania snu, dotyczą również wrażeń organicznych, które biorą początek w narządach ustroju. Bicie serca, silniejszy ruch robaczkowy kiszek, utrudniony oddech, ból, słowem, każde uczucie przykre, mające przyczynę w cierpieniu pewnego narządu, przykuwa ku sobie uwagę, wzmacnia samowiedzę i rozprasza sen. W tym samym kierunku oddziałują również wzruszenia, np. uczucie gniewu, rozpacz, radości i każda wyciężona praca umysłowa. Słowem, zahamowanie uwagi

¹⁾ Cyt. w dziele Radestock'a: „Schlaf und Traum,” str. 280.

przez usunięcie wszelkich wrażeń, wzruszeń i wysiłków myślowych—
to zasadniczy warunek powstawania snu.

Niezaprzeczenie jedną z najczęstszych przyczyn bezsenności jest zwątpienie, obawa, że sen nie nastąpi. Obawa ta u osobników wrażliwych przybrać może charakter stałej i nader szkodliwej auto-suggestyi. Czasami już po zmrużeniu powiek i zaniku samowiedzy, najniespodziewaniej wkrada się do umysłu chęć samoobserwacyi, chęć zdania sobie sprawy z postępu zasypiania, wreszcie zwątpienie o możności ponownego zaśnięcia. Myśli te niepokoją nas, dręczą i istotnie snu pozbawiają. Zwalczyć wówczas bezsenność można jedynie na drodze oddziaływania psychicznego. Fakt ten nie jest jednak dostatecznie oceniany w praktyce lekarskiej. U wielu osób ważną rolę w akcie zasypiania gra przyzwyczajenie, np. udawanie się na spoczynek o ściśle określonej godzinie, przyjęcie odpowiedniej pozycji, rodzaj pościeli, ustawienie łóżka i t. d. Zmiana warunków, jak to np. dzieje się w podróży, może powodować krótkotrwałą bezsenność.

Wielu autorów, między innymi Manaseina, sądzi, że niezbędnym warunkiem snu jest pewien stopień anemii mózgu, że ujemny wpływ wielu czynników, sprowadzających bezsenność, zależy od przekrwienia naczyń mózgowych. Psychofizyologia doświadczalna, szeregiem licznych badań udowodniła, że każdej nawet najprostszej pracy duchowej towarzyszy zwiększony chwilowo przyływ krwi do mózgu. Niezmiernie ciekawe i nauczające w tej mierze doświadczenia wykonał badacz włoski, Mosso¹⁾. Jeden z osobników, przez niego badanych, miał skutkiem uderzenia cegłą, w środku czoła otwór, wielkości pięciocentymowej monety, przez który widać było mózg tętniący. Mosso przytwierdzał do czoła chorego przyrząd, który przy pomocy pióra kreślił na uczernionym sadzą cylindrze linie, odpowiadające ruchom mózgu. W czasie czuwania pióro kreśliło nierówne linie, faliste, różniące się wysokością, kształtem i zależne od tętnienia mózgu. W miarę występowania snu, odpowiednio do zmniejszonych ruchów mózgu, fale stawały się rzadsze, mniejsze, odstępy między nimi dłuższe. Ostatecznie badany zasypiał. Najmniejszy jednak szmer, jaki powstawał dokoła, odgłos kroków dalekich, cichy szept rozmowy—wszystko to, nie przerywając snu, sprowadzało natychmiastową zmianę w krążeniu krwi, zwiększało objętość mózgu i wysokość fal piórem przyrządu kreślonych. Fakt ten, wraz z całym szeregiem innych doświadczeń, wykonanych przez Mosso, wykazał, że podczas

¹⁾ A. Mosso. „Strach.“ Tłóm. z włoskiego, 1891, str. 83.

snu następuje mniejszy lub większy stopień anemii mózgowej, że przy najślabszem nawet podrażnieniu, z którego świadomość nie daje sobie wcale sprawy, krew obficie do mózgu przychodzi. Jeżeli więc tak błażej przyczynie towarzyszą zmiany w krążeniu krwi, to cóż dopiero powiedzieć o natężonej pracy duchowej, gdy mnóstwo wyobrażeń tłoczy się gwałtem do naszego umysłu, o silnych stanach uczuciowych, głęboko opanowujących świadomość. Stany te sprowadzać muszą dosyć silne przekrwienie mózgu, które utrudnia powstawanie snu. Durham sądzi, że silniejsze stopnie znużenia umysłowego mogą nawet powodować czasowe paralityczne rozszerzenie naczyń krwionośnych (Manaseina). W nowszych czasach fakt anemii mózgowej podczas snu został stwierdzony badaniami Howell'a (1897¹⁾, który przy pomocy pletysmografu wykazał zwiększenie się w śnie objętości ręki. Zjawisko to, zależne od obfitszego dopływu krwi do naczyń ręki, świadczy pośrednio o mniejszem, niż w stanie czuwania, napełnieniu naczyń mózgowych.

Naodwrot sądzić można, że wszystkie czynniki, które zmniejszają ilość krwi, krążącej w mózgu, usposabiają do snu. Zapewne każdy doświadczył na sobie, że po sutym obiedzie występuje nieraz trudna do pohamowania senność. Otóż Durham dowiódł doświadczalnie, że spożycie większej ilości pokarmów, zwiększając dopływ krwi do naczyń żołądka, powoduje jednocześnie bladłość mózgu i skurcz jego naczyń. Senność, właściwa ludziom anemicznym w położeniu pionowym, zmniejsza się w pozycji poziomej. W pierwszym przypadku, dzięki słabemu napięciu naczyń, krew zatrzymuje się w większej ilości w narządach jamy brzusznej i w dolnych kończynach. Przy zmianie pozycji i niskiem ułożeniu głowy krew obficie przychodzi do mózgu. Fakty te upoważniają do wniosku, że mała krwistość mózgu jest jednym z wielu czynników, uspasabiających do snu. Zarzucona dzisiaj teoria cyrkulacyjna mylnie tłómaczyła wpływ tego czynnika i w zwięźeniu naczyń mózgowych widziała rozwiązanie całej zagadki o pochodzeniu i przyczynie snu.

IV.

Na wstępie staraliśmy się wykazać, jak olbrzymie znaczenie posiada sen w życiu człowieka i zwierząt. Żeby jednak wpływ ten lepiej zrozumieć, należy jeszcze rozważyć na czem polegają zjawiska,

¹⁾ Cyt. w dziele Bunge'go.

które podczas snu występują, i co je wyróżnia od zjawisk, jakie zachodzą podczas stanu czuwania. Widzieliśmy już, że zasypiając, człowiek usiłuje przybrać położenie możliwie wygodne, zwolnić napięcie mięśni do minimum. W czasie snu członki spoczywają bezczynnie, zachowując nieraz idealny, prawie martwy spokój. Od czasu do czasu występują słabe poruszenia, bądź zależne od wrażeń zewnętrznych i organicznych, bądź od marzeń sennych. A zatem sen jest przede wszystkim odpoczynkiem mięśni ruchu dowolnego, które w stanie czuwania narażone są na ciągłą pracę. Ruchy oddechowe stają się spokojniejsze, rzadsze i głębsze. Czynność przepony u mężczyzn słabnie. Wydech, krótszy od wdechu, następuje po nim bezpośrednio. Później dopiero zauważyć się daje dłuższa pauza oddechowa. Ilość wdechanego powietrza z 7 litrów na minutę spada nieraz do 1 litra (Mosso, Manaseina). Według ścisłych obliczeń Pettenkoffer'a, zmniejsza się ilość wydzielanego dwutlenka węgla, natomiast większą jest ilość pochłanianego tlenu. Czynność serca staje się wolniejszą. Naczynia krwionośne na powierzchni ciała rozszerzają się, obniża się ciśnienie krwi i ciepłota ciała. Ruchy robaczkowe żołądka i kiszek stają się wolniejsze. Słabnie wydzielanie soków trawiennych, śliny, łez, moczu. Podczas kataru zmniejsza się nawet wydzielina z błony śluzowej nosa i występuje przykre uczucie suchości. Żrenice są zwężone, gałki oczne zwrócone ku wewnątrz i ku górze. W głębokim śnie, jak dowodzą doświadczenia Tarchanowa na szczeniętach, giną nawet odruchy. Ogólna przemiana materii ulega zmniejszeniu. Słowem, występuje ograniczenie funkcji wszystkich narządów, ogólne zwolnienie tętna życiowego, warunkujące wypoczynek ustroju.

Jaki udział w tej sprawie bierze ośrodkowy układ nerwowy, z którego funkcją związana jest nasza działalność duchowa—oto pytanie, na które postaramy się w krótkości odpowiedzieć. Podane wyżej doświadczenia Mosso wykazały, że podczas snu powierzchnia mózgu błędnie skutkiem zwężenia naczyń i zmniejszonego dopływu krwi, że objętość mózgu nieznacznie się zmniejsza. Fakty te były stwierdzone również przez Durhama i Tarchanowa licznymi badaniami na zwierzętach, którym usuwano kawałki kości czaszkowych i obnażano mózg dla ułatwienia doświadczeń. Tarchanow nadto zauważył, że we śnie kora mózgu przestaje oddziaływać na bodźce elektryczne, które w czasie czuwania wywołują ściśle określone ruchy kończyn. Prócz tego doświadczenie codzienne uczy, że mózg staje się również mniej pobudliwym dla podrażnień, płynących z otoczenia za pośrednictwem zmysłów. Podniety zewnętrzne, o ile nie osiągną dostatecznego natężenia, żeby przywrócić śpiącemu świadomość, nie budzą odpo-

wiednich procesów psychicznych. Dopływając niewątpliwie do właściwych ośrodków, podrażnienia te napotykać odmienne warunki bytu i stają się materiałem dla innych, niż na jawie wytworów. Powstają z nich złudzenia, iluzje, przybierające w wyobraźni śpiącego fantastyczną postać marzeń i widziadeł. Słowem, czynności, właściwe korze mózgowej podczas stanu czuwania, zostają we śnie stłumione, zawieszono, a wraz z tem giną procesy spostrzegania i logicznego rozumowania, myślenia, znikają uczucia i nieskończone troski życia codziennego, zamierają pożądanja i chęci, krótko mówiąc, ginie wszystko to, co w zespoleniu składa się na różnobarwne, lecz harmonijne życie świadomości. Jednak pozorną ta nicność, którą poeci przyrównali do śmierci, jest w pewnym stopniu złudzeniem naszego umysłu. W rzeczywistości funkcyja mózgu, aczkolwiek ulega głębokiemu upośledzeniu, a nawet spaceniu, w zupełności nie ginie.

Liczny szereg faktów z dziedziny fizjologii i z codziennej praktyki dowodzi, że pomijając już ogólne kierownictwo nad funkcyjami wszystkich narządów wewnętrznych, w mózgu podczas snu odbywać się jeszcze musi jakaś praca utajona, niedostępna bezpośrednio dla naszego poznania. Jest to ta praca nieświadoma, którą Höffding trafnie przyrównał do pracy podmorskiej koralu. Te ostatnie spostrzegamy dopiero wówczas, gdy z głębin wynurzą się ponad poziom morza. Komórki mózgowe, wprawione w ruch podczas stanu czuwania, snują dalej swą pracę po za obrębem woli i świadomości śpiącego. Dopiero przebudzenie ujawnia rezultat tej pracy utajonej. Idea, długo i mozolnie poszukiwana w pamięci, najniespodziewaniej może wyłonić się w śnie. W tej nieświadomej pracy mózgu szukać należy tajemniczego źródła natchnień, którym podobno ulegali podczas snu Condillac, Voltaire, Franklin, Coleridge, Goethe i inni. Nie inaczej wytłómaczyć można ową zmianę, jaką spostrzegamy codziennie po przebudzeniu się w naszej indywidualności psychicznej. Postanowienia i zamiary, które przed snem wydawały się nam najodpowiedniejsze, najłatwiej wiodące do celu, nad ranem zaczynają budzić wątpliwość, zdumienie, a nawet śmiech. Przysłowiowa świeżość myśli nad ranem, to nie tylko następstwo wypoczynku układu nerwowego, ale często bardzo — rezultat jego cichej pracy.

Z pośród wielu innych faktów pokrewnych, przypomnę możność budzenia się o ściśle oznaczonej godzinie, oraz budzenia się pod wpływem bodźców słabych, lecz związanych bezpośrednio z umysłowością śpiącego. Zjawiska te, świadczące o utajonej pracy mózgu, pogrążonego we śnie, nie wyczerpują jeszcze jego całkowitej funkcyi. Na gruzach zwykłej świadomości wyrasta we śnie nowy świat duchowy treści wynaturzony, w formie niezmiernie barwny -- świat ma-

rzeń i widziadeł sennych. Bliższą ich charakterystyką zajmę się w dalszym ciągu pracy niniejszej. Na razie pragnąłbym rozważyć kwestyę, która już w czasach najdawniejszych nasuwała się umysłom ludzkim i rozmaicie była rozstrzyganą, mianowicie, chciałbym odpowiedzieć na pytanie, czy możliwy jest sen bez marzeń. Pytanie to łączyło się ściśle z zagadnieniem ogólniejszej natury, z poglądami na ciągłą istność duchową. Zdaniem wielu filozofów, że wymienię Kartezjusza, Leibnitz'a, Schelling'a, Herbart'a, duch, zawsze myślący, nie może ulegać przerwom w swem istnieniu. Pogląd przeciwny byłby absurdem, dla Kartezjusza równoznacznym z przyjęciem światła, które nie świeci, lub ciepła, które nie grzeje. Pozorną nicość snu wypełniają marzenia senne, będące w teorii Schelling'a najczystsza treścią naszego ducha.

W czasach późniejszych, kiedy poznano fakt utraty świadomości przy wstrząśnieniach i chorobach mózgu, zaczęła przeważać myśl, że sen bez marzeń jest nie tylko możliwy, ale nawet bardzo prawdopodobny. Przypuszczenie takie było nader pożądane dla materialistów w rodzaju Büchner'a, który zapatrywał się na sen, jako na zniszczenie duszy. Z drugiej zaś strony mniemanie to potwierdzały świadectwa wielu osób, jakoby we śnie nie ulegających marzeniom. Lessing podobno przez całe życie nie miał ani jednego marzenia sennego. To samo mówią o Neronie. W dziełach, poświęconych psychologii, utarło się zdanie, że marzenia są właściwe okresom snu lekkiego, powierzchownego, podczas gdy sen głęboki wolny jest od marzeń (Ziehen, Wundt, Liébeault). Jeden z autorów francuskich, Goblot¹⁾, dowodzi, że wszystkie marzenia senne, o których zachowujemy pamięć, występują wyłącznie w krótkich chwilach okresu przejściowego od snu do stanu czuwania. Słowem, spór o marzenia senne odżył w nauce nanowo, tylko w odmiennej postaci. Z wielu stron słusznie zarzucano, że spostrzeżenia i wskazówki pojedynczych osób nie mogą w tym względzie rozstrzygać, ponieważ marzenia senne niezmiernie szybko znikają z pamięci. Czasami po przebudzeniu się nie możemy w żaden sposób przypomnieć sobie treści marzenia, o którym świadomość nasza zachowała tylko niewyraźne, mgliste poczucie. Najpierw po pewnym czasie, pod wpływem przypadkowego faktu lub skojarzenia, wyłania się w umyśle obraz, długo i napróżno szukany. Niektórzy ludzie zapominają wszystkie sny swoje; mówią, śpiewają lub płaczą we śnie, nie zachowując o tem najmniejszego wspomnienia.

¹⁾ E. Goblot: Le souvenir des rêves. „Revue philosophique.“ 1896, № 9, str. 288.

Słowem, marzenia przez nas zapamiętane, stanowią małą cząstkę snów naszych, których większość ulatnia się z pamięci nazawsze. Forel pisze, że ilekroć był podczas snu zbudzony, zawsze uchwycić mógł jakiś obraz, będący ostatnim ogniwem długiego łańcucha wyobrażeń. Jeżeli treść tego marzenia nie została natychmiast zanotowana, wspomnienie o niem ginęło bezpowrotnie. Dlatego też Forel sądzi, że we śnie wszyscy ludzie ulegają marzeniom. Próbowano nawet sprawę tę rozwiązać na drodze doświadczalnej. Vaschide¹⁾ wykonał 500 doswiadczeń na osobnikach najrozmaitszego wieku, usposobienia i stanu zdrowia. Obserwacyi dokonywano podczas nocy. Od czasu do czasu budzono śpiących i zapytywano, jaką była treść marzeń. Głębokość snu była określaną przy pomocy sposobu Kohlschütter'a. Badania te wykazały, że istotnie niema snu bez marzeń, że występują one nawet w okresach snu najgłębszego. Powtóre, Vaschide uwidocznił zdumiewającą zależność i związek wzajemny marzeń w poszczególne momentach snu. Można kilkakrotnie obudzić śpiącego, nie przerywając zupełnie wątku jego marzeń. Wreszcie Vaschide wykazał ściłą zależność treści marzeń sennych od stopnia głębokości snu. Marzenia snu głębokiego mają zwykle za przedmiot wydarzenia bardzo odległe, czasy dawno przeżyte, szczęśliwe chwile wieku młodocianego. Przeciwnie, marzenia snu lekkiego czerpią swą treść z faktów najbliższych, z wydarzeń, jakie zaszły podczas dni ostatnich lub przed chwilą zaśnięcia. To samo spostrzeżenie uczynili na drodze samoobserwacyi Bunge i A. Pilcz²⁾. A więc w pierwszych godzinach nocy śnią się nam wydarzenia bardziej oddalone w czasie; nad ranem, przeciwnie — najbliższe. Zdaniem Pilcz'a, sen głęboki, pozbawiony marzeń, świadczy o głębokiem zaburzeniu inteligencyi i utracie pamięci. Fakty te nie są pozbawione praktycznego znaczenia. Wynika z nich bowiem, że charakter i treść marzeń sennych posiadać może znaczenie środka dyagnostycznego dla określenia głębokości snu i dla oceny pożytku, jaki on człowiekowi przynosi. Atoli fakty te nie zostały jeszcze ustalone w nauce i wymagają sprawdzenia drogą nowych doswiadczeń i badań.

Nadto nadmienić muszę, że prace doświadczalne Vaschide'a, rozwiązujące problemat o istnieniu marzeń w znaczeniu dodatniem, mają jeszcze do zwalczenia następującą trudność. Można zarzucić, że marzenia występują właściwie nie podczas snu samego, lecz w okresie przejściowym do stanu czuwania. Odnosząc je wstecz, ulegamy

¹⁾ „Wszechświat,” 1903, N 36.

²⁾ A. Pilcz, „Annales médico-psychologiques.” 1899, № 1.

niejako złudzeniu. Króciutką chwilą budzenia się wystarcza, żeby przed oczami naszej wyobraźni przesunęło się nieskończenie długie pasmo obrazów. Kwestya ta ma znaczenie więcej teoretyczne i rzeczywiście na drodze doświadczalnej rozwiązać się nie da. Okoliczność ta jednak nie zmienia postaci rzeczy i nie zmniejsza wartości badań Vaschide'a, o ile one pod innymi względami zyskają rękojmię pewności. Bo gdyby nawet marzenia sennie występowały jedynie w okresie przejściowym od snu do stanu czuwania, to zmuszeni byłibyśmy przyjąć, że okres ten pod względem psychicznym kształtuje się inaczej we śnie powierzchownym i inaczej w głębokim. Pośrednio przychodzi nam tu na pomoc fakt somnambulizmu, w którym śpiący wstają z łóżka, chodzą po pokoju, prowadzą dalej czynności, podczas dnia rozpoczęte, a czasami nawet przedsięwzięją długie i niebezpieczne wędrówki. Zjawisko to, mające niewątpliwie odpowiedni podkład psychiczny, występuje prawie zawsze w głębokich okresach snu i po przebudzeniu nie pozostawia najmniejszego wspomnienia.

Streszczając nasze wywody, widzimy, że w czasie snu mózg nie zaprzestaje całkowicie swej funkcji. Z jednej strony odbywa się w nim czynność utajona, nie posiadająca odpowiedniego równowaznika psychicznego, z drugiej zaś—praca więcej złożona, której rezultaty ujawniają się w postaci marzeń i widziadeł sennych. Mimo to jednak sen jest najlepszym dla naszego umysłu wytchnieniem. Brak w nim bowiem sprężyn, które, ożywiając naszą działalność duchową podczas stanu czuwania, najwięcej nasz mózg wyczerpują. To też, jeżeli porównamy natężenie funkcji wszystkich narządów w obydwóch tych stanach, przyjdziemy do przekonania, że oprócz układu mięśniowego, funkcya żadnego narządu nie ulega we śnie tak głębokiej zmianie, takiemu upośledzeniu i ograniczeniu, jak funkcya naszego mózgu. Z tego stanowiska sen jest przede wszystkim wypoczynkiem mózgu i mięśni.

V.

Obecnie stajemy w obliczu najtrudniejszego pytania, które nauce o śnie pozostaje jeszcze do zwalczenia. Pytanie to dotyczy istoty snu i jego bezpośredniej przyczyny. Odpowiedzi uczonych, ujmowane w formę licznych hipotez, o których charakterze ogólnym mówiłem na wstępie, nie są w stanie dać nam należytego wyjaśnienia

tego tajemniczego zjawiska. Dla tego też nie będę wyliczał wszystkich poglądów, istniejących w nauce, ograniczę się na przytoczeniu kilku najważniejszych.

Codzienna obserwacya uczy, że sen jest odpoczynkiem, zapewniającym każdemu ustrojowi wzmożenie sił, wyczerpanych podczas pracy dziennej. Stąd już krok jeden do połączenia związkami przyczynowym dwóch zjawisk, stale i okresowo następujących po sobie: pracy dziennej czyli znużenia i snu. Istotnie pojęcie to stało się podwaliną większości hipotez, upatrujących przyczynę snu we wpływach chemicznych, tylko tłómaczenie tego pojęcia przybierało w języku fizyologii najrozmaitsze postaci. Jakiś czas sądzono, że uczucie zmęczenia, ociążałość członków, poprzedzające sen, powstają wskutek nagromadzenia się w ustroju dwutlenku węgla (CO_2). Podrażnienie kory mózgowej, lub, jak twierdzili inni, swoistego, chociaż niewykrytego ośrodka, ma sprowadzać sen, w czasie którego następuje wzmożone wydzielanie nagromadzonego gazu. Mniemaniu temu zadały kłam wspomniane już badania Pettenkoffer'a oraz spostrzeżenia, stwierdzające olbrzymią różnicę pomiędzy klinicznym obrazem zatrucia dwutlenkiem węgla i zachowaniem się śpiącego człowieka.

Myśl, że bezpośrednią przyczyną snu są wytwory przemiany materyi, nagromadzone w ustroju podczas pracy dziennej, uwydatnia się nadto w całym szeregu hipotez. Według Preyer'a, tę domniemaną zależność, pierwszy Durham (1860) starał się uzasadnić w sposób naukowy. Dalej myśl tę rozwija Obersteiner (1871) i Binz (1874), który utrzymuje, że wchodzą tu w grę kwaśne produkty przemiany materyi, porażające korę mózgu na drodze chemicznej. Pewien krok naprzód stanowi teoria Preyer'a ¹⁾, która powstawanie snu czyni zależnem nie tylko od wpływów chemicznych, ale i od usunięcia podrażnień zewnętrznych i organicznych. Zdaniem Preyer'a, w stanie czuwania, mózg, rdzeń i mięśnie wytwarzają pewne substancje chemiczne, których nagromadzenie się w ustroju sprowadza uczucie znużenia i senność. Należy tu kwas mlekowy i kreatyna. Substancje te ulegają utlenieniu dopiero w stanie zupełnego spoczynku, czyli snu, ponieważ wówczas pochłaniają całą ilość tlenu, jaką ustrój otrzymuje z powietrza. Innemi słowy, zadanie tlenu podczas snu jest odmienne niż podczas czuwania. Zostaje on zużytkowanym nie dla czynności mięśniowej, nie dla procesów, będących fizyologicznym podło-

¹⁾ W. Preyer. Schlaf. „Real-Encyclopädie“ 1899. Tom 17. str. 529.

zem pracy duchowej świadomej, lecz dla zobojętnienia wytworów znużenia. Tkanka mózgowa, pozbawiona w ten sposób tlenu, przy jednoczesnem braku podrażnień zewnętrznych, zapada w sen. Preyer w celu poparcia swojej teorii, wykonał liczny szereg doświadczeń na zwierzętach i ludziach. Wprowadzał im do żołądka lub zastrzykiwał pod skórę kwas mlekowy i mleczan sodu, starannie usuwał wszelkie podniety zewnętrzne i sprowadzał tym sposobem sen ¹⁾. Atoli badania późniejsze nad własnościami kwasu mlekowego nie potwierdziły przypuszczeń Preyer'a (Meyer, Erler, Fischer). Inni znówu badacze opierając się na analogii, jaka zachodzi pomiędzy snem naturalnym i sztucznym, występującym pod wpływem środków narkotycznych (opium, chloral, chloroform), przypisują własności nasenne substancjom, wytwarzanym w ustroju podczas stanu czuwania. Na analogię tę zwrócił uwagę Purkinje, szerzej zaś myśl tę rozwinął Errera ²⁾. Autor ten na posiedzeniu Towarzystwa Antropologicznego w Brukselli w 1895 r. wygłosił odczyt, w którym określił sen, jako samozatrucie fizyologiczne. Pracy dziennej towarzyszą liczne przeobrażenia chemiczne, których ostatecznym wytworem są t. zw. leukomains. Przedostając się na drodze krwiobieg do ośrodków mózgowych, zanieczyszczają je, i, dzięki własnościom narkotycznym, sprowadzają uczucie znużenia i sen. Podczas dnia przeważa sprawa wytwarzania się tych substancyj, podczas snu sprawa utleniania, niszczenia i wydzielenia z ustroju.

Wszystkie powyższe teorie zasługują na liczne zarzuty. Jeżeli bezpośrednią przyczyną snu miałyby być nagromadzenie się wytworów przemiany materji, to wówczas ustosunkowanie się stanu czuwania i snu musiałyby posiadać charakter ściśle określonego mechanizmu. Tymczasem liczne spostrzeżenia dowodzą, że człowiek, śpiący snem bardzo głębokim, może być obudzony każdej chwili pod wpływem silniejszego bodźca, np. uderzenia, krzyku, jaskrawego światła. Powtóre, spotykamy dosyć często ludzi, którzy po dobrem wyspaniu się i wypoczęciu, innemi słowy, po zobojętnieniu lub wydzieleniu wy-

¹⁾ Pod wpływem teorii Preyer'a wykonano szereg badań w klinice prof. Korczyńskiego w Krakowie. Rezultatem ich była praca dr. J. Waszaka p. t.: Mleczan sodu, jako środek nasenny. 1876.

²⁾ Leo Errera. Sur le mécanisme du sommeil. Bruxelles 1895. Praca ta jest uzasadnieniem poglądów, wypowiedzianych przez tego autora w r. 1886 w rozprawie p. t.: Pourquoi dormons nous?

tworów znużenia, mogą zasypiać na nowo. Nie wyjaśniając mechanizmu i bezpośredniej przyczyny, teorye chemiczne określają tylko ogólny warunek powstawania snu, wskazują niejako na jego fizyologiczną konieczność. Zapewne, że układ nerwowy nuży się i wyczerpuje, tak, jak np. wyczerpuje się mięsień, tracąc zdolność dalszego kurczenia się, że pracy tej towarzyszą przeobrażenia chemiczne, których rodzaju dzisiaj nie umiemy określić. Serce odpoczywa w stanie każdego rozkurczu, mięsień — w stanie spoczynku, mózg — we śnie. Jednakże pogląd ten nie wyjaśnia całkowicie sprawy, nie tłumaczy powstawania snu w każdym poszczególnym przypadku. Wiadomo bowiem, że niektórzy ludzie mogą zasypiać dowolnie, że właśnie znużenie umysłowe najczęściej rozprasza sen i sprowadza bezsenność, podczas gdy spokój duchowy, wolny od wysiłków i wzruszeń, zapewnia ludziom sen głęboki i zdrowy. W wielu razach uczucie znużenia, wyczerpanie, sennaść, są to stany niezależne od siebie. Wreszcie nadmienić należy, że owe substancje nasenne, wytwarzane w ustroju wskutek znużenia, mimo ciągłych poszukiwań, dotychczas nie zostały wykryte.

Słowem, wszystkie teorye chemiczne nie dają się pogodzić z wieloma faktami, spostrzeganymi codziennie w praktyce życiowej i nie tłumaczą w sposób zadawalający ani istoty snu, ani jego bezpośredniej przyczyny. Omówiłem je szerzej dla tego, że przez długi czas teorye te cieszyły się największem uznaniem i do dziś dnia mają swoich wyznawców.

Około połowy zeszłego stulecia zjawiała się w nauce teorya słynnego w dziejach histologii mózgu badacza Purkinie'ego, który powstawanie snu usiłował wytłumaczyć na drodze anatomicznej. Purkinje sądził, że podczas snu zostaje przerwane przewodnictwo pomiędzy ośrodkami półkól mózgowych i pozostałą częścią mózgu. W ostatnich czasach myśl ta odżyła na nowo, dzięki bliższemu poznaniu budowy układu nerwowego. Według nowszych poglądów cały układ nerwowy składa się z mnóstwa samodzielnych jednostek t. zw. neuronów, połączonych wzajemnie w ten sposób, że zakończenia jednego neuronu w postaci delikatnych włókienek oplatają zakończenia neuronu sąsiedniego. Otóż M. Duval, profesor histologii w Paryżu w 1895 r. wyraził przypuszczenie, że włókienka te posiadają zdolność kurczenia się, co pociąga za sobą oddalenie się wzajemne zakończeń neuronów. Powstająca stąd przerwa uniemożliwia funkcję przewodnictwa i sprowadza sen. Hypoteza Duval'a, której zwolennikiem jest Bunge, ma niezwykle słabe uzasadnienie faktyczne. Przedewszyst-

kieni zdolność kurczenia się włókienek nerwowych nie została dotychczas wcale dowiedziona. Najnowsze zaś badania Stefanowskiej z 1900 r. przeczą najzupełniej zapatrywaniom Duval'a. Powtórę, zasadniczym brakiem tej teorii jest pominięcie pierwotnej przyczyny domniemanych zmian morfologicznych. Dlatego też Nusbaum, uważając wszelkie próby wytłómaczenia snu ze stanowiska fizjologii za niedostateczne i jałowe, pragnie rozświetlić tę sprawę na drodze rodowej, filogenetycznej. Po rozpatrzeniu całego szeregu jestestw organicznych, poczynszy od wymoczków, kończąc na człowieku, Nusbaum przychodzi do wniosku, że wszystkie istoty żyjące obdarzone są zdolnością czasowego zawieszania niektórych przejawów życiowych. Zdolność ta wytworzyła się stopniowo, jako konieczne następstwo przystosowania się istot żyjących do wpływów i warunków zewnętrznych. Odmiennym warunkom dnia i nocy odpowiadają dwa stany odmienne: stan czuwania i snu. Przyznać trzeba, że pogląd Nusbauma, oświetlając nasze zagadnienie z tak odrębnego punktu widzenia, niewiele pomaga do lepszego zrozumienia zajmującej nas sprawy. Niewątpliwie całe życie ludzkie w niezliczonych jego przejawach cielesnych, duchowych, społecznych jest nieskończenie długim pasmem oddziaływań i przystosowań człowieka do człowieka i do otaczającej go natury ożywionej i martwej. Mimo jednak stwierdzenia tego faktu, w każdym poszczególnym wypadku pozostaną jeszcze do wytłómaczenia istota i mechanizm tego przystosowania, sprężyny, przy pomocy których ono się urzeczywistnia, drogi, jakimi kroczy.

Oprócz teorii chemicznych, anatomicznych—istnieją jeszcze inne, które objąć można mianem dynamicznych. Z pośród znanych mi lepiej autorów, zaliczyć tu mogę Wundt'a, Forel'a i Oscara Vogt'a. Według Wundt'a¹⁾ czynnikiem, usposabiającym do snu, jest znużenie i osłabienie uwagi, bezpośrednią zaś jego przyczynę stanowi zawieszenie funkcji ośrodków, będących siedliskiem apercepcyi. Zjawiska, które podczas snu występują, dowodzą, że z ośrodków tych rozchodzą się wpływy hamujące, które ogarniają cały układ mózgodzeniowy i powodują obniżenie właściwych mu funkcji.²⁾ Następstwem wpływów hamujących jest mniejsze natężenie czynności na-

¹⁾ W. Wundt. Grundz. d. Physiol. Psychologie 1893 II Bd. IV Aufl. str. 534. Hypnotismus und Suggestion. Leipzig. 1892 str. 56 i Grundriss der Psychologie. Leipzig 1896, str. 323.

²⁾ Zbliżony do tego pogląd znajdujemy w dziele prof. N. Cybulskiego, p. t. Fiziologia człowieka 1891, str. 833.

rzędów wewnętrznych, zwolnienie oddechania, krążenia krwi i ograniczenia funkcji wydzielniczych, zmniejszenie pobudliwości odruchowej. Wyrazem psychicznym zahamowania ośrodków kory mózgowej jest zawieszenie przejawów, właściwych naszej świadomości podczas stanu czuwania. W dalszym ciągu, jako zjawisko wtórne, ujawnia się zasada t. zw. wyrównania (compensation) funkcji, którego istota polega na wzajemnem oddziaływaniu ośrodków—neurodynamicznem i naczynioruchowem. Część energii utajonej, nagromadzonej w pewnym ośrodku wskutek zahamowania jego funkcji, dzięki licznym połączeniom nerwowym spływa do innych ośrodków i wzmagą nadzwyczajnie siłę występujących tu przypadkowo pobudzeń. Wpływ ten potęguje jeszcze oddziaływanie naczynioruchowe. Zwężenie naczyń krwionośnych, towarzyszące zahamowaniu funkcji w jednym miejscu kory, pociąga za sobą zastępcze ich rozszerzenie w innym ośrodku, zwiększony chwilowo przypływ krwi do niego i wzmoczenie pobudliwości. Tym sposobem pojedyncze ośrodki, zasilane energią, spływającą z pogrążonego w bezczynności mózgu, snują dalej swą pracę. Tylko wyraz psychiczny tej pracy, wobec zahamowanego wpływu apercypcyi, jest różny od przejawów duchowych na jawie. Rezultatem jej, zamiast procesów spostrzegania i logicznego myślenia, jest fantastyczny świat marzeń. Jak widzimy, teoria Wundt'a jest konsekwentnym wynikiem zasadniczych postulatów jego psychofizjologii i już dlatego budzić może pewne wątpliwości. Tajemnica bowiem zdolności do apercypcyi, która zostaje w śnie zawieszoną, była i jest dotychczas przedmiotem częstych napaści ze strony licznych psychologów (np. Ziehen). Powtórę, zasada wtórnego wyrównania funkcji jest pomysłem hypotetycznym, sztucznie dostrojonym do niewielkiej liczby faktów. W całej tej teorii najwięcej prawdopodobieństwa posiada przypuszczenie, które upatruje przyczynę snu we wpływach hamujących. Nie zostało jednak wyjaśnione, jakie czynniki wywołują bezpośrednio to zahamowanie ośrodków kory mózgowej.

Punktem wyjścia poglądów Forel'a są badania z dziedziny hipnozy. Po bliższem rozważeniu warunków zasypiania w obydwóch tych stanach, Forel przychodzi do wniosku, że mechanizm występowania snu zwykłego i hipnotycznego, jest niemal jednakowy i polega na oddziaływaniu suggestyjnem. Pokrewną, lecz szerzej rozwiniętą i opartą na podstawie fizjologicznej jest teoria Oscara Vogta ¹⁾.

¹⁾ Oscar Vogt. Zur Kenntniss des Wesens und der psychologischen Bedeutung des Hypnotismus. Zeitschrift für Hypnotismus 1895—96. Leipzig.

Zostały w niej uwzględnione wszystkie czynniki, które w akcji zasypiania odgrywać mogą jakąkolwiek rolę. Zdaniem Vogta istnieją w mózgu swoiste ośrodki odruchowe, których pobudzenie dąży do wyzwolenia całego szeregu procesów neuro-dynamicznych, warunkujących powstawanie snu. Przedewszystkiem należy tutaj ośrodek odruchowy dla skurczu mięśnia okrężnego powiek i zamknięcie oczów, następnie ośrodek naczynioruchowy, którego podrażnienie sprowadza zwężenie naczyń mózgowych, niezbędną dla powstania snu. Różne czynniki psychiczne, np. widok sypialni, ziewającego człowieka, zdjęcie odzieży, przybranie odpowiedniej pozycji, pewna godzina, wreszcie myśl o śnie, wszystko to na drodze kojarzenia, oddziaływa na wyżej wspomniane ośrodki, powoduje zamknięcie oczów i zwężenie naczyń mózgowych. Oddziaływanie to jednak może zachodzić tylko przy pewnych warunkach, które powstają dzięki wpływowi neurodynamicznym. Jeżeli pobudliwość kory mózgowej zmniejsza się skutkiem zmęczenia, wówczas wszystkie prądy, dopływające do niej ustawicznie z zewnątrz, na zasadzie działania neurodynamicznego, kierują się natychmiast ku swoistym ośrodkom odruchowym i potęgują ich funkcje. W warunkach zwykłych, podczas pracy duchowej, przy skupieniu uwagi na pewnym przedmiocie, pobudzenie tych ośrodków przemija bez śladu. Nie będę przytaczał wielu innych szczegółów dowcipnej teorii Vogta, który ze stanowiska neurodynamiki usiłuje wytłómaczyć wszystkie zjawiska, w dziedzinie snu spostrzegane. Zasługą Vogta jest zwrócenie uwagi na udział wielu różnorodnych czynników, pomijanych zwykle w poprzednich teoriach, oraz chęć nadania im jednolitej fizyologicznej podstawy. Niestety, postulaty neurodynamiki Vogta są tylko przypuszczeniami, które nie mogą być stwierdzone faktycznie i muszą być uważane za wytwór podmiotowy, nie pozbawiony spekulatywnej przymieszki.

W szkicu tym starałem się podać charakterystykę najważniejszych teoryj snu. W rzeczywistości liczba ich jest znacznie większa, że wspomnę o teoriach Verworu'a, Pilcz'a, P. Janet'a. Uważam jednak za zbyt ciężkie tutaj je omawiać, ponieważ żadna z nich nie jest dostatecznie uzasadnioną i opartą na danych naukowych, faktycznie stwierdzonych, i żadna nie jest w stanie wyjaśnić tego tajemniczego zjawiska. Prawda zdaje się spoczywać w tym punkcie, w którym zbiegają się wszystkie te teorie, bez względu na liczne, zachodzące między nimi różnice. Otóż wszyscy niemal badacze przyznają, że sen jest wynikiem jakiejś zmiany, powstającej w korze mózgowej. Przypuszczać można, że niektóre wyżej przytoczone czynniki, jako to:

nagromadzenie się produktów przemiany materji, usunięcie podnieć, wpływy psychiczne (Vogt) mogą oddziaływać na korę mózgową i usposabiać do powstania tej zmiany swoistej. Bliższe określenie, czy zmiana ta jest natury chemicznej, morfologicznej, czy też dynamicznej, należy do przyszłych dociekań i badań.

DR. KAROL ROZENFELD.

POGADANKA O SZTUCE.

KILKA SŁÓW O STOSUNKU SPOŁECZEŃSTWA DO SZTUKI.

Dotykając tematu takiego jak *sztuka*, nie w jej oderwanem pojęciu, lecz jako żywy, bezpośredni i ściśle związany z całością objaw życia naszego, nie można nie wyczuć mnóstwa fałszywych tonów, co chwila podsuwających się na każdym kroku.

Ta płatanina pojęć, a zwłaszcza frazesów, utrudnia niesłychanie porozumienie się wśród tych, co by na prawdę chcieli rozumieć innych i być rozumianymi z kolei.

Mózgi niemieckie, wymyśliwszy cały ów skomplikowany swój system estetyczny, działały w dobrej wierze, i, dodam, nawet ze względnie dobrym skutkiem, jeżeli zważymy, iż takie ujęcie przedmiotu odpowiadało widocznie naturze myślenia głów niemieckich. Natomiast niezdarne często, a zawsze doraźne i przypadkowe urywki frazesów na nasz grunt przekolportowane, wprowadziły zamęt tem większy, że na gruncie owym nie było jeszcze ni wytkniętych punktów, ni ustalonej tradycyi sztuki, bezpośrednio z łona narodu powstałej.

Jeż papieru i czasu zmarnowano nad rozwiązaniem niemożliwego i zbytecznego zresztą pytania: Co to jest sztuka?—natomiast jasne i wyraźne kwestye: czem dzisiejsza sztuka jest dla nas, i w jakim my do niej pozostajemy stosunku, do tej pory nie są ani rozstrzygnięte, ani nawet wyraźnie i jasno postawione. Bez rozstrzygnięcia zaś tych kwestyi, choćby nawet w formie ogólnej i płynnej, nie może być mowy, ani o jasnym i sformułowanym sądzie krytycznym naszej dzisiejszej twórczości, ani też o istotnej duchowej wspólności między duszą zbiorową narodu a jego sztuką.

Oczywiście takiej kwestyi nie rozstrzyga się w jednym albo nawet kilku artykułach, lecz przez stałe dążenie do ustanowienia właściwego kąta widzenia, którego jedną podstawą musi być sama twór-

czość nasza, drugą pojęcie i odczuwanie ogółu, a punktem zbieżnym krytyka, regulująca różnice tych dwóch dążeń. U nas jedeu tylko Witkiewicz stanął na takim gruncie, zapoczątkowawszy tem samem właściwą wymianę pojęć, między artystami i ogółem. On jeden starał się odnaleźć i wyrozumieć intencye twórcze i torować im dopływ we właściwe miejsca, a zarazem grunt do przyjęcia tych intencji przeznaczony, ocenił i określił podług wartości.

Wszystkie ówczesne drobne pomyłki i błędy Witkiewicza, dla nas obecnie dostrzegalne, pochodziły nie z fałszywego założenia, ani z zasadniczo błędnego poglądu na sztukę, lecz z warunków terenu i epoki, z koniecznej nieraz przesady w przeciwstawieniu nowych a nieznanych jeszcze wartości, fałszywym starym, trzymającym się mocno jedynie prawem osiadania. Witkiewicz wykuł w skale szeroki tunel dla dopływu świeżego powietrza, dla świeżych prądów, i prądy te przyszły wraz ze świeżemi powiewami życia.

Lecz wymiany starych pojęć na nowe mają to do siebie, że towarzyszy im zawsze anarchia pojęć, a w chwilowo powstałe próżnie weiska się krzykliwa orgia dzikich i poplątanych opinii.

Więc też po świetnej epoce Witkiewicza, po jasnem sformułowaniu stosunku doraźnego, między twórczością a ogółem, zapanował znów chaos. Rozwój szkoły „narodowej“, ruch w kierunku odszukiwania swojskich motywów, „szkoła bronowicka“, a równocześnie wysubtelnione czucie na każdy podmuch z Zachodu i próby rozwiązania nasuwających się problemów przez prerafaelizm, przez Odrodzenie, przez symbolizm, ruskinizm i t. d. wywołały szereg dyskusyi, przezeń i sporów.

To wszystko jest raczej rozproszeniem kwestyi, a nie dążeniem do usyntetyzowania jej. Czy znalazł się wśród nas człowiek, któryby zadanie takie sobie postawił? Sądzę, że nie!

Cóż my naprawdę rozumiemy pod wyrazem „Odrodzenie“, jeżeli rozumieniem nazwiemy wspólność masową ducha ówczesnego z dzisiejszym? Zaprawdę, nic, lub bardzo niewiele.

To, że wiemy, gdzie się znajduje „Sąd ostateczny“, albo „Madonna z rybą“, lub „Sybille“, że z uwielbieniem głosimy rozmach i głębię ówczesnej sztuki, to dowodzi tylko naszej erudycyi, albo mniejszej lub większej kultury artystycznej, kultury zresztą nie ogólnej i eklektycznej. Epoka ówczesna po zatem jest dla nas duchowo obca, nie umiemy odczuwać życia i siebie na miarę ludzi ówczesnych, a przeto sztuka tej epoki n c z u c i o w o jest dla nas obcą również. Julian Klaczko mówiąc swe znane: My, Słowianie, możemy być tylko

mistrzami słowa, pomylił się oczywiście, lecz pomylił o tyle tylko, iż źle sformułował myśl zasadniczą, która pod wpływem zestawień dwóch epok, w umyśle jego zapewne się zrodziła. Odrodzenie, to indywidualizm w tem najszczerzszym i najszerszym znaczeniu słowa, którego ogół dzisiejszy pojąć nie jest w stanie, indywidualizm w życiu, myśleniu, odczuwaniu, indywidualizm wywołany potęgą wewnętrznej energii. Protest rzeczywistego, potężnego życia, które samo dla siebie jest celem, w zgodnem rozprężeniu się ducha i zmysłów do granic najdalej wyznaczonych przez naturę.

Uobóstwienie człowieka w ciele i duszy, kult dla wolności istnienia, kult tak wielki, że stanowi niemal oś twórczości artystycznej epoki. Narodziny potężnego, zmysłowego ideału człowieczeństwa w najwyższej jego skali—bohaterstwie. Duch i ciało przemieniają się w jednolitem spojeniu, podniesione do najwyższych szczytów piękności i potęgi. „Kiedy czytam Homera, to zdaje mi się, że urastam na dwadzieścia łokci“ — mówi Michał-Anioł, a Cellini delektując się pięknem ciała ludzkiego i podnosząc wdzięk składowych jego części, dodaje: „Pępek także jest piękny, linie jego są niewysłowionej wytworności“. Kobieta i walka, miłość i bohaterstwo, jest główną treścią ich istnienia. Uczucia ich są potężne, bo rozkosz i życie jest dla nich w potędze wrażeń i wzruszeń, żądza wyolbrzymienia się przez dzieła zewnętrzne zajmuje ich przedewszystkiem. Na tem tle powstaje bogata sztuka, która jest wyrazem i skryształizowaniem epoki.

W zestawieniu ze wspomnianą epoką, dzisiejsi ludzie, brani nie pojedynczo, lecz jako zbiorowisko, stanowią zgoła inny grunt dla sztuki.

Pomijając szczegółowe różnice, które się z zestawienia wysnuwają, zatrzymam się tylko na jednej. Oto dzisiejszej zbiorowej duszy ludzkiej, brak pierwiastku bohaterstwa. Zkąd to pochodzi? Przedewszystkiem z wytkniętych celów życia. Celem życia jest samo życie—zdaje się mówić skryształizowany sens zamierzonych czasów, a wszystko inne jest tylko środkiem do osiągnięcia tego celu jedyngo. Teza ta, dziś wydaje się być, jak gdyby przedstawioną odwrotnie, t. j. że życie samo jest jakoby środkiem do osiągnięcia różnych celów. Jakich?—to już pytanie następne i bardzo złożone, kwestya tkwi w tem, czy każdy lub którykolwiek z tych celów może stanowić tak mocny motor istnienia, by mógł napięcie duchowe rozwijać do najwyższego punktu bohaterstwa. Z tego bowiem punktu konsekwentnie wypływa w następstwie natura samej twórczości

i sztuki, czy to jako misteryum duchowego, czy też jako rozrywki dla nerwów i mózgów znużonych.

Względność wszystkiego! To pojęcie względności w stosunku do życia, jako istotny dorobek myślowy XIX wieku, jest zarazem najogólniejszym wykładnikiem dzisiejszej duszy. Niema tak bezwzględnie wielkiej rzeczy, którąby można wypełnić całkowicie życie; natomiast wiele jest rzeczy mniejszych, dla których żyć jest warto. Stąd ogólny dyletantyzm i eklektyzm życia, stąd umniejszenie jego skali w tym celu, by kosztem umniejszenia tej skali, umniejszyć siłę jego bólu, a zwiększyć liczbę niewinnych radości. Ogólne dążenie do przerzucenia się od miary Fidyasza na miarę krawca. Jaki jest grunt na którym ma powstać nowa sztuka dzisiejsza, sztuka narodowa, o którą się dopominają liczne głosy? Jaki jest skład gleby pod nią przeznaczony, i jaka żywotność absolutnej energii twórczej? — Jesteście apaszami! — mówił w swoim czasie Witkiewicz do naszego społeczeństwa; ja powiem, jesteście duszami pustemi, z których wyniesiono dawne bogi, dawne uczucia proste a silne, dawną wiarę, i nie jeszcze na tem miejscu nie postawiono wzamian. Wmawiamy w siebie wiele i to co wmawiamy, otulamy troskliwie, jako małe dziecko ostrożnie otula dłoń przymkniętą, mniemając, że trzyma jeszcze złapanego motyla, który już dawno zdołał się wysunąć i ulecieć.

— Gdzież jest Bóg duszy dzisiejszej? w kościołach! — A piękno? w muzeach i galeryach! — A poezya życia? w pieśniach piastunek! — A miłość? w kodeksie stanu cywilnego! — A urok przyrody? w zielnikach i ogrodach zoologicznych! I tak dalej przenikać mogą pytania po za obsłonki konwencyonalne, wszystko to znajdzie się na zewnątrz duszy dzisiejszej, trwożliwej duszy dzisiejszego człowieka - ofiary, która życie pojmuje jako troskę, lub jako pustkę, a w najwyższym już pojęciu — jako obowiązek. Potężna rozkosz życia, nawet jako ból i walka, przechodzi pojęcie dzisiejsze, które w najwyższej formie zna męczeństwo, a przedewszystkiem, przymus i obowiązek jako ofiarniki, na których najszlachetniejsze dusze spalać się powinny.

Jeżeli odrzucimy retoryczne obsłonki, to rzec trzeba, że sztuka tolerowaną jest tylko, jako motor społeczny, do spełnienia pewnych, nieokreślonych zresztą obowiązków. Pod tem tylko wezwaniem mówi się o niej, jako o rzeczy dobrej i potrzebnej, a nawet robi się coś dla niej. Po za tem toleruje ją się, jako jedną z form rozrywki i odpoczynku.

Mąż pewien „uczony w piśmie“, rzekł mi raz z powodu sztuki tak:— „Sztuka nam jest potrzebna do wykazania naszej wartości kulturalnej wobec Europy“. A więc „demonstracya“ sztuki, coś niby demonstracye flot mocarstw, które chcą zaznaczyć swoją potęgę. Innych celów sztuki „mąż“ ten nie znał i nie uznawał, a zdaje się, że cytowane słowa jego, są wyrazem, jeżeli nie ogólnej, to przynajmniej dość rozpowszechnionej opinii.

Lecz przypuśćmy, że są one tylko cząstkowem pojmowaniem sprawy, że wśród większości ludzi jej znaczenie reprezentacyjne zepchnięte jest na dalsze plany, na pierwszym zaś postawiony jest ogólny a bezpośredni pożytek. Jak się tedy pożytek ten przedstawia w formie konkretnej?

Jak powiedziałam wyżej, my wszyscy, w stosunku do innych epok, mamy niejako „odpreparowaną“ samorzutność indywidualną. Procesy duchowe określone, ponumerowane, i odpowiednio usankcjonowane w olbrzymiem gospodarstwie zbiorowej maszyny ludzkiej, rozwijają się z gotowych motków. To co się nazywa *czuciem i myśleniem niezależnem*, wykluczone jest z buchalteryi duchowego życia gromady. Tem samem więc sfera istotnej sztuki, sfera bezpośredniego wyrazu duszy, zacieśniona jest obręczą *wyrozumowania*. W granicach tej obręczy rozwija się „sztuka“, lecz rozwój jej może być tylko zewnętrzny; staje się ona produktem rozumowanym i umiejętnością. Bez analizy, teoretycznie określa się to nazwą „sztuki“, sprawdza się jej wartość ilościowo i popiera, względnie utrzymuje, jako instytucję społeczną. *Obywa t e l s t w i e r d z a* jej istnienie, natomiast *człowiek*, obojętnie odwraca się od niej, rozglądając się za czemś bardziej żywym i bardziej bliskiem swej duszy. I tu zarysowyywa się nam wizya twórczości bezpośredniej, czyli sztuki przez bezpośredniość swą rodzimej. Pod wpływem pewnych zjawisk życiowych rozprasza się ona, albo też potężnieje i podnosi głowę. A dzieje się to w chwilach najrówniejszego rytmu życia zewnętrznego, gdy mechanizm tegoż w udoskonalonem działaniu osłabił bodźce bezpośredniego czucia. Wówczas pod zewnętrzną maską zewnętrznego życia poczyna się odśrodkowa robota nieświadomych, a przez nieświadomość swą niezależnych sił duszy indywidualnej. I tak, gdy w jednym miejscu ślęczą mózgi w celu wyszukania realnych podstaw i prawd dla „swojskiej“ sztuki, ona sama w innym miejscu powstaje, pod wpływem skupionego procesu duchowego, niby ranne opary wód, wznoszące się ku słońcu. Podejmuje ona mnóstwo zaniedbanych uczuć, stłumionych nastrojów, usubtelnia się przez to, pogłębia i uduchowia.

Ta sztuka zbyt jest nieświadoma swych ostatecznych celów, by mogła budować sobie gotowe drogi. Zbyt bezpośrednia i szczerą, by mogła mieścić się w przepisach ładu zewnętrznego życia. Moralność jej tkwi w jej niezależności.

*

*

*

Czy „swojskość“ formy, ochrona przed wpływami obcemi, podsuwanie szczątków swojskiej sztuki, może mieć jaki wpływ na objaw tak niezależny, jak twórczość, i czy wogóle może być postawiona teza wychowawcza?

W swoim czasie, mówiąc na innem miejscu o sztuce i zdobnictwie ludowem, zaznaczyłem, jak przedziwnie szczerzy i bezpośredni, choć biedny wyraz posiada dusza ludu naszego w swojej sztuce, poezyi, wierzeniach i obyczajach. Tam nic nie jest na pokaz, nic nie jest towarem, ani reprezentacją. Twórczość jest tam istotną twórczością, jest wyrazem duchowej potrzeby i duchowej energii, to też ta twórczość duchowa jest doskonałym wzorem sztuki wyrosłej z puia rodzimego, czyli t. zw. sztuki swojskiej. Oczywiście, w z o r e m tylko, ale nie m a t e r y a ł e m, i dla tego też przesada w zwróceniu się do niej, bez zastrzeżeń, jako do materiału gotowego, jest bardziej modą, niż trafieniem na pewną drogę. Ładny jest kilimek, ładną i architektonicznie wytworną jest chata zakopiańska, miły w swoich jaskrawych ornamentacyach, prosty kadłub skrzyni bronowickiej, ale na tem prawie że kończy się materiał bezpośredni, a równocześnie ramy życia intelektualnego domagają się czegoś, jeżeli nie głębszego, to szerszego. Stąd też wydają mi się i dziwnymi i szkodliwymi, hasła, rozlegające się tu i owdzie w kierunku zepchnięcia intencji twórczej do wiejskiego życia i wiejskiego ornamentu. A inaczej tych hasel rozumieć nie można, zwłaszcza, gdy spotykać się trzeba z obawami, by wszelkie wpływy sztuki zachodu, sztuki szczególnie odrodzenia, nie zachwaciły twórczości rodzimej.

T r e ś ć sztuki zależna jest od głębokości i skali uczuć, w y r a z, forma — od indywidualności pojmowania zjawisk, tak w rozumieniu osobowem, jak i plemiennem. Co zaś do indywidualności, to taka, którą

trzeba „podkarmiać“ i zarazem trzymać pod kojcem, by nie sfrunęła na obce podwórko, taka nie jest żadną indywidualnością, i dla istotnej twórczości nie ma żadnego znaczenia. Jedyny, jaki można stwierdzić, wpływ na twórczość, wywierać może samo otoczenie bezpośrednie, czyli grunt, na którym ta sztuka wyrasta, a wpływ ten wyrazić się tylko może ujemnie. To znaczy, że gdy grunt jest zbyt jałowy, zbyt suchy, zbyt mało uprawny, roślina karłowacieje i usycha. Po za tem, rzecz się ma odwrotnie, t. j., że może być mowa tylko o takim wpływie, który idzie ze sztuki na otoczenie. Ów wpływ ujemny, idący z otoczenia na sztukę, jest tylko mechaniczny, przynębiający z zewnątrz, a szukać go należy w zbyt wielkiej różnicy między organizacją duchową twórców i ogółu, w różnicy kulturalnej, i wreszcie obojętności. Twórczość jest nieustającą rewolucją, walczącą ciągle o wolność żywych uczuć. Walczy ona nawet przeciw temu, co sama budowała poprzednio. Sztuka występuje, jako pobudka bojowa wolności, przeciw moralnemu zacieśnieniu gromady jako protest zwycięzki przeciw zaściankowej optyce małego kąta, lub jako druzgocące sztyderstwo. Ten jest wpływ sztuki na przebudowę wiązań duchowych otoczenia i w tem zarazem tkwi ciężar, który ją przygniata. Tragedya łoskotu młotów, przykuwających łańcuchy do skały, tragedia krwawiącej wątroby, szarpanej przez sępa niemocy. Jakże śmieszną jest wobec tego wszelka „akuszerya“ sztuki, wszelkie „normalne“ powijaki i „odtłuszczone“ pokarmy.

Miarą twórczą jednostki jest jej moc odczuwania i moc wyładowywania uczuć. Miarą wewnętrznej mocy ogółu, jest sfera, zakreślona przez nią dla pojęcia piękna, i od granic tej sfery zależny jest grunt, na którym sztuka (rodzima oczywiście) ma się rozrastać.

Na początku już próbowałem określić skalę i naturę owej sfery i zaznaczyć jej zmienność w stosunku do epok. Mianowicie, podkreśliłem zewnętrżność dzisiejszej epoki, zewnętrżność w celach i w wyładowywaniu energii. To nie pozwala dzisiejszej epoce tworzyć wielkiej sztuki, choć nie przeszkadza mieć wielkich twórców. Ludzkość żyje na wielką skalę, stwarza nawet i spełnia wielkie zadania, ale nie może się zdobyć na wielkie ideały. Cokóły dla nich przeznaczone są puste, gdy stare zwietrzały i rozkruszyły się na pył. W sztuce zarysować się muszą nowe, nieuświadomione jeszcze ideały przyszłości. Przez sztukę odnajdą one swoje formy, swój symbol, w niezliczonych mieniący się kształtach. O takiej sztuce dopiero można powiedzieć, że stała się wyrazem zbiorowego ducha, że jest sztuką narodową.

Kultura artystyczna i rozwój sztuki wzrastają równolegle do pogłębienia duchowego ogółu, ale same przez się nie są w tym procesie przyczyną, lecz skutkiem.

I jeżeli sztuka nasza w perspektywie przyszłości, zarysowuje się w kształtach szerokich, to szukać przyczyn należy nie w szkołach i akademiach, nie w zmożonym obowiązku społecznym, lecz w powolnym, ale stałym pogłębianiu się życia duchowego.

STEF. POPOWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

HANS PAALTZOW. Zur Polenfrage. Der Gebrauch der polnischen Sprache in politischen Versammlungen. Die polnischen Post-adressen. Zwei Rechtsgutachten. (Berlin 1902).

Broszura Zorna, profesora berlińskiego uniwersytetu, skierowana przeciwko używaniu języka polskiego na zgromadzeniach publicznych oraz na adresach pocztowych, wywołała studium Paaltzowa, nadbibliotekarza biblioteki królewskiej w Berlinie, w którym autor, odrzucając dowody i rozumowania swego poprzednika, dochodzi, na innej wprawdzie drodze, do tychże samych postulatów politycznych. Zorn, pragnąc usunąć język polski ze zgromadzeń publicznych i z adresów pocztowych, utrzymywał w sposób kategoryczny, że prawo pruskie i niemieckie obowiązujące, zaprowadziło w życiu publicznym jeden tylko język państwowy (Staats-sprache) niemiecki. Dotychczasowe panowanie języka polskiego na zgromadzeniach publicznych było jedynie ustępstwem prekaryjnym, a więc w każdej chwili odwołalnym, władz rządowych, i obecnie, gdy nadzór policyjny nad owymi zgromadzeniami domaga się używania wśród obrad języka niemieckiego, dawne ustępstwa należy cofnąć i uważać je w przyszłości za niemożliwe. Co się zaś tyczy kwestyi adresów pocztowych, to zwyczaj przeszło stuletni przyjmowania polskich adresów przez pocztę pruską, nie skłania prof. Zorna do żadnych ustępstw czy wyrozumiałości. Twierdzi on stanowczo, iż niemieccy urzędnicy pocztowi, zarówno jak i urzędnicy innych gałęzi administracji państwowej, obowiązani są nie tylko używać w służbie, ale znać w ogóle jeden tylko język państwowy niemiecki, i skutkiem tego obowiązani są przyjmować i doręczać listy czy pakiety tylko wtedy, jeżeli takowe są zaopatrzone w wyraźny adres niemiecki.

Odpowiedzią na powyższe wnioski Zorna jest studium Paaltzowa, którego tytuł został na czele podany. W przedmowie jednak

autor uprzedza czytelnika, że jego polemika z Zornem będzie miała charakter doktrynerskiej szermierki. Broszurę swoją napisał bowiem na gorące wezwanie hakatystów (Ostmarken-Verein) a dla „polskiej agitacyi“ ma jedynie słowa potępienia. Zdaniem jego, skutkiem owej agitacyi powinno być uzupełnienie dotąd niedostatecznego prawodawstwa prusko-niemieckiego, co do używania mowy niemieckiej na zgromadzeniach publicznych i na adresach pocztowych. W jakim zaś duchu prawodawstwo owo winno być uzupełnione, przekonywują nas słowa kończące przedmowę, które brzmią jak następuje: „Na gruncie niemieckim winna jedna tylko narodowość wyciskać stanowcze piętno na całym życiu publicznym, a mianowicie niemiecka. Tej konieczności muszą ulegć nasi współobywatele, mówiący po polsku“. Zakończenie powyższe nie jest pomyślną zapowiedzią dla polskiego języka. W każdym razie rozumowanie Paaltzowa jest oryginalne i nie pozbawione przenikliwości, zwłaszcza w tych ustępach, które są skierowane przeciwko kunsztownej, rabulistycznej interpretacyi Zorna.

W historycznym ustępie przypomina Paaltzow, że w r. 1876 poruszył Łyskowski w swej interpelacyi po raz pierwszy sprawę rozwiązywania zgromadzeń przez policję, z powodu posługiwania się w dyskusyi polską mową. Najwyższy sąd administracyjny, na którego pogląd miał do pewnego stopnia wpływać Rudolf Gneist, zdecydował, że używanie obcej mowy na zgromadzeniu publicznym nie może być nikomu zabronionem i że jestto rzeczą policji postarać się o urzędników znających polską mowę, aby należycie wykonywać prawo nadzoru. Przez dwadzieścia lat władze zastosowywały się do powyższego orzeczenia, dopiero w r. 1896, minister v. d. Recke, przyszedł do przekonania, że dłużej, podobne postępowanie jest niemożliwem. Przemawianie bowiem po polsku na zgromadzeniach publicznych, zakorzeniło się w prowincjach nadreńsko-westfalskich oraz na Górnym Szlązku, i to, jak minister twierdził, z tym wyraźnym zamiarem, aby policji udaremnić wszelki nadzór nad niemi. Odpowiadając na interpelacyę Stephana, minister v. d. Recke zapewniał, że administracyi w zasadzie jest zupełnie obojętnem, czy na zgromadzeniach używaną jest mowa niemiecka, lub obca; administracya bowiem nie zajmuje się protegowaniem czy stłumianiem pewnej mowy lub języka. Jestto jednak w każdym razie rzeczą wysoce nienormalną, gdy nadzorujący urzędnik nie rozumie języka, w którym się toczą obrady. Policya nie będzie się i nadal sprzeciwiała odbywaniu rozpraw w obcych językach na zgromadzeniach, o ile się to tylko okaże możliwem. Możliwem zaś to będzie tylko w tych okolicach, w których nietylko język niemiecki wyłącznie jest ludowym i gdzie jeszcze znaczna część ludności nie rozumie po niemiecku. Urzęduicy policyjni nie mogą jednak

w żadnym razie być poliglotami i wymagać tego od nich nie podobna, aby np. na górnym Szlązku rozumieli po morawsku i znali wszystkie wyrazy polskie (Wasser und Hoch-polnisch), tak samo jak nie można pozwolić na to, ażeby robotnicy przybywający z Belgii do Westfalii, na zgromadzeniach używali wallońskiej mowy.

Orzeczenie sądu najwyższego administracyjnego z 1897 r. nie przyjęło w zupełności poglądów ministra. Według najwyższego sądu, tylko wtedy może policya zabronić używania polskiej mowy na zgromadzeniu publicznem, jeżeli się to dzieje z wyraźnym zamiarem udaremnienia policyjnego nadzoru. Zamiar ów jednak powinien być wyraźnie podstępny i złośliwy (dolus), a przytoczone przez ministra wypadki, nie noszą na sobie cech owej podstępnej złośliwości. Większe prawdopodobieństwo przemawia za tem, że zgromadzeni używali dla tego mowy polskiej, ponieważ, jako mową rodzinną, władali nią lepiej, i dzięki onej właśnie, mogli się daleko prędzej porozumieć i daleko gruntowniej dyskutować. W roku 1902 policya rozwiązywała znowu zgromadzenia w Prusach Zachodnich i na Szlązku, z powodu używania obcej mowy, a minister Hammerstein uzasadniał podobny krok, nowym, poprzednikom nieznany motywem. W r. 1849 w drugiej izbie wystąpiono z wnioskiem równouprawnienia w odpowiednim zakresie mowy, narodowości nie rozumiejących po niemiecku. Wniosek powyższy odrzucony został znaczną większością i fakt ten dowodzi najdobitniej, iż milczenia konstytucyi nie należy sobie tłumaczyć w ten sposób, że obce mowy mają jakieś specjalne prawa w Prusach. Zdaniem Hammersteina należy też rozróżniać dzielnice o mieszanych mowach od dzielnic o jednej mowie niemieckiej. W tym drugim wypadku, jeżeli poddani pruscy używają na zgromadzeniach obcej mowy, pomimo, że wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za tem, iż rozumieją po niemiecku, wtedy należy przypuścić, iż czynią to w celu rozmyślnym udaremnienia nadzoru policyjnego. W okolicach o mieszanej mowie, mają się rzeczy cokolwiek inaczej; zależy to od tego, czy polityczne zgromadzenia, poddane nadzorowi, są prywatne czy publiczne. Na prywatnych zgromadzeniach, wynika to z samej natury rzeczy, iż każdy może mówić tym językiem, jaki mu się podoba, i że administracya obowiązana jest zaopatrzyć się w odpowiednie organa do wykonywania nadzoru. Inaczej się jednak mają rzeczy, gdy zgromadzenia są publiczne, wtedy bowiem tylko mowa niemiecka może być w użyciu. Posługiwanie się obcą mową w tym wypadku, ograniczałoby prawa prusaków, mówiących po niemiecku, którzyby nie byli w stanie występować w obronie swych projektów i poglądów. W końcu, Hammerstein powołał się na przepisy

w Saksonii, a nawet w Austrii, gdzie policya rozwiązywała zgromadzenia, z powodu używania języka polskiego zamiast niemieckiego.

W uzasadnieniu prawa pruskiego obowiązującego, Paaltzow objaśnia, że § 29 pruskiej konstytucyi, pozwalający wszystkim prusakom zgromadzać się, wytwarza tak zwane prawo zasadnicze (Grundrecht). Co się tyczy mowy, jaka powinna być na owych zebraniach używana, to brak jest absolutny jakiegokolwiek w tej mierze przepisów. Rozumowania Hammersteina nie można jeduak uważać za przekonujące. Jeżeli bowiem używanie polskiej mowy ma ograniczać prawa prusaków mówiących po niemiecku, to nawzajem używanie mowy niemieckiej krzywdzi obywateli polskich, nie rozumiejących po niemiecku. W tym wypadku należy też stanąć wyraźnie, nie dwuznacznie na gruncie konstytucyjnym, który nie zna żadnych zakazów odnośnie do używania mowy. Z natury rzeczy wypływa, aby na zgromadzeniach używano języka miejscowej ludności, a co najwyżej dodać można, że przepis obowiązujący nie nakazuje tego zwyczaju, nie czyni z niego publicznego obowiązku. W żadnym razie jednakże, nie wolno z milczenia konstytucyi wnosić, jak to Zorn czyni, iż mowa niemiecka winna być wyłącznie używaną na wszystkich zgromadzeniach. Paaltzow objaśnia również, że do owego dowodu historycznego z jakim Hammerstein wystąpił, nie należy przywiązywać zbyt wielkiego znaczenia, jeżeli bowiem w r. 1849 komisya odrzuciła wniosek równouprawnienia języków w Prusach, z jakim w drugiej izbie wystąpiono, to, uczyniła to w przekonaniu, że w Prusach poczuwano się należycie do obowiązku szanowania właściwości pozaniemieckich szczepów, a więc komisya uważa za niestosowne obarczać konstytucyę państwa pruskiego takim przymusowym serwitutem.

Co się wreszcie tyczy prawa nadzoru, to zdaniem Paaltzowa rozciąga się ono na całe życie narodu. Nadzorowanie jednak przedstawia się w pilne czuwanie jedynie w obec podejrzanych i niebezpiecznych przedsięwzięć. W żadnym razie nie można łączyć prawa czuwania, z użyciem mowy obcej na zgromadzeniach, usprawiedliwiając się tem, że używanie mowy obcej uniemożliwia wykonanie prawa nadzoru. Nie ma konieczności nadzorowania wszystkich zebrań, jak również nie ma policya obowiązku, słyszenia lub rozumienia tego wszystkiego, co na zgromadzeniu zostało powiedzianem. Gdyby wszystkie mowy na zgromadzeniach miały być dla nadzorujących organów zrozumiałe, to możnaby zawiesić wydawnictwa gazet polskich, za jednym zamachem i to z tej jedynie zasady, że policya pruska nie rozumie tego, co w nich jest drukowanem. Mowa niemiecka jest niewątpliwie przepisana wszystkim władzom prusko-niemieckim jako urzędowa, ale ludności w ustnem obcowaniu z władzami nie jest

bynajmniej przepisana mowa niemiecka. Policja też jako władza nadzorująca nie może się wymawiać nieznaną mową polską. Inna rzecz jest mówić, a inna rozumieć pewną mowę. Dopóki wychodzą pisma polskie, a nawet, dopóki ludność mówi na ulicach po polsku, policja musi mieć organa znające polską mowę, ażeby mogła należycie czuwać nad powyższymi objawami życia społecznego. Odkądże to istnieje przepis uwalniający policję od rozumienia mowy polskiej? Raz też trzeba przyjść do tego przekonania, że policyjne czuwanie nie ma z mową nic do czynienia. Mowa jest dla nadzoru policyjnego równoznaczna z jedzeniem, pićm lub spaniem; stanowi ona jedynie przedmiot nadzoru.

Paaltzow też przychodzi ostatecznie do przekonania, że rozwiązanie zgromadzeń z powodu używania na nich obcej mowy, niema w obowiązującym prawie pruskim żadnego uzasadnienia, więc orzeczenie najwyższego sądu administracyjnego było zgodne z poczuciem sprawiedliwości, oraz wypływało bezpośrednio z ducha prawodawcy. Niewątpliwie jednak obecny stan absolutnej wolności używania mowy, potrzebuje zmiany. Ze wszęch miar jest też pożądanem, aby na wszystkich zgromadzeniach politycznych, jedynie mowa niemiecka używana była. Przepis powyższy nie obrazi słuszności, albowiem prusacy, używający polskiej mowy, zostali należycie w szkole ludowej przygotowani do zrozumienia mowy niemieckiej, tak, iż ostatecznie ów przymus językowy wyjdzie im tylko na dobre w przyszłości. W każdym razie nie odpowiada to ani tradycyi, ani naturze państwowości pruskiej, aby jakiegokolwiek obcej mowie przyznawano specjalne prawa. W zakresie życia publicznego winna niepodzielnie panować mowa niemiecka i jej tylko przystoi nadawanie stanowczego piętna narodowemu i państwowemu życiu. W celu zaprowadzenia pożądanej zmiany prawodawczej, nie trzeba wcale tykać konstytucyi, wystarczy najzupełniej nowella do prawa z 1860 r. o zgromadzeniach i zebraniach. Przedewszystkiem jednak należy pamiętać o tem, że wszelkie ustępstwo na rzecz języka polskiego w tych częściach Prus, które należały niegdyś do Państwa polskiego, jest najniebezpieczniejszym i dla tego niemożliwym.

Druga część rozprawy Paaltzowa poświęconą została historyi sporu o adresy pocztowe. Do roku 1900, jak świadczy Paaltzow, pruska poczta przyjmowała polskie adresy bez żadnego kwestjonowania. Dopiero w r. 1900 wystąpił dziennik szląski z prowokacyjnym artykułem, w którym nawołuje ludność polską do wypisywania wszelkich adresów tylko po polsku, z zasady, że poczta jest obowiązana do rozumienia tychże. Istotnie liczba posyłek i listów z wyłącznie polskimi adresami wzrosła znacznie, utrudzając niepotrzebnie

zarząd poczty i wpływając na opóźnienie jej funkcyonowania. Jakkolwiek sekretarz stanu Podbielski, uważał, że zakaz ogólny przyjmowania listów z adresami polskimi, nie jest jeszcze na czasie, jednakże w roku 1901, wystąpił Głębocki w sejmie z interpelacją, za pytującą rząd o wyjaśnienie, z jakich powodów poczta w licznych wypadkach odmawia przesyłania listów i pakietów zaopatrzonych w polskie adresa. Odpowiadając na interpelację, sekretarz stanu Podbielski zapewniał, że podczas swego urzędowania, nigdy polityki nie mieszał do pocztowej administracji. Jedyнным bodźcem, którym się kierował, były względy czysto technicznej natury; za tego rodzaju usprawiedliwienia się. spotkały sekretarza stanu, ze strony narodowców niemieckich gorzkie zarzuty.

Skutkiem skarg polskiej ludności, wydano jeszcze w r. 1901 dla poczty uzupełniające przepisy. Podług tychże przepisów, wszystkie przesyłki i listy wartościowe, za których doręczenie poczta była odpowiedzialną, powinny być adresowane w mowie ogólnie znanej, do której polska nie mogła rościć pretensyi. Nawet zwyczajne listy w obiegu wewnątrznym krajowym, winny być również tak samo adresowanemi. W przypadku jednak gdyby się w skrzynkach pocztowych znalazły listy adresowane w obcej mowie, to zarząd, jeżeli adres będzie możliwym do odczytania, postara się przesyłkę doręczyć odbiorcy. Prócz tego zarząd poczt urządza odpowiednie biura tłumaczeń adresowych, do których odsyłane będą listy z nieczytelnemi lub niewyraźnemi adresami. Gdyby i owe biura adresowe odczytać nie mogły, w takim razie listy będą uważane za niemożliwe do doręczenia. Poseł Jażdżewski, krytykując uzupełniające przepisy pocztowe, oświadczył, iż biur tłumaczeń nie może uważać w żadnym razie za koncesyę dla polskiej ludności, albowiem pruska poczta obowiązana jest mieć urzędników, rozumiejących po polsku. Nadsekretnarz stanu odpowiedział, iż jest szefem zarządu pocztowego w cesarstwie niemieckiem i nic nie wie o obowiązku posługiwania się urzędnikami mówiącymi po polsku. W dodatku, poseł Głębocki utrzymywał, że urządzenie biur tłumaczeń, jest naruszeniem dotychczasowego stanu prawnego i to naruszeniem dla polskiej ludności bardzo dotkliwym albowiem biura tłómaczeń opóźniają doręczanie listów i są dla polskiej ludności prawdziwym udręczeniem. W odpowiedzi na to, sekretarz stanu Podbielski oświadczył, że niektóre adresa polskie były jakoby prowokacją poczty pruskiej i dla tego ostrzegał, ażeby ludność polska powstrzymywała się od podobnego, wyzywającego zachowania, albowiem na tej drodze nie uzyska najmniejszego ustępstwa, i on będzie zmuszony przeciwstawić tej agitacji stanowczy opór.

Prof. Zorn, uważając zarząd pocztowy za gałęź administracji państwowej, wyraził w stanowczy sposób zdanie, że poczta prusko-niemiecka, czyli jej urzędnicy, obowiązani są do znania i używania jednej tylko mowy niemieckiej, a więc poczta w tym tylko języku adresy przyjmować powinna. Zastanawiając się nad powyższym poglądem, Paaltzow przedstawił dawniejsze poglądy nauki administracji na zarząd pocztowy, które się na tę kwestyę zapatrywały, bądź to ze stanowiska prawa cywilnego, bądź to prawa publicznego. Zaznaczając że w zarządzie pocztowym jednoczy się do pewnego stopnia prawo publiczne z prywatnem, Paaltzow oświadcza, że z poglądami Zorna zgodzić się nie może i oddania listu na pocztę nie uważa jedynie za propozycyę, czy wniosek oddającego, lecz za żądanie spełnienia publicznego obowiązku. Wszystko, co tylko Zorn przytoczył o domniemanych poglądach i zamiarach prawodawcy prusko-niemieckiego, uiera w danem położeniu i specyalnie w sporze o adresy pocztowe najmniejszej wartości. Nie chodzi bowiem w żadnym wypadku o domniemane poglądy prawodawcy, ale o wyraźną jego wolę, wyrażoną w przepisie prawa. Otóż Zorn nie wykaże tego aby w przepisach prusko-niemieckich nakazaniem było zarządowi pocztowemu posilkowanie się w obcowaniu z publicznością jedynie mową niemiecką. Prawo zwyczajowe, które było w niektórych dzielnicach zastosowywane z górą przez wiek cały, poucza w sposób bardzo wyraźny, że poczta pruska używała niezmiennie języka niemieckiego w czynnościach urzędowych, ale zarazem przekonywa, że nie było zakazu rozumienia obcej mowy w adresowaniu pakietów czy listów. Prawo zwyczajowe dowodzi w stanowczy sposób, że poczta od wieku przyjmowała listy adresowane po polsku i dopiero od niedawna zaczęła się posługiwać biurami tłumaczeń. Wszelkie też dowodzenia Zorna, że z natury obowiązujących przepisów pocztowych wypływa zakaz używania polskiej mowy w adresowaniu listów, są zupełnie bezpodstawne i wpadające w sprzeczności.

Załatwiwszy się z wykrętnemi tłumaczeniami obowiązującego prawa, z jakimi Zorn wystąpił, zastanawia się Paaltzow nad następującymi kwestyami pocztowego prawodawstwa: 1) w jaki sposób zmienić przepisy obowiązujące i 2) czy zmiana będzie rzeczowo usprawiedliwiona, a politycznie odpowiednia? Podług konstytucyi cesarstwa niemieckiego, wolno kanclerzowi, a nawet jego zastępcy, wydawać rozporządzenia dotyczące warunków, pod jakimi poczta ma doręczać pakiety i listy. Niewątpliwie zatem rozporządzenie kanclerskie, ewentualnie sekretarza stanu, może decydować w sprawie mowy, która winna być używana do adresowania listów. Urządzenie dotychczasowe biur tłumaczeń, jest z wielu względów niepraktycznem, jako

przewlekające i opóźniające funkcje pocztowe. Kanclerz więc w wydaniu odpowiedniego rozporządzenia powinien się kierować jedynie interesem i dobrem państwa. Adresy polskie należy uważać za prowokowanie niemieckiej poczty i byłoby to ubliżaniem dla godności narodowej, gdyby poczta w jakikolwiek sposób tej prowokacji ulegała i dla tego ze wszech miar jest pożądanem, aby rozporządzenie kanclerza rozstrzygało wszelkie wątpliwości na korzyść języka niemieckiego. Gdyby uzupełniono w tym duchu przepisy pocztowe obowiązujące, odpowiadałoby to najzupełniej charakterowi narodowemu a przeciwko polakom nie utworzonoby żadnego specjalnego lub nienawistnego środka. Wszyscy bowiem cudzoziemcy, mieszkający w Niemczech, musieliby na listach wewnątrz kraju przesyłanych, adresy kłaść po niemiecku. Rozporządzenie, nakazujące wyłączne adresowanie listów po niemiecku, byłoby też godną odpowiedzią na owokacje polskie, a wreszcie w połączeniu z innymi środkami, posłużyłoby podobne rozporządzenie do utrwalenia niemieckiej kultury i narodowości niemieckiej, przyniosłoby niewątpliwie w przyszłości pożądane owoce.

Interesujące studium Paaltzowa zakończonem zostało wnioskami niezbyt dla ludności polskiej wesołemi. Paaltzow pogardził wprawdzie środkami używanemi przez Zorna; odrzucił od siebie wykrętą i naciąganą interpretację przepisów obowiązujących i przyznał otwarcie, że ludność polska może się słusznie powoływać na obietnice królów, traktaty międzynarodowe i wiekowe prawa zwyczajowe, uznające polską narodowość. Gardzi jednakże wszystkiemi podobnemi środkami, godnemi rabulistycznych pokątnych doradców. Paaltzow wskazuje rządowi prusko-niemieckiemu odpowiedni środek, załatwienia w swoim rodzaju godziwego, sporu narodowościowego. Nowella prawna w pierwszym wypadku, rozporządzenie kanclerskie w drugim i znika na zawsze język polski ze zgromadzeń publicznych i z adresów na listach. Nikt nie może narzekać lub uskarżać się na nielegalność powyższego środka, tak jak nikt nie może ograniczać prawodawcy niemieckiego i wymagać, aby się krępował względami na przeszłość i dawne zobowiązania państwa pruskiego. Środki proponowane przez Paaltzowa są jawne, logiczne, konsekwentne i nie pozostawiające żadnej wątpliwości dla ludności polskiej. Są one wydobyte z archiwum, czy arsenału tak zwanej „Stoss ins Herz”, polityki, która porządek konstytucyjny podkopuje i zwyradnia, niszcząc najważniejsze prawa indywidualne swobody i utożsamiając państwo z jedną uprzywilejowaną narodowością.

A. R.

MARYA KONOPNICKA. Drobiazgi z podróźnej teki. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp. 1903, 12-o, str. 196.

Po „Italii“, grającej wszystkimi barwami tęczy, całą gamą tonów, grzmiącej potęgą wielkości i natchnienia, miniaturowe „Drobiazgi“, luźne notatki i wrażenia „Z podróźnej teki“—to jakby ktoś z hymnu zstąpił do prostej powieści. Poetka, nadając to miano nowemu zbiorowi swych utworów poetyckich, z których znaczna część była drukowana w „Bibliotece Warszawskiej“, jakby chciała przez to zaznaczyć, że nie przywiązuje zbytnej wagi do tych utworów i nie życzy sobie, aby je zestawiano z dawniejszymi.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że „Drobiazgi“ mniejsze są lub gorsze od „Italii“. Bynajmniej! One są tylko—inne. Tamte przytłaczały duszę świetnością, przepychem, bogactwem barw, brały ją w jassyr potęgą obrazów natury, lub arcydzieł wiekopomnej sztuki włoskiej; te—czarują, nęcą pogodą i łagodnym światłem i błogością przepełniają wyobraźnię; wobec „Italii“ duch się trwoży i klęka, przy „Drobiazgach“ nurza się w błogości i ciepłe radosnem; w „Italii“ nieraz grom rozgrzmiewa i oślepia wzrok błyskawica, w „Drobiazgach“ zawsze jaśnieje ranek promienny, nie upalny jeszcze, lub owiewa duszę ciszą—ciepła noc letnia. Ale artyzm jest w obu zbiorach równie niedościgły.

„Drobiazgi“ poetka rozłamała w ośm cyklów, z których pierwszy, z nad wód modrego Adryatyku, nosi tytuł „Gospa Regina“. Kilka tu pięknych obrazów natury. Nie sposób ich wszystkich przytaczać, ale oto jeden z nich np., który zaczyna się od pięknego czterowersza:

W mojej małej, niskiej izbie,
Mam okienka dwa nieduże,
W jednym świeci szafir morza,
W drugim świt mi rzuca różę.

Albo taki np. nastrój ciszy nocnej:

Cisza wielka i szeroka,
Wiosło nawet nie zapluszka,
Na granacie morza ciemnym
Drży miesięczna srebrna łuska.

Znajdziemy tu też kilka obrazów rodzajowych z życia rybaków dalmackich.

Drugi cykl p. t. „Drobiazgi włoskie“ przedmiotem swym najbardziej zbliża się do „Italii“: to jakby okruchy brylantów, pozostałe od szlifowania dyamentów „Sonetów włoskich“. Znajdziemy tu obok dawniejszych motywów, jak np. kontemplacye arcydzieł malarstwa włoskiego („Adoracya magów“, w „Parmie“) i nowe: sympatyczne typy ludu włoskiego, młodego rybaka, lub starego wiarusa, co stracił nogę w jednej z walk za niepodległość włoską.

Cykl: „Po drodze“ stanowi jakby ogniwo przejściowe. Ale i tu nie brak prawdziwych perełek poetyckich, jak np. taki drobny a tak czarowny wiersz:

Woda — taka cicha,
 Jak sen . . .
 Wiatr — lekuchno wzdycha,
 Jak sen . . .
 Łódka — tak ucieka,
 Jak sen . . .
 Myśl — taka daleka,
 Jak sen . . .

Albo taki uroczy krajobraz górski:

Góry rozwarły ramiona,
 By objąć cichą dolinę . . .
 Noc schodzi srebrna, zroszona,
 By objąć cichą dolinę . . .
 W zadumie patrzy me oko,
 W daleką, cichą dolinę . . .

Pozostałe pięć cyklów: „Sonety prowansalskie „Urbs A vinionen-sis“, „U Felibrów“, „Kartki prowansalskie“, „Na Alyscamps“, wspólny mają przedmiot i nastrój wspólny. Wszystkie wzięły za treść czary promiennej krainy prowansalskiej, wszystkie tchną zarem słońca, weselem, pieśnią i miłością, blaskiem i wonią, słowem, rozkoszą i słodyczą życia. Po pagórkach i dolinach tej ziemi błogosławionej „woła życie“, jak mówi poetka w jednym z przepięknych sonetów. A wszystkie te utwory są równie piękne, i chciałoby się wszystkie przytoczyć, zapamiętać.

Oto pierwszy z brzegu sonet p. t. „U wrót Awinionu“:

Szczęśliwe miasto! Od Romy króla,
 Po dziś dzień bramy warowne je strzegą,
 A ono życiu plastr miodu złotego,
 Brzęcząc, wyrabia, jak pszczelny rój.
 Tak biały powój kielichy swe stula,
 By nie uronić nektaru wonnego...
 Niech za murami prądy czasów biega,

Niech za murami wieku mistral hula!
 Do bram twych pukam, Awinionie stary,
 Zamknięty z pieśnią i brzękiem gitary,
 Za baszt łańcuchem i za wieńcem blanków...

Późna jest chwila i gwiazdy już świecą...
 Otwórz mi! Duchem niechaj spocznę nieco,
 Minstrelów twierdzo! Warownie kochanków

Tak mało tu powiedziano, a tak wiele zarazem; trudno w 14 wierszach więcej zamknąć treści, więcej zawrzeć uroków i czarów tej krainy wymarzonej dla kochanków i pieśniarzy!

I w tym sonecie zamyka się zarazem to wszystko piękno, wszystko co rozbryzguje się kroplami po wszystkich utworach z tych cykli prowansalskich; nastrój zawsze ten sam, choć coraz inny jego wyraz i szata poetycka.

To natura. A ludzie, mieszkańcy tej ziemi słońca, miłości i pieśni? Ci dostrajają się w zupełności do swego otoczenia, nie stanowią na tle bogatej a przepięknej krainy, brzydkiej, szarej plamy. Szaty ich barwne i jaskrawe. Pełną czarą piją oni życie i jego najsubtelniejsze rozkosze; weseli, rozśpiewani, namiętni w swoich uczuciach, gorący w wierze naiwnej i dziecięcej, czasem dochodzącej do fanatyzmu, w swej miłości kraju rodzinnego sięgają szczytów samozaparcia, a przeniknięci są czarem poezyi i piękna. A przez poetkę odmalowani są z równym artyzmem, jak obrazy przyrody, z którą stanowią całość nierozdzielalną. Na charakterystykę tego ludu szczęśliwego składają się utwory: „Mój trubadur“, „Jaquemard i jego żona“, „Na ulicy“, „Krzyż Guillermina“, „Most św. Benezeta“, „La Armana Provençau“, „Ze starej kroniki“. W tym ostatnim utworze poetka

przebiega w pięknej poetyckiej formie główne wypadki dziejowe z życia Awinionu i Prowancyi.

„Drobiazgi“ to nowy listek wawrzynu do wieńca chwały poetyckiej, wielkiej pieśniarki „Pana Balcera w Brazylii“.

HENRYK GALLE.

KAZIMIERZ JULIAN JASIŃSKI: Stara gwardya, elegja rycerska, Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1904, 8-o, str. 71.

Typy napoleońskie tak są już pospolite w naszej literaturze beletrystycznej i wierszowanej, że trzeba niemałego talentu, aby tu coś nowego powiedzieć i wykroczyć po za ramy starego szablonu.

Przed autorami, obierającymi sobie ten niewdzięczny, mimo całego czaru poezyi i rycerskości, przedmiot, otwierają się dwie drogi albo nakreślić śmiałym pędzlem olbrzymie tło społeczno-dziejowe i otworzyć rozległe horyzonty, stwarzając w ten sposób wielki obraz historyczny, jak uczynił ostatnio Żeromski w „Popiołach“, albo zacieśnić ramy swego obrazu, przedstawić jeden typ i w drobnym naczyniu zamknąć jeden promyczek, jeżeli nie można odbić w swoim utworze całego słońca.

P. Jasiński obrał sobie tę drugą, łatwiejszą drogę w „Starej gwardyi“, którą nazwał „elegją rycerską“. Miano niezupełnie właściwe; elegją to nie jest, ale raczej „obrazkiem rodzajowym“, coś na wzór i podobieństwo „Dworca mojego dziadka“ Fr. Morawskiego.

Akcya, jak zwykle w obrazku, dość uboga, nie rozwija się nieprzerwanym biegiem, ale rozdrabnia się na kilka drobnych epizodów, poprzedzielanych nieraz znacznym przeciągiem czasu. Pomimo to, główna postać (stary pułkownik napoleoński), została tu odtworzona z dużą plastyką. W tym człowieku niema żadnych rozdzźwięków, sposób życia harmonizuje z usposobieniem, teraźniejszość bytu ze wspomnieniami przeszłości, otoczenie — z wewnętrzną treścią ducha. Oto izba jego, zwana kancelaryą: na środku dębowego stołu kałamarz z Napoleonem z brązu, dzwonek z orłem cesarskim na kart polskich talii, rejestra gospodarcze obok dzienników francuskich, nad łóżkiem strzelby i kord nad ryngrafem z Częstochowską Panią, na kupfersztychach Areole i Marengo, a obok Jana Sobieskiego, Napoleon trzeci i Eugenia „środe wydekoltowana“.

W kilku epizodach poeta charakteryzuje tę sympatyczną postać, widzimy starca, jak dogląda pracy w polu, która tu iść musi żołnierskim szykiem, według komendy i zegara; widzimy, jak na czele wnuków mknie konno przez pole, rzucając krótkie wyrazy komendy francuskiej. Przysłuchujemy się z uśmiechem jego gawędom ze starym proboszczem, dawnym towarzyszem broni, jedynym człowiekiem, co go rozumiał dokładnie, gawędom, które zawsze snują się około jednego wątku. A potem widzimy go, jak z niepokojem serdecznym, śledzi bieg wypadków historycznych i wojnę włoską Napoleona III i kampanię austriacko-pruską, znamy jego sympatje i—podzielamy je.

Ku końcowi utworu liryzm wzmaga się. Mamy tu piękną scenę ostatniego pożegnania pułkownika ze starym proboszczem, a dalej zawzięte, zgrzytające nienawiścią, spory starego wiarusa z nowym, nawpół zniemczonym plebanem.

Następują dwie najpiękniejsze sceny „Starej gwardyi“: pułkownik ze swoim stangretem, Grzelą Białym, niegdyś wachmistrzem, ostatnim z pod wspólnego sztandaru, modlą się za swoich własnych grobach, którym brak tylko—daty śmierci, modlą się za poległych towarzyszy...

Rozwichrzył się włos biały ich dumnego czoła,
 Jak pióra orlich czubów, jak dębów jemiola,
 Muskając jak z marmuru rzeźbione profile...
 Wzrok ich zagasty gorzał w jednej wiary sile
 I jednym majestatem promieniały lica,
 Wiernych tym samym hasłom, chłopa i szlachcica.

A potem scena jeszcze bodaj piękniejsza: pułkownik zasiada do starego klawikordu i zaczyna wygrywać dawne pobudki, a Grzela, stojąc w kącie, nie może powstrzymać się od płaczu; wtedy pułkownik huka na wachmistrza: „Czego beczysz, babo?!“ i obaj starcy zaczynają z ogniem w oku, wspominać dawne szarże, zwycięstwa i chwaly.

Następuje chwila przełomu: ogłoszono wojnę Francuzów z Prusakami. Stary pułkownik sprowadza mapy polowe, dzienniki francuskie i wraz ze swym wachmistrzem śledzi z natężeniem bieg wypadków wojennych. Nakoniec przychodzi gromowa wieść: „Sedan kapitulował!—cesarz oddał szpadę!“ i zabija go jak piorun...

Skonał z bólu, lecz skonał z pogodą na twarzy,
 Jak rycerz, co przed nikim na ból się nie skarży,
 Jeno odszedł Zastępów uzalić się Panu,
 Że moc poszła przed prawem na polach Sedanu.

Na tych wyrazach kończy się ten obrazek, który nie może rościć pretensyi do miana epepei, ani nawet poematu, nie może być uważany za wielki obraz dziejowy, ale w skromnym zakresie spełnia należycie swoje zadanie, maluje ciekawy typ pokolenia, które dziś już wymarło, a w niektórych scenach wzrusza nawet serdecznie.

Dodać jeszcze należy, że książka, wydana wytwornie, z pięknymi ilustracyami, mile ęci oko.

HENRYK GALLE.

KRONIKA MIESIĘCZNA

Omawiana już przez nas niejednokrotnie na tem miejscu sprawa krajowej wystawy powszechnej, weszła w nową fazę.

Zarząd oddziału warszawskiego Towarzystwa popierania roś. przemysłu i handlu, który wziął to w swoje ręce, na mocy otrzymanych wiadomości o przychyleniu się władz wyższych do wniesionego w tej mierze podania, przystąpił już do prac przygotowawczych, mających na celu bliższe omówienie wystawy, projektowanej na r. 1905.

Wystawa, jak wiadomo, ma być przemysłową, rolniczą i artystyczną, wobec czego w podaniu wyszczególniono następujących 38 jej działów: 1) górnictwo, 2) przemysł spożywczy, 3) tkacki i przędzalniczy, 4) białoskórniczy i garbarski, 5) inżynierję miejską i ogólną, 6) drogi i komunikacye lądowe, wodne i powietrzne, 7) budownictwo, 8) urządzenie domów, 9) wyroby szklane, porcelanowe i gliniane, 10) wyroby drewniane, słomiane i inne, 11) metalurgia i wyroby metalurgiczne, 12) dział elektrotechniczny, 13) puszkarstwo, 14) instrumenty i przyrządy, 15) cukrownictwo, 16) młynarstwo, 17) produkty chemiczne, 18) papiernictwo, 19) wyroby rękodzielnicze i rzemiosła, 20) instytucye rolnicze, 21) nasiona, 22) leśnictwo i torf, 23) maszyny i narzędzia rolnicze, 24) melioracye rolne, 25) ogrodnictwo, 26) hodowla, 27) organizacya rolnictwa, 28) pszczelnictwo i jedwabnictwo, 29) higiena, 30) sport, 31) dobroczynność, 32) szkoły i podręczniki, 33) drukarstwo, litografia i t. d., 34) wydawnictwa i handel książkami, 35) fotografia, 36) sztuka stosowana, 37) muzyka, 38) sztuki piękne.

Wystawa ma być otwarta i zamknięta w granicach między 14 maja a 14 listopada 1905 roku. Na czele jej stanie komitet, złożony z kilkudziesięciu osób, powołanych przez prezesa oddziału. Do atrybucyi komitetu należy: 1) wybór miejsca i urządzenie wystawy, 2) wyjednanie ulg i środków pomocniczych, koniecznych do urządzenia wystawy, 3) oznaczenie ścisłego terminu otwarcia jej i zamknięcia, 4) zawiązywanie i uczynienie stosunków z obcoami i instytucjami

5) urządzenie na wystawie koncertów, przedstawień, odczytów, widowisk i wszelkich atrakcyi, 6) wydawanie katalogów, prospektów, ogłoszeń i sprawozdań, 7) oznaczanie i pobieranie opłaty za miejsca i za wejścia, 8) zapewnienie wystawie odpowiednich środków komunikacyjnych, 9) powoływanie osobnych komisji do różnych działów wystawy, 10) powoływanie sędziów konkursowych do przyznawania nagród, względnie funkcjonowania w charakterze instytucji kasacyjnej wobec wyroków sądu konkursowego.

W chwili, kiedy to piszemy, komitet ten jeszcze nie powstał, zyczyć sobie jeduak należy, aby powołany został do bytu jaknajrychlej. Przemawiają za tem oprócz istotnie rozległych obowiązków, na których spełnienie potrzeba będzie możliwie jak najwięcej czasu, dwa bardzo ważne względy. Jednym z nich jest zajęcie określonego stanowiska wobec projektowanej wystawy elektrycznej, która ma się odbyć za kilka miesięcy, drugim — kwestya ewentualnego odłożenia wystawy, którą wysunął niespodziewanie na porządek dzienny, nagły wybuch wojny rosyjsko-japońskiej.

Co do pierwszego względu, to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że wystawa elektryczna, jako taka, powinna być wcielona do przyszłej wystawy powszechnej, zarówno dla oszczędzenia próżnych kosztów, które przy oddzielnem jej urządzeniu stanowczo będą większe, jak i dla dołania świetności wystawie przyszłorocznej, na której może ona stanowić osobny, zamknięty w sobie dział, nawet pozostający w zawiadywaniu własnego komitetu.

Nie sądzimy tu, aby organizatorowie wystawy elektrycznej mieli jakiegokolwiek względy, uzasadniające potrzebę oddzielnego traktowania tych dwóch wystaw. Daleko ważniejszą jest kwestya poważnego zastanowienia się nad ewentualnem odłożeniem wystawy.

Oto padł wielki wyraz „wojna“, z którego pojęciem łączy się cały szereg zadnień ekonomicznych pierwszorzędnej wagi. Naturalnie, dziś jeszcze przewidzieć nie można, w jaki sposób sprawdzą się na państwie rosyjskiem obliczenia ś. p. Blocha, autora tyle cennego dzieła w przedmiocie, który jest obecnie aktualnym.

Ale — właśnie dla tego, że przewidzieć następstw wojny nie można — należy postępować bardzo ostrożnie. Gdyby bowiem wiadomo było, że wskutek wojny tętno życia ekonomicznego spadnie u nas do minimum, to w takim razie nie pozostawałoby nic innego, jak odrazu wystawę odrzucić. To tętno jednak może albo wcale nie osłabnąć, albo też wykazać tylko tak nieznaczne odchylenia od normy,

że nie odbiją się one na ogólnym dobrobycie i nie przeszkodzą wyęzieniu naszych sił materialnych w kierunku popisu kulturalnego.

Otóż ktoś musi nad tem czuwać, musi prowadzić baczna kontrolę zjawisk ekonomicznych, które zmieniać się teraz będą z szybkością bardzo znaczną, musi się orientować w sytuacji c o d z i e Ń i b a c z y ć, aby nie zaangażowano się za nadto pośpiesznie w przedsięwzięciach wystawowych, ani też bez powodu ich nie zaniechano. Takim organem, czuwającym i kontrolującym atmosferę chwili, powinien być właśnie K o m i t e t w y s t a w y, powołany do bytu niezwłocznie. Jeżeli nic na przeszkodzie nie stanie, to urządzi on wystawę w r. 1905, jeżeli zaś okaże się to z rozmaitych względów niemożliwe, to urządzi ją dopiero w r. 1906, 7. albo nawet i 8—ale przez cały ten czas powinien on istnieć.

Tyle co do tego.

Jednocześnie z wiadomością o wystawie, prasa codzienna sygnalizowała kłopoty, związane z wyborem pod nią miejsca. Wskazywano ogród Saski (1), Frascati (1), plac konkursów hippicznych, plac Broni, plac na tyłach cmentarza powązkowskiego, Rakowiec, plac Szustra w Mokotowie, wreszcie — może najfortunniej, place hr. Miączyńskiego za rogatkami Belwederskimi.

Wszystkie te place jednak nie wydają się nam odpowiedniami, gdyż albo są za szczupłe, albo mają dojazd niewygodny i prowadzący przez najbrudniejsze dzielnice miasta.

Ale Warszawa jest wygodna. Chciałaby mieć wystawę tuż, blisko, niemal w obrębie swoim, zupełnie niepomna na to, iż zabudowała się tak szczelnie, iż o stu kilkudziesięciu morgach gruntu, o jakie chodzi, nawet marzyć nie można. Bo i gdzie tu taką przestrzeń znaleźć? Chyba Łazienki lub pole Mokotowskie, ale i tu i tam wystawy urządzać nie można.

Zdaje nam się więc, że prosta konieczność zmusi komitet do szukania miejsca na wystawę gdzieindziej i na jedno z takich miejsc radziibyśmy wskazać.

Miejscem tem jest S a s k a K ę p a. Położona na przeciwległym Warszawie brzegu Wisły, posiadająca bardzo ładny widok na miasto, zadrzewiona tak jeszcze, że z łatwością dałaby się przekształcić w bardzo wdzięczny park, przeżywa ona obecnie ostatnie swoje chwile. Za lat kilka, po wybudowaniu trzeciego mostu, rozpocznie się tam ruch spekulacyjno-budowlany, powstaną ulice, domy, powstanie jednym słowem miasto, które za lat kilkadziesiąt będzie może stało na równi albo i wyżej od niektórych dzielnic współczesnej Warszawy.

Dziś można jeszcze i należy z tej przestrzeni wolnej i pięknej skorzystać i wydzierżawić ją od kolonistów na jedno lato. Prawdopodobnie uczynią oni to chętnie, bo cały ich zysk obecny, to dochód z ogrodów owocowych i z podupadających już restauracji letnich.

Za wyborem tego miejsca przemawia wiele względów. Wskażemy tu jednak tylko na najważniejsze.

A więc przedewszystkiem — obszar, który dowolnie, w miarę potrzeby, będzie można rozszerzyć; powtórę, bliskość Warszawy i możliwość zaprowadzenia łatwej i taniej komunikacji lekkimi parowcami, co będzie w pewnym stopniu ponętną dla wielu nowością i co z drugiej strony przyczynić się powinno do rozbudzenia u nas ruchu komunikacyjnego na Wiśle, tak mało dotychczas w tym kierunku wyzyskanej. Trzeci wzgląd to czyste i świeże powietrze, którego za Wisłą jest podostatkiem. Już sam przejazd przez rzekę orzeźwiłby każdego, a kilkogodzinny pobyt na Kępie byłby przyjemnym i pożytecznym wypoczynkiem dla oddychających przez dzień cały pyłem ulicznym mieszczuchów. Czwarty wzgląd, to istnienie przygotowanego już oddawna plauu parcelacyjnego Saskiej Kępy. Zgodnie z tym planem Zarząd wystawy mógłby przeprowadzić drogi, brukować ulice i kłaść chodniki betonowe, które mogłyby już pozostać na przyszłość. Piąty wzgląd — to możliwość przeprowadzenia do placu wystawy dojazdu kołowego z drugiej strony, od Pragi — możliwość przeprowadzenia specjalnej linii tramwajowej dla dowożenia materiałów budowlanych i eksponatów.

Na razie poprzestaniemy na wyliczeniu tych najważniejszych względów, aby z kolei przejść do jednego, który przemawia „przeciw” wyborowi tego miejsca.

Tym względem jest możliwość wylewu. Gdyby tak się zdarzyło, że na rok wystawy przypadłby wylew Wisły, to w takim razie wystawa narażona byłaby na poważne straty. Czy jednak przeszkoda ta jest nie do usunięcia? Czy, biorąc pod uwagę liczne zalety tej miejscowości, która wprost w y j ą t k o w o nadaje się pod wystawę, nie opłaciłoby się w porozumieniu z miastem zabezpieczyć Kępę, a przynajmniej plac wystawy od ewentualnego zatopienia?

Czy to jest możliwe i czy nie pociągnęłoby za sobą zbyt wielkich kosztów, w to nie wchodzimy; ale sprawę tę polecamy uwadze przyszłego komitetu wystawy, o którym nie wątpimy, że dołoży wszelkich starań, aby z całą sumiennością i ku powszechnemu zadowoleniu wywiązać się z przyjętego na siebie obowiązku.

*

*

*

Ogień jest jeszcze ciągle jednym z największych żywiołowych nieprzyjaciół człowieka. Trawi on mienie ludzkie, rujnuje materialnie tysiące rodzin, sieje trwogę, słowem, staje się prawdziwą klęską. Więcej, niż gdzieindziej, klęską taką jest on u nas, gdzie pożary są na porządku dziennym i gdzie ilość ich w ciągu roku dosięga cyfry zastraszającej.

Oto mamy właśnie przed sobą tę smutną statystykę niedoli naszego kraju za r. 1902.

W roku tym w całym Królestwie Polskiem zdarzyło się 3,305 (!) pożarów, podczas których spaliło się 5,628 nieruchomości, a w tych 10,835 budynków, ubezpieczonych na sumę 2,850,250 rb. Ogólna wartość spalonych budynków stanowiła sumę 4,063,100 rb., rzeczywiste zaś szkody wynosiły rb. 2,538,567 rb. 81 kop. Z sumy tej na ubezpieczenia wzajemne rządowe przypadało rb. 2,121,729 kop. 43. Prócz tego zdarzyło się 178 pożarów w budynkach nieubezpieczonych; szkody, zrządzone w nich, wynosiły rb. 57,886 kop. 60. Zobaczmy teraz, jak się ta olbrzymia ilość pożarów rozkłada na poszczególne okolice kraju.

Najwięcej przypada ich na gub. Piotrkowską, bo aż 527, za nią idą: Warszawska — 456, Kielecka — 389, Kaliska — 363, Radomska — 314, Suwalska 304, Lubelska — 302, Siedlecka — 260, Płocka — 210, ostatnie wreszcie miejsce zajmuje gub. Łomżyńska — 180.

Co do ilości budynków spalonych, pierwsze miejsce zajmuje gub. Warszawska — 1,487 w 653 nieruchomościach; następnie Siedlecka (1,468 w 653 nier.); Lubelska (1269 w 719 n.); Piotrkowska (1,255 w 732 n.); Kaliska (1,107 w 599 n.), Kielecka (1,037 w 678 n.); Łomżyńska (958 w 410 n.); Płocka (798 w 344 n.); Radomska (761 w 462 n.) i Suwalska (699 w 378 nieruchomościach).

Największe szkody zrządziły pożary w gub. Warszawskiej: rb. 288,701; następnie w gub. Siedleckiej — rb. 278,031; w Piotrkowskiej — rb. 273,137; Kaliskiej — 235,061 rb.; Siedleckiej — 203,933 rub.; Płockiej — 179,934 rb.; najmniejsze w gub. Łomżyńskiej — 162,650 rb.; Suwalskiej — 159,728 rb. i Radomskiej — 115,889 rb.

W budynkach nieubezpieczonych najwięcej szkód zrzędziły pożary w gub. Piotrkowskiej, gdyż spaliło się tam przy 26 pożarach budynków nieasekurowanych na sumę 16,901 rb.; tymczasem w gub. Lubelskiej spaliło się takich zabudowań już tylko za 8,960 rb. (27 pożarów), w gub. Płockiej za 6,156 rb. (17 pożarów); w gub. Kaliskiej za rb. 5,449 (27 pożarów), w gub. Kieleckiej za rb. 5,026 (25 pożarów), w gub. Siedleckiej za rb. 4,322 (8 pożarów), w gub. Warszawskiej za za rb. 4,008 (16 pożarów), w gub. Suwalskiej za rb. 3,338 (14 pożarów), w gub. Radomskiej za rb. 2,194 (12 pożarów) i w gub. Łomżyńskiej za rb. 1,330 (6 pożarów). Dodać należy, iż w gub. Piotrkowskiej najwięcej budynków nieasekurowanych spaliło się w samym powiecie Piotrkowskim (za rb. 11,470).

Na półrocze letnie przypadało najwięcej pożarów, a mianowicie: w czerwcu było ich 449, w maju 448, w lipcu 426, w sierpniu 326, we wrześniu 345, natomiast w kwietniu zdarzyło się 286 pożarów, w październiku 293 i w listopadzie 244, podczas zaś zimy liczba pożarów nie dosięgała 200 (w marcu 197, w styczniu 169, w grudniu 163 i w lutym 127).

Największe szkody zrzęzione zostały przez pożary w maju (336,703 rb.), najmniejsze w lutym (56,616 rb.), średnio zaś paliło się dziennie za rb. 5,813.

Co do przyczyny pożarów, najwięcej zdarzyło się przypadków z powodów niewyjaśnionych (1856), od podpalenia zaś 463, od pioruna 295, z powodu złego utrzymania kominów i pieców 352, nieostrożności 454 i swawoli dzieci — 63.

Wszystkie te cyfry są charakterystyczne i rzucają jaskrawe światło na jedno z największych naszych niedomagań. To niedomaganie stanowi wznoszenie budynków w sposób, niezabezpieczający je od ognia. Gdyby nasze wsie nie były tak skupione, nie ciągnęły się jedną ulicą, przy której strzecha dotyka strzechy, obejście łączy się z obejściem, gdyby zamiast chat stały murowane domki, kryte dachówką, lub papą chociażby, gdyby instytucya straży ochotniczych rozkrzewiła się po całym kraju i wciągnęła do swych organizacyi ogniowych każdą gminę, a nawet każdą wieś poszczególną, to niewątpliwie nawet przy tej samej ilości pożarów, co obecnie, straty nie byłyby tak znaczne i tak dotkliwie.

Dopóki jednak to wszystko nie nastąpi, dopóty będziemy płacili stały haracz ogniowi, a haracz to nie byle jaki. Dość pomyśleć tylko, że w kraju tak biednym, jak nasz, i tyle rozmaitych posiadającym potrzeb, pali się dziennie budynków, ruchomości, krestencyi i t. d. za 5,813 rub.

Klęskę tę łagodzą oczywiście ubezpieczenia, ale łagodzą tylko częściowo, zmniejszyć ją zaś i ograniczyć istotnie mogą tylko: oświata, wzmoczenie się dobrobytu i postęp kulturalny.

*

*

*

Ciężka jest walka ze skutkami powodzi zeszłorocznej. Niewątpliwie, uczyniono już wiele dla ulżenia doli zrujnowanym przez powódź włościanom, ale też i wiele jeszcze do uczynienia pozostało. A tu szybkimi krokami zbliża się—przednówek, do przetrwania dla biedaków najtrudniejszy.

Oto, co w tej sprawie pisze w „Słowie“ p. Jan Popiel, ziemianin z powiatu stopnickiego, jak wiadomo najsrożej dotkniętego powodzią:

„Przykro jest—czytamy—odzywać się o pomoc, choć nie dla siebie, ale więcej, niż raz. Wiemy, iż społeczeństwo nasze wiele już poświęciło na rzecz powodzi, a tu znowu na alarm trąbić nam wypada, i o pomoc, a o rychłą, wołać.

Posądzono nas o przesadę w przedstawieniu nędzy na naszym Powiślu, a pokazuje się, że malowaliśmy jeszcze zbyt różowo stan rzeczy. Oto, jaki on jest np. w jednej z więcej dotkniętych wsi, Kępa Bolesławska (od Bolesława Wstydliwego). Już dwa miesiące temu członek komitetu, Knothe, zrewidowawszy chałupę za chałupą, znalazł: na 35 numerów 17 sztuk różnego bydła, ani jednej świni, kury lub gęsi i około 3 korcy różnego zboża we wszystkich komorach, a po stodołach zboże, nawet dla bydła na paszę niezdatne. W podobnem położeniu są wsie: Raj, Podraj, Podzamecze, Zawodzie, a w najgorszem Łęka, i to tylko w okręgu, mnie oddanym; poniżej jest wsi w tym stanie jeszcze sześć. Inne, jak Oblekoń, 230 numerów, ma $\frac{1}{3}$ część blisko za wałem położoną, a więc wszystkie te grunta na są żenie, a chałupy literalnie pod dachy były w r. 1903 dwa razy w wodzie: raz w lutym, raz w lipcu. Wieś Pawłów, dość zamożna i nie bardzo dotknięta, ma $\frac{1}{3}$ mieszkańców bez żadnego zapasu, $\frac{1}{2}$ z zapasem do dnia 1 marca, reszta do dn. 1 kwietnia. Stan sprawdzony. Na wiosenny zasiew trzębą około 12,000 korcy ziemniaków, z których komitet ani 4,000 kupić nie potrafi, gdyby miał na to fundusze, a o całej ilości mowy niema, boć poprostu ani czas, ani środki transportowe nie wystarczą na wożenie z daleka. Jeśli dobrze pój-

dzie obsadzą włościanie $\frac{1}{3}$ część swojej potrzeby w ziemniakach. Zboże, tu i owdzie przechowywane u bogatszych, do siewu niezdatne, zjedzą sami, albo rozprzedadzą; lekko powiedziawszy, około 4,000 korcy zboża jarego potrzeba na siew.

Okolica tego zboża nie dostarczy, bo go niema. Sam, kupując wagon grochu dla powodzian, miesiąc na niego czekałem. Nasze punkty kolejowe: Kielce i Ostrowiec są po 10 mil od dalszych wsi położone, i co się dziś zamówi, ledwo za miesiąc potrzebujących dojdzie. O ziemniakach trudno mówić, bo fracht z dalszych stron kolejną i wozem przeniesie 1 rb. 50 kop. od korca. Któż to zapłacić potrafi i kiedy to przywieść, gdy ani w mrozy, ani w roztopy nie można? Jedyne tylko zboże w naturze dalszy transport wytrzyma i o nie wolały i prosimy.

A jakież wobec tego jest położenie finansowe komitetu powodziowego? Wydano na same tylko zapomogi w zbożu i pieniądzech około 15,000 rb., i to rozdając bardzo skąpo z obawy przed przyszłością i pozostaje około 18,000 rb. w kasie. Te 18,000 rb. muszą wystarczyć do dnia 1 kwietnia, a codzień więcej tych, których już nie wspomagać, ale żywić trzeba. Jest tego dziś około 4,000 głów, 240 rb., na dzień, czyli na 2 miesiące 15,000 rb., ale za miesiąc będzie już nie 4, lecz 7 do 8 tysięcy ludzi bez chleba, a na dzień 1 kwietnia o mało nie wszyscy; niema więc mowy, aby komitet z dzisiejszych funduszków mógł zboże do siewu kupować, a gdy nadejdą one, lecz późno, wiosna przejdzie i role będą tylko w malej części obsiane.

A tu ratuje się tylko filantropijnie, nie zaś ekonomicznie, ratuje się często na ślepo, bo potrzeby prawdziwej sprawdzić nie jest się w możności, daje się w sposób demoralizujący, bo popierający niejako próżniactwo, tak, że chłopci zamożniejsi, którym nic nie dajemy, mówią nam: „Dobrze, panowie, my choć zbieđniejemy, ale się może przeżywimy, ale te łajdaki (u chłopca się tak mówi o bezrolnym) na drugi rok będą wały przekopywać, żeby stopiło, bo znowu wezmą zapomogi.“ Co na taką logikę powiedzieć, a jak głodnych nie ratować? Przyzna czytelnik, że to położenie nie jest do pozazdroszczenia.

Wreszcie komitet musi mieć coś w rękę i po dniu 1 kwietnia, aby wspierać daniem zarobku przy robotach wałowych i drogowych, a jednocześnie nie dać zamierać tyłu do zarobku niezdolnym. Zarobek w okolicy zupełnie niedostateczny, znaczna część wsi o cale mile od folwarków, emigracya za robotą w dalsze strony tylko dla zdrowych i silnych możliwa, a takich nie będzie na wiosnę zbytku; wiemy zresztą, że i apatja głodnych, ubogich i opuszczonych ogarnia, a dla tego nie mogą ginąć pod płotami, jak to widywałem w r. 1845.

Ponury ten obraz niechętnie roztaczam; niechże będzie do nowego wysiłku pobudką.“

Tak brzmi odezwa p. Popiela, odezwa o tyle niespodziewana, że społeczeństwo ludziło się, iż następstwa klęski są już zażegnane, potrzeby nieszczęśliwych zaspokojone, nędza i głód odpędzone. Tymczasem, jak widzimy, rzeczy mają się przeciwnie i potrzeba energicznej i wyteżonej pomocy bynajmniej nie ustala.

Miejmy nadzieję, że ten alarm z powiatu stopnickiego rozejdzie się głośnie echem po całym kraju i trafi do serc wszystkich ludzi dobrej woli, którzy pośpieszą z datkami przeznaczonymi na zakup zboża do siewu, kartofli i chleba dla nieszczęśliwych.

*

*

*

Przed kilku laty—najpierwsi bodaj—zaznaczyliśmy na tem miejscu pomyślny zwrot w naszych stosunkach wydawniczych, znamionujący się większą dbałością o wygląd estetyczny książki i dążeniem do zharmonizowania jej treści, druku, ilustracyi i okładki w jedną całość. Od owej pory pojawił się już cały szereg książek, wydanych mniej lub więcej ładnie, z których niejedna przynosi zaszczyt tłoczni, skąd wyszła i firmie, która ją w obieg puściła. Niebawem też odezwały się głosy protestu. Zaczęto narzekać, że to podnosi niepotrzebnie cenę książki, że książka powinna być przede wszystkim tania i dostępna dla szerokich mas, że przeznaczeniem jej nie jest zaspokojenie wybrednego smaku jednostek, wykształconych estetycznie, lecz—karmienie rzesz słowem i myślą zdrową. Zapewne—we wszystkim tem jest trochę racyi, ale jak każda kwestya, tak i ta, może być wzięta z przeciwnej strony i oświetlona inaczej.

Przedewszystkiem więc zwrócić można uwagę na to, że każda książka, o ile tylko wydawca może rachować na szeroki jej zbyt—łatwo i bez wielkiej różnicy w kosztach da się puścić w świat w dwóch jednocześnie nakładach—tanim, zwyczajnym, c o d z i e n n y m. jeżeli tak wyrazić się można i—wytwornym. Niemcy np. oddawna już tego systemu się trzymają i bardzo często spotkać tam można obok „Volksausgabe“—„Luxusausgabe“ jednej i tej samej książki. Pierwsze wydanie jest dla mas, pochłaniających książki, drugie—dla smakoszków, dla ludzi bogatych, dla bibliofilów. Pierwsi płacą 1 lub 2 marki za książkę, dru-

dzy chętnie dają 50 i 60 marek za papier czerpany, za lepiej wykonane rysunki, za ozdobną oprawę i t. d.

Zdaje się, że to samo byłoby możliwe i u nas, mimo znacznie szczuplejszych granic naszego rynku księgarskiego. Poniekąd nawet jest to już z niektórymi wydawnictwami klasycznymi i nikogo nie razi to, że *Pana Tadeusza* można kupić za kilkanaście kopiejek i za 25 rubli, że *Quo Vadis* sprzedaje się po 75 kop. i po 20 rub.

To jedno.

Drugim względem, na który należy przeciwnikom estetycznej książki zwrócić uwagę, jest nie ulegający zaprzeczeniu fakt, że szata zewnętrzna książki, dopasowana do jej treści, ogromnie przyczynia się do podniesienia jej uroku, oraz, że prawdziwe piękno, w każdej swojej postaci, a więc i w zewnętrznej formie książki, oddziaływa korzystnie na masy i kształci je estetycznie, będąc zarazem miarą poziomu, na który wzbiła się sztuka drukarska w dobie obecnej i uświadamiając pod tym względem szeroki ogół. I jedno, i drugie i trzecie nie jest bez znaczenia i po bliższej rozwadze przechyla szalę wątpliwości na niekorzyść przeciwników estetyki wydawniczej.

Zresztą, cały ten protest wydaje nam się mało przedmiotowym, gdyż wydawcy nasi, na ogół biorąc, nie są jeszcze wcale tak chętni dołożenia większych kosztów na papier, druk i okładki, a starają się liczyć zawsze tak, aby wydawnictwo wypadło im najtaniej. Skłonniejsi zatem są do szukania tanich efektów i jaskrawości, zwracających na siebie uwagę w witrynach księgarskich, niż do szukania współpracownictwa artystów, którym, naturalnie, trzeba za to płacić.

Wyjątek w tym względzie stanowią dotychczas dwie tylko firmy wydawnicze, mianowicie firma p. Stefana Demby'ego i „Tow. wydawnicze we Lwowie“.

P. Demby w ciągu trzech lat wydał już kilkanaście książek, które mają trwałą wartość estetyczną i zapiszą się na czele budzącego się u nas w tym kierunku ruchu. Książka p. Wacława Sobieskiego w stylizowanej okładce z XVII wieku, z portretem Zygmunta III, cztery tomy młodzieńczych utworów Sienkiewicza z ornamentyką zakopiańską, „Noc lipcowa“ p. Górczyńskiego, wreszcie znakomicie pomyślane wydanie „Śniegu“ Przybyszewskiego—to wszystko są wydawnictwa, na których oko zatrzymuje się z przyjemnością i które każdy chętnie bierze do ręki.

Równie duży powab mają książki, wydawane przez Lwowskie Towarzystwo wydawnicze. Nie przypominamy tu rzeczy dawniejszych, których jest już sporo, ale wskażemy na ostatnią książkę, któ-

ra przed dwoma miesiącami wyszła nakładem tej młodej, a już zasłużonej firmy. Jest to „Bajka“ Rydla „O Kasi i królewiczu“, utrzymana całkowicie w stylu swojskim i świetnie ilustrowana przez Stanisława Dębickiego, który złożył tu dowód swoich wyjątkowych zdolności ilustratorskich. Artysta, przy pomocy środków niezmiernie prostych, wydobył na jaw całe bogactwo swojej duszy, która doskonale wczuwać się umie w psychikę ludu i ludowy świat, zgodnie z jego pojęciami, odtwarza. Książka ta z pewnością zwróci na siebie uwagę krytyki artystycznej, pomijamy tu więc szczegółową jej ocenę. Dodajemy tylko, że całość jest czemś wyjątkowo utrzymanem w tonie i że ani jedna kreska nie odskakuje tam od przewodniej myśli autora, artysty ilustrującego i wydawcy. Okazuje się, że taka trójca, o ile zechce, może tworzyć doskonale rzeczy.

A teraz pytamy się, co komu przeszkadza, że ludzie, miłujący sztukę, mają sposobność nabycia takiej książki i wcielenia jej do swej biblioteki?

*

*

*

Pałaca sprawa budowy odpowiedniego gmachu na pomieszczenie archiwów hipotecznych i kancelaryi rejentów, doczekała się narreszcie pomyślnego załatwienia.

Oto, jak donosi „Gazeta sądowa“ w numerze swoim z d. 13 lutego r. b., przed niedawnym czasem z ministerjum sprawiedliwości nadeszła do starszego prezesa izby sądowej warszawskiej wiadomość o zatwierdzeniu wniosku władz sądowych tutejszych w przedmiocie wzniesienia gmachu na hypotekę i kancelarye rejentów w głębi posesyi Sądu okręgowego (№ 493). Nie będzie to zaś bynajmniej jakaś ustronna oficyna dawnego Paców pałacu, lecz, przeciwnie, gmach frontowy przy nowej ulicy, nazwanej *Hypoteczną*, a połączyć mającej pod kątem prostym obecną ulicę od Teatru Nowości z tyłami posesyi Sądu Okręgowego. Na skraju tej właśnie nowej ulicy, której plan i kierunek są już zatwierdzone, a dla której przeprowadzenia i wyprostowania skarb z posesyi № 493 oddaje 693 metr. kwadr., otrzymując w zamian od właściciela placów przyległych, p. Stępińskiego, 718 metr. kwadr., stanie gmach hypoteki warszawskiej.

Wiadomo, jaka ciasnota, brak światła, niewygoda, wreszcie niebezpieczeństwo na wypadek ognia, dają się we znaki naszej hipotece w lokalu dotychczasowym. Księgi wieczyste z zapisami i dokumentami co do milionów mienia, piętrzą się tu nietylko na zapyłonych półkach, lecz i zwałone wprost na podłogę; ciasnota i półmrok w kancelaryi; ciasnota nieznośna w dwóch lichych „ciupkach“ przy archiwum, gdzie tłoczą się liczni interesanci; ciasnota we wszystkich dziurach rejentalnych.

Wszystko to są rzeczy znane.

To też zdawna odczuto i rozważano potrzebę wzniesienia gmachu dla hipoteki, a przed dwoma laty zapadło już postanowienie, ażeby gmach taki wzniesić na placu Krasińskich — obok Izby sądowej, w miejscu stojącego tam obecnie domu po b. Trybunale cywilnym, który to dom miał uleść zburzeniu. Przed rokiem atoli nastąpiła w tym względzie zmiana: zamiast zamierzonej pierwotnie budowy gmachu hipotecznego na placu Krasińskich, powzięto projekt,znaczony na wstępie niniejszej notatki.

Jako pobudki, przemawiające za przewagą nowego projektu nad dawniejszym, przytoczono, między innymi, i ocalenie, dzięki temu, od zagłady domu potrybunalskiego i oszczędzenie kosztu jego rozbiórki, możliwość rychlejszego przystąpienia do budowy i daleko lepsze położenie gmachu na placu przy nowej ul. Hipotecznej. Istotnie lepsze — tam bowiem ów gmach znajdować się będzie w blizkiem sąsiedztwie z sądem, mając przytem i prawidłową postać, i długą linię frontu i dziedziniec obszerny, gdy, przeciwnie, na placu Krasińskich były to budynek wązki, bez żadnego dziedzińca i ze wszystkich stron przylegający bezpośrednio do ulicy.

Powyższe orzeczenie Komisji, ocenione przychylnie przez Izbę Obrachunkową, znalazło też posłuch u władz decydujących, i budowa gmachów przy ul. Hipotecznej, prawomocnie już zatwierdzona, przejść ma niebawem w sferę wykonania. Mandat do bezpośredniego zarządzania sprawą tej budowy; otrzymała wspomniana komisya specjalna miejscowa, pierwszym zaś jej krokiem ma być spisanie aktu rejentalnego zamiany gruntu z p. Stępińskim.

Tak więc w niedalekiej przyszłości Warszawa, nareszcie, posiadzie tyle niezbędnny i tyle oczekiwany gmach hipoteczny.

Godzi się wszakże przypomnieć — zaznacza „Gazeta sądowa“ — że gmach ten winien być zaprojektowany i zbudowany „na wyrost“. Co rok przeszło 300 nowych ksiąg wieczystych przybywa do archiwum hipotecznego: trzebaż to mieć na względzie i nowe archiwum

trzeba tak zbudować i urządzić, aby w niem przez dłuższe lat szeregi nie było za ciasno. I jeszcze jedno. Oprócz wydziałów hipotecznych sądu okręgowego, w nowym gmachu znaleźć się też powinno pomieszczenie i dla hipoteki p o w i a t o w e j, która dziś tuła się po lokalach prywatnych, a dla której, zarówno w imię bezpieczeństwa publicznego, jak i gwoi wygodzie publicznej, warto stały i stosowny lokal urządzić.

Trafne te uwagi powinny być stanowczo uwzględnione, nawet w tym wypadku, gdyby ich uwzględnienie miało spowodować pewną zwłokę w wykonaniu tego pożytecznego dzieła. Miejmy jednak nadzieję, że nie wywoła to zwłoki i że gmach stanie tak rychło, jak tylko to jest możliwe przy przedsięwzięciach tego rodzaju.

W końcu wypowiadamy jedno jeszcze życzenie: aby nowe pomieszczenie hipoteki nie zasłużyło sobie w przyszłości na miano „koszar hipotecznych“, ale, odpowiadając swemu celowi pod względem urządzenia wewnętrznego, było także i zewnątrznie miłe dla oka. Warszawa posiada bowiem tak mało pięknych budynków i tak jest przeniknięta nawskroś duchem spekulacyjno-budowlanym, że wobec tego na wielkich gmachach publicznych ciąży niezaprzeczony obowiązek liczenia się z estetyką, co znów przyjsć powinno tem łatwiej, że tych gmachów budaje się tak mało...

*

*

*

Trudno jest określić liczbę młodzieży polskiej, która na studiach bawi za granicą. To pewna jednak, że liczba ta nie zmniejsza się, ale wzrasta stale. Liczne zakłady naukowe specjalne, łatwość środków naukowych pomocniczych, jak laboratoria, znakomicie uposażone biblioteki, katedry dodatkowe, stanowią wielką siłę przyciągającą dla młodzieńców, poświęcających się różnym gałęziom wiedzy. Kto może więc, wyjeżdża za granicę albo na cały okres studyów, albo przynajmniej na ich dokończenie i uzupełnienie. Czynią to zarówno przyrodniczy i lekarze, jak prawnicy, adepci nauk społecznych i filozoficznych.

Nieraz jednak słyszeć się dają głosy, z jednej strony powątpiewające o korzyści takich wyjazdów, z drugiej, wprost zarzucające

młodzieży, że, bawiąc za granicą, za mało czasu poświęca nauce, a zbyt łatwo daje się unosić albo falom polityki bieżącej, albo wesołemu życiu wielkich miast zachodnich.

Nie przesądzamy tej kwestyi, zdaje nam się jednak, iż na ogół zarzuty te są mało uzasadnione i mogą dotyczyć tylko jednostek, a jednostki takie są przecież i na naszym, domowym bruku. Znaczniejsza jednak część młodzieży poważnie myśli i poważnie przygotowuje się do przyszłych swoich obowiązków.

Że tak jest — poniekąd świadczy najnowszy ruch pomiędzy młodzieżą polską, uczącą się w wyższych zakładach naukowych za granicą, ruch, zmierzający do stworzenia własnymi siłami i instytucyi naukowej, której zadaniem ma być dostarczanie potrzebnych informacji wszystkim, pragnącym się uczyć. Instytucya taka pod mianem Komisji naukowej powstała już w Paryżu przy tutejszem stowarzyszeniu studentów polskich (Société des étudiants polonais. „Koło“, 53 rue Monsieur le Prince 53, Paris).

Zadanie swoje Komisya w nadesłanej nam odezwie określa w ten sposób: pragnie ona „dostarczać wszystkim, zwracającym się do niej, możliwie szczegółowych wskazówek w zakresie wszystkich dziedzin wiedzy, zaznajamiać ze stanem i organizacją studyów na uniwersytetach zagranicznych, pomagać w przygotowywaniu rozpraw i referatów, zaopatrywać w potrzebne dzieła, ułatwiać ich rabatowe nabywanie i t. d. Dla osiągnięcia tych celów komisya weszła w stosunki z szeregiem przedstawicieli nauki polskiej, którzy obiecali jej swoje łaskawe współdziałanie, nadto rozpoczęła centralizowanie u siebie wiadomości z bibliografii naukowej, niemieckiej i francuskiej i t. d.

Jak widzimy, rzecz pomyślana jest dobrze i instytucya, w miarę rozwoju swojego, może oddać bardzo poważne usługi uczącej się młodzieży, bo o ileż łatwiej będzie każdemu przy jej pośrednictwie trafić w obcym mieście do tego, czego właściwie szukać przyjechał.

Jest to pożądane, zwłaszcza przy naszym usposobieniu, które nie pozwala nam na kreślenie wyraźnych i szczegółowych planów zawczasu. Mówimy z lekkim sercem: „po skończeniu uniwersytetu, na rok, na dwa, wyjeżdżam do Paryża“ — i tyle. Nikt jednak nie formuluje sobie jasno tego, że łatwiej jest w lesie obywać się bez przewodnika, niż w nauce. Wskutek tego, po przyjeździe do owego, wymarzonego nieraz Paryża, rozpoczyna się bieganie, pytanie, oryentowanie się, trwające nieraz pół roku czasu, zanim przed przybyciem otworzą się

laboratorya, szpitale, pracownie prywatne, gabinety profesorskie i biblioteki, zanim nauczy się on korzystać z tej nauki, którą tam ludzie w ciszy i zdala od gwaru miejskiego uprawiają, zanim na swoją drogę trafią. Otóż, gdyby Komisya naukowa w tym kierunku rozwinęła jak najszerszą działalność i stała się biurem informacyjnem dla wszystkich, informacyi naukowych potrzebujących, to wówczas pożytek jej będzie niezaprzeczony. Każdy młody człowiek, wyjeżdżający za granicę, powinien do biura tej Komisji zwrócić się na kilka miesięcy przed wyjazdem, objaśnić je po co wyjeżdża, i otrzymać stamtąd wszelkie potrzebne wskazówki. Być może, że nieraz zwróconoby kogoś z drogi i wskazano mu inną marszrutę, nadano jego podróży naukowej praktyczniejszy i więcej korzystny kierunek. Uchroniłoby to niejednego od prób i doświadczeń na własną rękę, które, powtarzamy, połączone są zawsze z mitręgą drogiego czasu i ze stratą pieniędzy, tak trudnych dla niejednego do zdobycia na rok, lub dwa lata pobytu zagranicą.

Tę stronę działalności młodej instytucji mając na widoku, życzymy jej szczerze pomyślnego rozwoju, zdobycia trwałych podstaw materialnych i życzliwego poparcia ludzi nauki, bez których pomocy być się nie będzie mogła.

*

*

*

Czy człowiek obłąkany jest wyjęty z pod prawa?

Według kodeksu obowiązkowego uznany on jest tylko za niepočetnego, według etyki za nieszczęśliwego, godnego pożałowania i współczucia, a według pojęć tłumu warszawskiego, istotnie jest on wyjęty z pod prawa.

Stwierdziła to tragiczna i budząca grozę sprawa hr. Włodzimierza Dąbskiego.

Zbyt wielkiego nabrała ona rozgłosu, abyśmy mieli tu pisać o niej obszerniej, niektóre dzienniki uczyniły to zresztą w sposób, który może zupełnie zniechęcić do jej dotykania. Jesteśmy więc wytlómaczeni. Z obowiązku jednak kronikarskiego zamieszczamy tu komentarz do tej smutnej historii, z której uczyniono u nas „bombę re-

porterską“, a która domagała się poważnego rozbioru ze stanowiska społeczno-obyczajowej kultury naszej.

Ludzie, którzy tej nocy spali i nazajutrz dopiero z pełnych sensacji artykułów dowiedzieli się o przebiegu tej obławy nocnej, nie mogli się na razie zorientować, o co chodzi. Powoli rzecz im się wyjaśniła.

Obłąkany strzelał, zabijał, ranił, i nie umiano go obezwładnić, lecz wydano rozkaz strzelania, użyto ostatniego środka.

Istotnie, ten środek jest ostatnim, ale po wyzyskaniu wszystkich innych. Tutaj, niestety, był on pierwszym i jedynym, bo kiedy rodzina hr. Dąbskiego, jak to ogłoszono później w dziennikach, chciała się dostać do niego — nie dopuszczono jej tam, bo nie spróbowano zwykle używanej w takich wypadkach ochrony z materaców, nie posłano po lekarza specjalistę, po dozorców z domu obłąkanych.

Nie dotykamy pytania, kto tu zawinił, zastanawiamy się tylko nad tem, jaki jest podkład etyczny całego tego postępowania i dochodzimy do wniosku, iż mamy tu do czynienia ze stępieniem moralnym, które w pewnych warunkach nie pozwala człowiekowi odróżnić tego, co mu wolno, od tego, czego nie wolno.

Spostrzeżenie to bardzo smutne, tem smutniejsze, iż wśród bohaterów i widzów owego igrzyska znajdowali się także ludzie „inteligentni“.

Okazuje się, że i ci „inteligentni“ nie wiedzą, co to jest obłąkany, więc czyż wobec tego można się dziwić warstwom nieoświeconym, stróżom, posłańcom, ulicznikom?

Tak. Całe społeczeństwo u nas nie wie, co to jest obłąkany. Bo, gdyby wiedziało, to mielibyśmy już dziś liczne przytułki dla chorych umysłowo, to taka Drewnica nie potrzebowałaby latami czekać na fundusze dla siebie, powstające z powoli sączącej się jałmużny, to nie brakowałoby miejsca w naszych szpitalach dla obłąkanych.

Na ulicach nie otaczałaby ich gawiedz, nie drażniła swoim zaczeptym zachowaniem się, nie wywoływała ataków furii, bo obłąkani znajdowaliby się wówczas w przytułkach, albo szpitalach, a nie chodziliby samopas, nie zwracaliby na siebie uwagi.

Niemożliwe też byłyby takie katastrofy, jak ta, którą wywołało szaleństwo hr. Dąbskiego. Gdyby umiano się z nim obejść, gdyby go nie rozdrażniono i nie podniecono, gdyby nie gromadzono się przed jego oknami i na sąsiedniej ulicy, to z pewnością cała rzecz skończy-

łaby się na wybiciu kilku szyb i zgaszeniu jednej latarni ulicznej, a może i zupełnie na niczem. A takie zachowanie się tłumu spowodowało śmierć dwóch ludzi, cięższe i lżejsze poranienia dwudziestu i zranienie samego bohatera tej strasznej przygody.

Nie — naprawdę było to p o b u s z m e ń s k u .

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE

I BIBLIOGRAFICZNE.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI:

— Dnia 7 stycznia 1904 r. odbyło się posiedzenie *Komisji do badania historii sztuki w Polsce*, pod przewodnictwem prof. M. Sokołowskiego.

Przewodniczący zaznaczył naprzód, że w r. 1905 odbędzie się w Krakowie obchód ku uczczeniu 400-nej rocznicy urodzin Reja. W jubileuszu tym weźmie również udział Akademia przez wydawnictwo szeregu publikacyi, dotyczących XVI w. *Sprawozdania* komisji za r. 1904 winny przeto także przyczynić się do lepszego poznania kultury i sztuki jagiellońskiej. W tym celu zwrócił się przewodniczący do Komisji z prośbą, aby komunikaty jej współpracowników w r. b. o ile możliwości epoką tą się zajmowały.

Prof. Szajnoch a zdał następnie sprawę z przeprowadzonych na prośbę Komisji badań swych nad materyałem figury Władysława Łokietka w katedrze wawelskiej.

P. Tomkowicz odczytał z kolei rozprawkę swą o zamczku w Korzkwi pod Krakowem, za komorą Szyce. Zameczek ten, a raczej dom mieszkalny ufortyfikowany, stanowi interesujący przykład siedzib szlacheckich XVI wieku. Referent, streściwszy historię wsi Korzkwi, przełożył fotografie i rzut poziomy zamczku, którego stan dzisiejszy dokładnie opisał. Wznosi się on na stożkowatym pagórku, oblany z trzech stron przez płynącą dołem rzekę. Położenie zatem odpowiada zamkom średniowiecznym, zabudowania jednak zamczku pochodzą z końca XVI w. Platforma ma kształt nieforemnego wieloboku, a całą tę przestrzeń zajmują: mur obwodowy i budynek mieszkalny. Mur z dzikiego, łamanego kamienia posiada wyraźne ce-

chy obronne. Budynek mieszkalny zachował ciekawe szczegóły, jak: bramę wehadową, dalej sień i drzwi o bardzo szlachetnym rysunku. W sali, sklepionej na parterze, biegnie dookoła ława kamienna. Na pierwszym piętrze ocalał w komnacie, położonej nad parterową salą, drewniany strop z kasetonami i rozetami, jak nie mniej kominek z pińczowskiego kamienia.

P. Chmiel podał w dalszym ciągu nowe szczegóły, odnoszące się do historii fabryk pasów w Krakowie, zebrane w aktach tutejszego archiwum miejskiego. Dowiadujemy się z nich, że w r. 1791 były w Krakowie dwie fabryki pasów. Jedną z nich była fabryka Masłowskiego, mieszkającego w tym roku przy ul. Grodzkiej l. 82 w kamienicy miejskiej i zatrudniającego kilkunastu robotników, drugą, nieznanego dotychczas Józefa Trojanowskiego, który mieszkał wówczas w kamienicy miejskiej l. 22 z córką i z jednym służącym.

Referent podał wreszcie daty przyjęcia w poczet obywateli krakowskich fabrykantów pasów Puciłowskiego i Chmielowskiego. Są to lata i 1790 i 1796, a daty te są ważne, gdyż od nich dopiero można liczyć czas powstania powyższych krakowskich fabryk, zaden bowiem rzemieślnik nie mógł wykonywać rzemiosła swego w Krakowie, nie będąc przedtem członkiem gminy miejskiej.

Sekretarz przełożył następnie dwie fotografie płyt z Opoczna o zagadkowej formacyi, czy też ornamentacyi, które za pośrednictwem ks. Brykczyńskiego nadesłał Komisyi ks. Trybalski, wikary w Opocznie. Pokrywały one, jak z listu ks. T. wynika, ściany kurytarza w skale kutego.

Przewodniczący przedstawił wreszcie fotografię drewnianej figury „Chrystusa frasobliwego we wsi Płonce, gub. Łomżyńskiej (publik. już jednak w Glogera *Encyklopedyi Starop.*), nadesłaną z opisem przez G. Worobiewa.

— Posiedzenie *Wydziału Historyczno-Filozoficznego* odbyło się dnia 22 lutego z następującym porządkiem dziennym: 1) Członek Fr. Piekosiński: „Kilka szczegółów do historii zagospodarowania Polski w XV wieku; 2) Czł. K. Potkański: „Ze studyów nad osadnictwem polskim w wiekach średnich: Puszcza radomska“; 4) Sekretarz przedstawił referat d-ra Bujaka: „Typy układu gruntowego w powiatach Krakowskim i Chrzanowskim.

NOWE KSIĄŻKI:

— Nakładem księgarni Kazimierza Grendyszyńskiego w Petersburgu wyszedł tom drugi dzieła prof. Antoniego Karbowiaka, p. t.: „Dzieje wychowania i szkół w Polsce“ (str. VIII + 490). Obejmuje on okres trzeci

od r. 1364 do 1432. Znajdujemy tu treściwe i samodzielnie opracowane dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego, katalog doktorów i mistrzów tegoż uniwersytetu od r. 1400 do 1432, opis nauki w szkołach niższych i uniwersytecie. Osobny rozdział poświęcony jest życiu żaków i scholarzy. Ciekawą jest i pouczającą statystyka szkół dyecezalnych od r. 1364 do 1432 w Polsce (str. 441—443). Dokładny wyraz abecadłowy nazw osób i szkół ułatwia bardzo korzystanie z tej ważnej pracy.

— „Biblioteka dzieł Chrześcijańskich“ wydała *Kazania sejmowe Skargi* w opracowaniu Ignacego Chrzanońskiego. Tekst kazań wydany jest krytycznie z uwzględnieniem odmianek z pierwszych trzech wydań. Obszerna rozprawa „O kazaniach sejmowych Skargi“ (stron 136) podaje w jasnej i powabnej formie gruntowne badania p. Chrzanońskiego nad wielu ważnemi kwestyami społecznemi XVI wieku. Mamy nareszcie pierwsze *naukowe* wydanie Kazań sejmowych, tak niezbędnych zawsze dla ogółu naszego.

— Nakładem Księgarni H. Altenberga we Lwowie, ukazało się ważne i wspaniałe wydane dzieło Kazimierza Mokłowskiego p. t. „Sztuka Ludowa w Polsce“. Część I. Dzieje mieszkań ludowych. Część II. Zabytki sztuki ludowej. (Lwów, 1903, str. nłb. 8 + 552). Autor, zastanowiwszy się we Wstępie nad znaczeniem nauki o chacie i nad dotychczasowemi badaniami Matlakowskiego, Karłowicza i Witkiewicza, rozbiiera historycznie warunki otoczenia fizycznego dla formy mieszkania (Europa przedhistoryczna.—Jaskiniowiec europejski.—Namiotowiec stepowy.—Palowcy w dziejach kultury Europy i Polski i t. d.). W części drugiej p. Mokłowski wykazuje ścisły związek między dworami drewnianymi szlacheckimi, a chatą włościańską, mówi o dawnych dworach obronnych i zamkach, o kościołach, cerkwiach, dzwonicach, kaplicach, meczetach i bóżnicach, budynkach gospodarskich i o sprzętarstwie. Kilkaset rysunków objaśnia i zdobi tę interesującą i z wielkim nakładem erudycyi dokonaną pracę. Na końcu dzieła znajduje się kwestyionaryusz dla badania kultury ludowej.

— Księgarnia Polska we Lwowie wydała pracę Witolda Schreibera: „Twórcy Bogów. Z tajemnic wierzeń ludów pierwotnych“. (Warszawa, E. Wende i Sp., str. 358, 78 ilustracyi w tekście). Jest to popularno-naukowe zestawienie wyników dotychczasowych badań antropologicznych w zakresie pierwotnych wierzeń, poczynając od zamierzchłej epoki ludów pierwotnych (fetyszyzm, wyobrażenia o duszy, sen, wędrówka dusz, obrzędy pogrzebowe, zjadanie zwłok, totem, animizm, kult ciał niebieskich i t. d.). Liczne ilustracye na doskonałym papierze i druk piękny tłoczni uniwersytetu Jagiellońskiego przyczynią się do poczytności książki, przepełnionej ciekawemi szczegółami.

— Nakładem Akademii Umiej. a staraniem Komisji antropologicznej ukazał się pierwszy zeszyt wspaniałego wydawnictwa: „U**bi**ory ludo polskie go“. (8 tab. i 12 rycin, s. 16). Szczególną starannością i pięknoscią wykonania odznaczają się rysunki Józefa Zabagły. Chromotypie wytłoczyła znakomicie Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Okładka jest trochę za ciemna i niezbyt ludowa.

— Księgarnia Polska B. Połonieckiego wydała praktyczne książeczki: Edwarda Grajnerta: Artystyczno-informacyjny przewodnik po *Rzymie* z planem miasta (str. XVI + 231) i Przewodnik po *Wenecyi* i wyspach okolicznych z planem miasta (str. 208) (E. Wende).

— Z wydawnictwa M. Arcta: „*Książki dla wszystkich*“, ukazały się następujące tomiki: dr A. Bernstein: O obrocie ziemi dokoła osi (10 kop.). — Dr A. Herzen: Odezwa do męskiej młodzieży (10 kop.). — W. Osterloft: Zarys historii literatury niemieckiej. Część II. Od Klopstocka do Goethego. — A. Lange: Społeczeństwo i historia, podług teorii G. Tarda (15 kop.). — Dr J. Trump: Hygiena wieku dziecięcego (20 kop.). — H. Galle: O poematach Konopnickiej. (Prometeusz i Syzyf, Pan Balcer w Brazylii) (10 kop.). — St. Bouffalł: Krótki rys fizyki. II (15 kop.). — C. G. Salzmann: Wychowanie wychowawcy (25 kop.). — Dr Tom. Achelis: Ekstaza (20 kop.). — Fr. Łagowski: Historia literatury polskiej. Część IV (15 kop.). — Antoska: Czechy i naród czeski (15 kop.). — Przyjacie zdrowia: Powietrze i słońce (15 kop.).

BIBLIOGRAFIA.

HISTORIA.

Dr Zygmunt Gargas: Poglądy ekonomiczne w Polsce XVII wieku. Wydanie drugie, znacznie powiększone. Lwów. Tow. wydawn., 1903. Skład gł. w księg. St. Sadowskiego, Warszawa, Marszałkowska 116, str. XV + 253.

J. K. Kochanowski: Szkice i drobiazgi historyczne. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

POEZJA. — POWIEŚCI.

Artur Gruszecki: Pruski huzar. Powieść współczesna. Warszawa, 1904, str. 399.

Bolesław Prus: Ze wspomnień cyklisty. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1904, str. 258.

Wł. St. Reymont: Chłopi. Powieść współczesna. I. Jesień, str. 347. II. Zima, str. 384. Warszawa, 1904. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Henryk Salz: Krzyk niewolnika (Wiersze). Kraków. Księgarnia D. E. Friedleina, 1902, str. 84. (Skład w księgarni Wendego).

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA

ADAM hr. KRASIŃSKI.

Konkurs na operę polską.

Zarząd Filharmonii warszawskiej ogłasza niniejszem z fundacyi *Konstantego Wołodźłowicza* konkurs na napisanie opery, osnutej na tle poematu „Marya“ Antoniego Malczeskiego, pod warunkami następującymi:

1. Opera ma zapelnąć cały wieczór, a więc składać się z trzech, czy czterech aktów.

2. Muzyka mieć powinna charakter swojski z możliwem użytkowaniem motywów ludowych, przy zachowaniu cech, ściśle etnograficznych.

3. Libretto, którego plan wydrukowany będzie w „Echu muzycznym“ i w odbitkach złożony w księgarni Gebethnera i Wolffa, może ulegać modyfikacyom dowolnym, byleby większa część tekstu oryginalnego poematu była użytą bez zmiany. W miejscach, przedstawiających trudności zastosowania muzyki i śpiewu do poezyi — należy użyć deklamacyi z towarzyszeniem orkiestry. W tem miejscu fundator wyraża życzenie, by libretto, dla nieodbijania dorobionych wierszy od poezyi Malczeskiego, było raczej ułożone prozą rytmiczną.

4. Najlepsza z nadesłanych partytur otrzyma nagrodę w sumie rubli pięciu tysięcy, przyczem dzieło nagrodzone pozostaje najzupełniejszą własnością kompozytora wobec scen i osób trzecich.

5. Wyciąg fortepianowy nagrodzonej opery z tekstem wydrukowany będzie kosztem fundatora przez Zarząd Filharmonii Warszawskiej, również na wyłączną korzyść kompozytora.

6. Partytury orkiestrowe i fortepianowe, zaopatrzone godłem takim, jak i koperta zapieczętowana, mieszcząca nazwisko i adres kompozytora, winny być nadsyłane pod adresem Zarządu Filharmonii Warszawskiej najdalej do dnia 1 lipca n. st. 1904 roku.

7. Sądowi konkursowemu służy prawo poczynienia na lepiej opracowanych partyturach uwag, dotyczących warunków scenicznych, instrumentacyi i t. p. Partytura, w ten sposób poprawiona, będzie mogła współubiegać się o nagrodę w konkursie następnym, który będzie ogłoszony, o ileby na pierwszym żadna z nadesłanych partytur nie zyskała absolutnej większości głosów.

8. Sąd konkursowy stanowią będą uproszeni przez fundatora panowie Antoni Dvorzak, Leopold baron Kronenberg, Emil Młynarski, Zygmunt Noskowski i Władysław Żeleński.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z ROKU 1904.

F I L O Z O F I A.

	Str.
HERBERT SPENCER I JEGO SYSTEMAT FILOZOFII SYNTETYCZNEJ,—przez prof. Henryka Struvego	413

H I S T O R Y A.

Z HISTORII STANÓW GALICYJSKICH, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego.	201
ECHA Z WYSTAWY HERALDYCZNEJ W MITAWIE, — przez Gustawa Manteuffla	341

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE i EKONOMICZNE.

NACZELNICY ZIEMSCY W KRAJU PÓŁNOCNO-ZACHODNIM, — przez B. Z. Bouffała	276
PRZEMYSŁ DOMOWY U WŁÓŚCIAN, — przez Józefa Jeziorańskiego.	504

L I T E R A T U R A.

A GDY W GŁĄB DUSZY WNIKNIEMY... Powieść współczesna, (ciąg dal.),—przez Gabryelę Zapolską	37, 226 i 455
---	---------------

Z NIEZNANYCH TRENÓW WACŁAWA POTOCKIEGO, — przez Franciszka Pułaskiego	105
--	-----

STUDYA I SZKICE LITERACKIE
I ARTYSTYCZNE.

GDZIE ARNO PŁYNIE, — przez Wojciecha Dzedu- szczyckiego	1 i 287
ALFIERI (1649 — 1803), — przez prof. Szymona Askena- zega	22
DRAMAT I OPERA, — przez W. Bogusławskiego	76
WŁADYSŁAW SYROKOMŁA, — przez A. Drogoszew- skiego	251 i 481
MAX NORDAU, — przez Władysława Jabłonow- skiego	327
LITERATURA NIEMIECKA W ROKU 1903-cim, — przez d-ra Józ- zefa Flacha	522
POGADANKA O SZTUCE. Kilka słów o stosunku społeczeństwa do sztuki, — przez Stefana Popowskiego	580

NAUKI PRZYRODNICZE.

HISTORIA WYNALEZIENIA I UDOSKONALENIA TERMOMETRU, — przez Stanisława Kramsztyka	60
SEN, — przez d-ra Karola Rozenfelda	551

ROZMAITOŚCI.

Z dziejów Szekspira w Polsce. Przekład Hamleta J. N. Kamińskiego, — przez Ludwika Bernackiego	127
--	-----

KRYTYKA.

<i>Dr Wojciech Kętrzyński</i> : O powołaniu Krzyżaków przez ks. Konrada. Kraków, 1903, — przez A. R.	145
„Dziennik Ludwika Szczanieckiego, pułkownika wojsk polskich“. Warszawa, 1904, — przez A. R.	151
<i>Zorn</i> : Die Deutsche Staatsprache. Zwei Abhandlungen, Berlin, 1903, — przez A. R.	159
<i>Julia Terpiłowska</i> : Przystań. Powieść współczesna. Warszawa. Nakła- dem Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Ge-	

	bethner i Sp., 1903, 8-o, str. 313, — przez Henryka Gallego	166
<i>Tadeusz Jaroszyński</i> :	Chimera. Powieść z życia artystów. Petersburg. Księgarnia K. Grendyszyńskiego, 1903, 8-o, str. 392, — przez Henryka Gallego	169
<i>Aleksander Kraushar</i> :	Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk. Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. Czterolecie drugie. 1820 — 1824. (Warszawa, 1904), — przez A. R.	366
<i>General Szilder</i> :	Cesarz Mikołaj I. Jego żywot i panowanie T. I (z 252 ilustracyami), 1903, — przez A. R.	372
<i>Józef Wiśniowski</i> :	Współczesna liryka polska. (Sprawozdanie dyrektora gimnazjum w Jaśle, r. 1903), — przez M. Mazanowski	380
<i>El (Kazimierz Laskowski)</i> :	Melodye. Warszawa. Gebethner i Wolff, Kraków, G. Gebethner i Sp., 1903, 12-o, str. 200, — przez Henryka Gallego	383
<i>Wacław Gąsiorowski</i> :	Rok 1809. Powieść historyczna z epoki napoleońskiej. Tom I i II. Lwów. Nakł. „Słowa Polskiego“, 1903, 8-o, str. 364 i 268, — przez Henryka Gallego	385
<i>Marya Konopnicka</i> :	Na jagody! Książeczka leśna. Warszawa. Nakładem J. Lisowskiej, — przez Z. D.	387
<i>Hans Paaltzow</i> :	Zur Polenfrage. Der Gebrauch der polnischen Sprache in politischen Versammlungen. Die polnischen Post-adressen. Zwei Rechtsgutachten. (Berlin, 1902), — przez A. R.	587
<i>Marya Konopnicka</i> :	Drobizgi z podróźnej teki. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., 1903. 12-o, str. 196, — przez Henryka Gallego	596
<i>Kazimierz Julian Jasiński</i> :	Stara gwardya. Elegia rycerska. Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i Sp., 1904, 8-o, str. 71, — przez Henryka Gallego	599

KRONIKA MIESIĘCZNA.

STYCZEŃ:

Nowy rok. — Odczyty na prowincyi. — Oddział wyszukiwania pracy ubogim przy W. T. D. — Nowe pisma: „Przyroda“ i „Lekarz“. — Sprawa parków miejskich i zamiejskich. — Zwyrodnienie kultury umysłowej. — Towarzystwo Szkoły nauk politycznych

172

LUTY:

Ankieta „Kuryera Warszawskiego“. — Stulecie kodeksu Napoleona u nas. — Biblioteki prowincjonalne dla

	Str.
Galicyi. — Z ruchu współdzielczego. — Sekcja im. Moniuszki. — Polska akademja artystyczna w Rzymie	389
MARZEC:	
W sprawie krajowej Wystawy powszechnej. — Ogień i woda. Statystyka pożarów. — Odezwa p. Jana Popieła. — Książka estetyczna. — Nowy gmach hypoteczny. — Młodzież polska za granicą. — Komentarz do sprawy hr. Dąbskiego	302

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE
I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ	188
LUTY	407
MARZEC	619

D Y S K U S Y A.

Replika d-rowsi A. Karbowiakowi, -- przez H. Mościckiego	198
--	-----